

Matt Rees

**KOLABORANT Z
BETLEJEM**

Z angielskiego przełożył Grzegorz Woźniak

ROZDZIAŁ 1

Omar Jussef, nauczyciel uczący historii nieszczęsne dzieciaki z obozu dla uchodźców Dehajsza, wspinał się z wysiłkiem krętą drogą na skraju Bejt Dżala pośród szarych kamiennych domów wzniesionych jeszcze za czasów osmańskich. Był już wieczór i zerwał się silny wiatr. Omar przystanął na chwilę, wyjął grzebyk z kieszeni tweedowej marynarki i próbował przyczesać kosmyk siwych włosów skrywających łysinę. W bladym świetle latarni spojrzał z obrzydzeniem na grudki wyschłego błota, które przyłgnęły do brązowych półbutów w czasie marszu po wyboistej drodze na przedmieściach Betlejem.

Za skrytym w mroku przejściem między domami ktoś - chyba wartownik - chrząknął głośno i splunął. Plwocina wylądowała tuż na granicy cienia, jakby specjalnie, żeby Omar Jussef ją zobaczył. Z niemałym trudem stłumił w sobie chęć zwymyślenia wartownika za wulgarny gest. Gdyby był u siebie, w szkole dla dziewcząt prowadzonej przez ONZ-owską Agencję do spraw Pomocy Uchodźcom Palestyńskim, nie wahałby się ani chwili, tylko skarciłby ordynusa bez namysłu.

W mroku widział sylwetkę uzbrojonego osiłka, doskonale wiedział, że tacy jak on zawsze są wulgarni. Lekko drżącymi rękami raz jeszcze spróbował uładzić zmierzwione włosy, po czym spojrzał z westchnieniem na buty i zanurzył się w ciemną uliczkę.

Doszedł do niewielkiego placyku między domami i przystanął, żeby odetchnąć przed wejściem do greckiego klubu prawosławnego. Solidne kamienne ściany wznoszące się wysoko, szersze od zewnątrz, węższe od środka okna o łukowatych zwieńczeniach, zdawały się świadczyć, że budynek miał również pełnić rolę warowni. Drzwi wejściowe zdobił kamienny tympanon. W środku panował mrok i cisza. Nieliczne lampy na ścianach malowały żółcią ledwie widoczne sklepienie i czerwone kraciaste obrusy na stołach. W sali restauracyjnej był tylko jeden gość. Siedział przy stoliku w kącie pod fotografią niegdysiejszego dygnitarza w fezie na głowie, łypiącego oczami bez wyrazu, jak zwykle na starych zdjęciach. Widząc wchodzącego, ospały kelner na wpół podniósł się z miejsca, ale Omar Jussef dał mu znak, że nie trzeba, i rażno ruszył do stolika George'a Saby.

- Czy wartownicy z Brygad Męczenników nie sprawili ci kłopotów, Abu Ramizie? - spytał George na powitanie.

Użył bardzo popularnego w języku arabskim zwrotu złożonego ze słowa „Abu” (ojciec) oraz imienia jego najstarszego syna, co świadczy o szacunku i zażyłości między rozmówcami.

- Tylko jeden sukinsyn omal nie opluł mi butów - uśmiechnął się kwaśno Omar Jussef. - Poza nim nikt nie zgrywał się na bohatera. Zresztą wygląda, jakby wszyscy wyparowali z okolicy.

- Niedobrze, widać czegoś się spodziewają - zaśmiał się George. - Ci wielcy bojownicy o wolność ludu Palestyny zawsze zmywają się pierwsi, gdy mają nadejść Izraelczycy.

George Saba miał trzydzieści pięć lat i w przeciwieństwie do drobnego i schludnego Omara Jussefa był mężczyzną roslim i niechlujnym, o gęstych włosach z siwymi pasmami na skroniach. Siwizna oprószała także jego wielkie, krzaczaste brwi, bujne jak spienione morskie fale. Było chłodno, nosił więc ciepłą kraciatą flanelową koszulę i błękitną pikowaną kurtkę z zamkiem błyskawicznym rozpiętym aż po wielki brzuch. Omar Jussef szczyił się swoim byłym uczniem, jednym z pierwszych, jakich kształcił. Nie dlatego, że George osiągnął w życiu coś niezwykłego, ale dlatego, że wyrósł na człowieka uczciwego i pracował w zawodzie, w którym przydawała mu się wiedza wyniesiona z lekcji historii u Omara. George handlował antykami. Wyszukiwał arabskie i perskie meble pozostałe po czasach świetności, odnawiał je, uzupełniał braki w inkrustowanych macicą perłową powierzchniach i sprzedawał, głównie Żydom, którzy wpadali do jego warsztatu przy obwodnicy za miastem.

- Przeczytałem dziś parę stron z tej pięknej starej Biblii, którą mi podarowałaś, Abu Ramizie - rzekł George.

- Tak, to piękna rzecz - zgodził się Omar Jussef. Uśmiechnęli się. Zanim przeszedł do szkoły ONZ-owskiej, Omar Jussef uczył w szkole prowadzonej przez braci lasalianów w Betlejem, a jednym z jego najlepszych uczniów był właśnie George Saba. Gdy George zrobił dyplom, Omar ofiarował mu na pamiątkę stare arabskie wydanie Biblii w czarnej skórkowej oprawie. Odziedziczył tę Biblię po ojcu, który dostał ją od pewnego księdza w Jerozolimie jeszcze za czasów imperium osmańskiego, a już wtedy księga miała sporo lat. Owego księdza ojciec Omara poznał w domu tureckiego beja i zaprzyjaźnił się z nim. W tamtych czasach bliskie stosunki katolickiego duchownego z klasztoru przy Bramie Jafy w Jerozolimie z muzułmańskim muchtarem - naczelnikiem - podmiejskiej wioski okolonej gajem oliwkowym nie uchodziły za dziwne ani tym bardziej za godne potępienia. Ale już wtedy, gdy Omar przekazał Biblię George'owi, muzułmanie i chrześcijanie jęli się od siebie odsuwać, a do ich wzajemnych stosunków wkradała się nienawiść.

A teraz było jeszcze gorzej.

- Nie chodzi o religię - rzekł Saba. - Może gdyby nie było ani Biblii, ani Koranu żyłoby nam się szczęśliwiej? Gdyby słynna gwiazda objawiła się mędrcom nie nad Betlejem,

ale - powiedzmy - nad Bagdadem, pewnie życie byłoby tu jaśniejsze. Chcę powiedzieć tylko, że ilekroć sięgam po Biblię, to myślę o tobie, Abu Ramizie, i o wszystkim, co ci zawdzięczam.

Omar Jussef nalał sobie wody mineralnej z plastikowej butelki. Brązowe oczy zwilgotniały mu ze wzruszenia, a myślą cofnął się w przeszłość. Ta prastara Biblia! Ileż mądrych głów pochylało się z szacunkiem nad tymi kartami. Ile rąk zostawiło ślady na jej stronicach. Ojciec, który ją czytał, odszedł trzydzieści lat temu. Później pochylał się nad nią ten chłopak, dziś dojrzały mężczyzna, którego on, Omar, wychował. Spojrzał z sympatią na George'a i dyskretnie otarł palcami oczy.

George zamówił mezze - zestaw przystawek złożony z sałatek i grillowanego mięsa. Zjedli w milczeniu. Kelner przyniósł im na deser baklawę [*Baklawa - tradycyjny deser z ciasta półfrancuskiego przekładanego orzechami i migdałami z cukrem lub miodem] oraz herbatę dla George'a i mocną gorzką kawę dla Omara.

- Kiedy mieszkałem w Chile, też się z nią nie rozstawałem. - George nawiązał do Biblii.

Wielu chrześcijan z Bejt Dżala, rodzinnej wioski George'a, emigrowało wzorem przodków do Chile. Ściągała ich tam wizja lepszego życia, jak również świadomość, że wiara, która tu budziła coraz większą nienawiść ze strony muzułmanów, tam była religią większości.

W Santiago George zajmował się sprowadzaniem od kuzyna, właściciela stolarni w Bab Tuma - chrześcijańskiej dzielnicy Damaszku - składanych stolików do gry w tryktraka i szachy, wykładanych zielonym suknem stolików do kart, inkrustowanych biurek oraz tabliczek z arabskimi i hiszpańskimi hasłami pokoju. Sprzedawał je miejscowym nuworyszom z branży winiarskiej. W Chile ożenił się z Sofią - córką palestyńskiego chrześcijanina. Lubiła Chile i czuła się tam szczęśliwa, ale George tęsknił za ojcem, Habibem, i stopniowo udało mu się ją przekonać, że skoro w Bejt Dżala nastał pokój, mogą wrócić w rodzinne strony.

Po powrocie George odnowił znajomość z Omarem Jussefem i spotykali się od czasu do czasu, ale dziś po raz pierwszy rozmawiali w cztery oczy.

- W domu nic się nie zmieniło - stwierdził George. Jak dawniej wisi tam mnóstwo strojów ślubnych. W salonie te, które tata wypożycza, a w sypialni - przeznaczone na sprzedaż. Wszystkie starannie zapakowane w folię. Tylko że teraz ledwie je widać zza moich mebli - antycznych kredensów z Syrii i starych ozdobnych luster, które, niestety, przestały się sprzedawać.

- Lustra? I ty się dziwisz? Kto w dzisiejszych czasach chce spojrzeć sobie w oczy? - zaśmiał się ironicznie Omar. - Korupcja szaleje, coraz więcej przemocy i nic z tym nie można zrobić. Miastem rządzi banda tępych sukinsynów, których boi się nawet policja.

- Właśnie zastanawiałem się nad tym - rzekł George. - Brygady Męczenników przychodzą tu i otwierają ogień na Gilo, po drugiej stronie doliny. Wtedy Żydzi też zaczynają strzelać, a zaraz potem przysyłają tu czołgi. W mój dom trafiło kilka pocisków. Sukinsyny urządziły sobie strzelnicę na dachu, a Żydzi oczywiście odpowiedzieli ogniem. Jedna kula trafiła prosto w okno salonu, przebiła drzwi z litego drewna, przeleciała przez cały korytarz i utkwiała w lodówce. - Omar dostrzegł błysk w oczach George'a. - Nie pozwolę, by się to powtórzyło - rzekł przez zaciśnięte zęby. - Bądź ostrożny, George. - Omar położył rękę na tłustej dłoni przyjaciela. - Ja mogę mówić, co myślę o Brygadach Męczenników, bo mam za sobą cały mój klan. Gdyby chcieli się do mnie dobrać, naraziliby się połowie Dehajszy, więc się nie odważą. Ale ty, George, jesteś chrześcijaninem i nie masz takiego wsparcia.

- Chyba za długo byłem za granicą, żeby się godzić na to, co tu się dzieje. - George podniósł wzrok. Jego błękitne oczy przybrały stalową barwę. - A może po prostu nie potrafię zapomnieć tego, czego mnie uczyłeś, że trzeba mieć zasady i żyć wedle nich.

Omar milczał, dopijając kawę.

- A wiesz, kto jeszcze z naszych wrócił do Betlejem? - Choć starał się opanować, w głosie George'a czuło się napięcie. - Elias Biszara.

- Naprawdę? - uśmiechnął się Omar.

- Nie wiedziałeś? No cóż, przyjechał ledwie tydzień temu. Jestem pewien, że cię odwiedzi, gdy tylko się urządzi.

Elias Biszara był młodszy od George'a, ale również należał do ulubieńców Omara w szkole lasalianów.

- Słyszałem, że zrobił doktorat w Watykanie?

- Tak, a potem został w Rzymie, sekretarzując jednemu z kardynałów. Ale właśnie zjawił się i jest po dawnemu w Bazylice Narodzenia Pańskiego. Zdaję sobie sprawę, że wracając tu, obaj naraziliśmy się na kłopoty. Dlaczego? Nie wiem, czy zrozumiesz, Abu Ramizie. Gdy dorastaliśmy, marzyliśmy stale, żeby wyjechać, zarabiać i spokojnie żyć. Tylko że na obczyźnie zawsze przychodzi taki dzień, kiedy zaczyna się tęsknić za prawdziwym hummusem, za jasnym słońcem nad wzgórzami, za dźwiękiem dzwonów w kościołach i nawoływaniem muezinów z minaretów. Raptem zaczyna tego brakować i człowieka ogarnia nostalgia tak wielka, że nie może sobie dać rady. I wraca, bez względu na wszystko.

- Odwiedzę Eliasa w bazylice, gdy tylko będę mógł.

- Za miesiąc jest Boże Narodzenie. Zapraszam do nas. Pójdziemy do kościoła, a potem zjemy obiad. Oczywiście z Umm Ramiz.

- Dziękuję, żona bardzo się ucieszy, przyjdziemy z przyjemnością.

Odbył się rytualny spór nad rachunkiem. Obaj wyjęli pieniądze, rzucili na stół i dyskutowali, kto ma zapłacić. Pewnie trwałoby to jeszcze dłuższą chwilę, gdyby nie odgłosy strzałów. Dobiegały z bliska.

- Sukinsyny, znów zaczynają! - George zerwał się od stołu, zostawiając pieniądze. - Muszę iść, Abu Ramizie.

Omar Jussef ruszył za nim do wyjścia. Od drzwi widać było serie pocisków smugowych bijących w dwupiętrowy dom w pobliżu. Z dachu tego domu w stronę przedmieścia Jerozolimy, po drugiej stronie doliny, strzelano seriami z karabinów maszynowych. Obok budynku stało czarne terenowe mitsubishi.

- Jezu, znowu z mojego dachu!

- George!...

- Nie martw się o mnie, ale sam uciekaj, bo zaraz zjawią się Izraelczycy i nawet twój wielki klan cię nie uchroni. Do widzenia. - George pożegnał Omara serdecznym gestem i kryjąc się za płotami okalającymi ogrody, pobiegł w ciemność.

Izraelczycy rozpoczęli ostrzał z cięższej broni i Omar Jussef zasłonił uszy. W ciemności pociski smugowe jawiły się jak śmiertcionośny zapis alfabetem Morse'a. Ten kod oznaczał śmierć. Omar Jussef poczuł przenikający go chłód. Przemknęło mu przez myśl, że może powinien pójść za George'em, ale ten już znikł w mroku. Za jego plecami niecierpliwiał się kelner.

- No jak, wujku, zostajesz czy wychodzisz?

- Idę do domu. Dobranoc.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Ruszył, myśląc o tym, że wygląda głupio, kuląc się pod ścianami domów i w ciemności wymacując stopami dziury w chodniku. Ogarnęło go uczucie strachu i zwątpienia. Wyczuwał jakiś ruch w prześwitach między zabudowaniami. W mroku majaczyły sylwetki ludzi i zwierząt. Czuł się trochę jak dziecko, które przy zgaszonych światłach drepcze nocą do łazienki. Zimny pot zrosił mu łysinę i wąsy, a wiatr potęgował uczucie chłodu. Co za stary głupiec ze mnie, karciał się w myślach. Szwendać się podczas strzelaniny w nowych pięknych butach! Gdzie twój rozum, Abu Ramizie?!

Ostrzał przybrał na sile. Omar znów pomyślał o George'u. Co on zrobi, gdy znajdzie ludzi z bronią na dachu swego domu?! No cóż, dopiero w obliczu śmiertelnego

niebezpieczeństwa człowiek przekonuje się, na czym mu naprawdę zależy i co naprawdę kocha.

Wszyscy domownicy schronili się w sypialni. Przycupnęli przy ścianie z ciosanych kamieni. Ta strona domu była najdalej od strzelaniny. Przeciwległa, gdzie mieścił się salon, wychodziła na dolinę i izraelskie pozycje na zboczu. George wpadł do domu przez frontowe drzwi. W środku huk strzałów brzmiał jeszcze głośniejszy. Pociski wpadały przez okno. Z korytarza przy drzwiach przeczołgał się do salonu.

Sofia Saba patrzyła na męża przerażonym wzrokiem. Dobiegała ledwie czterdziestki, ale jej twarz już porały głębokie zmarszczki, których przedtem nie było. Z każdym strzałem i wybuchem siatka zmarszczek zdawała się gęstnieć jak rysy na szkle. Kasztanowate włosy okalały wylęknioną twarz i trwożliwe oczy. Ramionami otaczała syna i córkę, tuląc ich do siebie. Cała trójka dygotała ze strachu. Obok, pod kolekcją antycznej broni zawieszanej na ścianie przez George'a, siedział jego milczący i pozornie spokojny ojciec - Habib Saba. Wystające kości policzkowe, długi, prosty nos i wyniosła postawa sprawiały, że jawił się jak posąg niewzruszonego arystokraty. George zawołał ojca, przekrzykując odgłosy wystrzałów, ale starzec nawet nie drgnął.

Większość izraelskich pocisków wzięła w zewnętrznym murze, ale raz po raz jakiś trafiał w wybite okno i ze świstem przelatywał przez salon, uderzając z łomotem w ścianę, za którą kryła się rodzina Saby. Sofia dygotała wtedy nerwowo. Bała się, że za którymś razem ściana runie i dzieci znajdą się na linii ognia. Hałas potęgowały odgłosy tłukących się luster, porcelany rozbijającej się o kamienną posadzkę i trzask mebli rozsypujących się od kul.

Izraelski pocisk śmignął przez korytarz i uwiązał we framudze drzwi tuż obok wchodzącego George'a. Kiedy kluczył w ciemności, postanowił, że tym razem na pewno zacznie działać. Przeklinał bandytów w duchu, ale gdy pocisk przeleciał o centymetry od jego głowy, nie wytrzymał i zaklął na cały głos. Marzył tylko o tym, żeby przeczołgać się, ukryć za ścianą, zamknąć oczy i nic nie widzieć, nie słyszeć. Może ten cały koszmar tylko mu się śni. Kiedy otworzy oczy, okaże się, że jest w swoim sklepie w Santiago, a idiotyczna mrzonka o powrocie do domu rodzinnego w Betlejem to tylko zły sen. Zajrzał do sypialni i poczuł na sobie wzrok żony. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, tuląc dzieci do siebie. Nie obudzi się w Santiago, nie skryje się przed rzeczywistością. Musi położyć temu kres. Wstał, przyłgął do ściany, jakby chciał w nią wniknąć, głęboko oddetchnął, jakby miał skoczyć do lodowatej wody, i rzucił się przez korytarz do sypialni.

Objął żonę i dzieci.

- Wszystko będzie dobrze, kochani. Zaraz coś z tym zrobię. - Przygarnął Sofię i dzieciaki jeszcze bliżej, żeby nie widziały, że nie jest w stanie opanować drżenia szczęk.

Ojciec, który trwał dotąd bez ruchu, potrząsnął głową.

- Co chcesz zrobić? - spytał.

George spojrział ze smutkiem na starca. Nie zwiodły go ani pozorny spokój, ani kamienna postawa. Ojciec siedział bez ruchu w milczeniu, bo poddał się już dawno i od tamtej pory starał się nie rzucać nikomu w oczy. Był chrześcijaninem, a chrześcijanie należeli teraz do wyklętej mniejszości w Betlejem, więc Habib Saba starał się w żaden sposób nie prowokować muzułmanów. George, mieszkając tyle lat za granicą, nauczył się chodzić z podniesionym czołem. Położył rękę na ramieniu ojca i pogłaskał go po szorstkim policzku.

Zaraz potem wstał i zdjął ze ściany zabytkowy rewolwer. Był to webley VI, pamiętający czasy drugiej wojny światowej. Kupił ten egzemplarz kilka miesięcy wcześniej od pewnego starca, który dostał tę broń od brytyjskich oficerów jako pamiątkę na zakończenie służby w Legionie Arabskim. Metal już dawno stracił połysk, a rdza stoczyła bęberek. Ale w mroku sześciocalowa lufa mogła wyglądać groźnie, a na pewno znacznie groźniej niż stare tureckie skałkówki, które też dekorowały ścianę w sypialni. Ścisnął dłonią rękojeść i poczuł ciężar broni.

Habib wyciągnął rękę, aby powstrzymać syna, ale nie zdołał. Sofia krzyknęła, widząc broń w ręku męża. Córka patrzyła w niemym przerażeniu spod matczynego ramienia. George wiedział, że musi działać, bo dłużej nie wytrzyma lęku w oczach najbliższych. Wyciągnął rękę i położył dłoń na czole córki, jakby chciał, aby przymknęła powieki.

- Nie martw się, Miral. Tata powie tym ludziom, żeby skończyli zabawę i przestali hałasować.

Zabrzmiało to głupio, więc jeszcze przez chwilę nie zdejmował ręki z czoła dziewczynki, żeby nie widzieć zdumienia w jej oczach. Nawet dziecko wiedziało, że to nie zabawa. Zaraz potem wybiegł przez frontowe drzwi.

ROZDZIAŁ 2

Ciemność sphywała ze wzgórz i mrok ogarniał dolinę, spowijając drzewa oliwne i rzucając cień na romantyczne portrety męczenników na nagrobkach cmentarza w Irtas. W domu Rahmanów nie zapalono światła, aby nie wylaniały się z ciemności ani grządki warzywne, ani kępa pinii za domem, bo tamtędy właśnie miał się wkrótce przekradać najstarszy syn. Spodziewano się, że zjawi się na iftar, wieczorny posiłek podawany po całym dniu postu w ramadanie. Dima Abdel Rahman przyniosła już z kuchni tacę pełną szklanek z kamar addin - sokiem morelowym. Zaczęła je rozstawiać przy poduszkach, na których

zasiadą domownicy. Największą przeznaczyła dla Louaia i tę umieściła na niskim stoliku w kącie, gdzie będzie chciał zasiąść, bo stamtąd widać, co się dzieje za oknami. Nie bacząc na dobiegające z kuchni nerwowe pomruki teściowej, otworzyła okno, próbując dojrzeć w ciemności, czy mąż już nadchodzi. Poprawiła kremową chustę - spięta agrafą pod brodą tkanina podkreślała owal twarzy. Jasne oczy pod długimi rzęsami przypominały barwą brązowiejące jesienne liście. Łagodny i ufny wyraz twarzy zakłócały nieco zaciśnięte usta i jakby cień osamotnienia. Poczula chłód, więc otuliła się świąteczną, połyskującą szatą.

Położenie budynku sprzyjało tajemnym odwiedzinom. Przymykając ze swojej kryjówki znajdującej się, pół kilometra od rodzinnego domu, Louai Abdel Rahman ani na chwilę nie musiał wychodzić na otwartą przestrzeń, gdzie izraelskie patrole łatwo mogłyby go wysledzić. Kręte uliczki Irtas biegły w dół aż do dna doliny, wyglądając jak górskie potoki płynące wśród domów z pustaków. Skrajem doliny ciągnęły się żyzne poletka fellachów, otaczające zielonym kręgiem słynne ogrody należące do klasztoru Sióstr Św. Marii. Po drugiej stronie, patrząc od domu Rahmanów, wejście do doliny zamykały starożytne studnie znane jako Sadzawki Salomona, z których za czasów króla Heroda woda płynęła akweduktem do samej Jerozolimy. Mając liczne źródła w dolinie, mieszkańcy Irtas pławili się w luksusie niedostępnym dla innych palestyńskich wiosek - nie musieli martwić się o wodę, podczas gdy gdzie indziej przez osiem miesięcy letniej suszy z niepokojem patrzono na wysychające cuchnące zbiorniki. W innych wioskach rosły wyłącznie karłowate oliwki, a tu, w dolinie, obok drzew oliwnych także wysokie pinie o rozłożystych koronach. Dima Abdel wiedziała, że osłonią jej męża, gdy będzie zdążał do domu. Jakby natura sama sprzyjała jego walce z okupantami. Gdyby Izraelczycy wystawili posterunki na szczycie zbocza, Louai zobaczyłby ich natychmiast, bo wyżej roślinność stawała się uboższa i na tle gołych skał, nawet o zmierzchu, żołnierzy widać byłoby jak na dłoni.

Spomiędzy drzew dobiegł jakiś szmer.

To on, pomyślała Dima. Nasłuchiwała w milczeniu, nie reagując na wołanie teściowej z kuchni. Wzrok Dimy nie wyławiał niczego z ciemności, ale słuch podpowiadał, że ktoś nadchodzi. Wreszcie. Po raz pierwszy od wielu tygodni. Wygładziła chustę, poprawiła agrafę pod brodą.

Gdyby nawet Louai musiał się kryć przed Izraelczykami przez całe lata, Dima nigdy nie zdoła przywyknąć do długich przerw dzielących krótkie wizyty męża w domu, w którym mieszkała z jego rodzicami, bratem i trzema siostrami. Pobrali się przed rokiem i niemal cały ten rok Louai się ukrywał. Sprawdziły się więc obawy jej rodziców. Przed ślubem radzili się nawet sąsiada - Omara Jussefa - nauczyciela, którego ojciec darzył szczególnym szacunkiem.

Ustaz - profesor - przestrzegał, że Dima może rychło zostać wdową. Ale zarazem podkreślał, że skoro młodzi się kochają, to takie uczucie trzeba uszanować, zwłaszcza gdy wokół jest tyle nienawiści.

Tak więc Dima rzuciła szkołę w Dehajszy i wyszła za Louaia, a po ślubie zaczęła pracować u teścia w warsztacie samochodowym. Prowadziła rachunki i dyżurowała przy telefonie. Po pracy zajmowała się domem i wyglądała odwiedzin Louaia, a te stawały się coraz rzadsze. Zdarzało się, że nie widziała go przez tydzień albo i dłużej. A gdy się wreszcie zjawiał, to wpadał jak po ogień, na godzinę lub dwie, i znów znikał, a ją ogarniał smutek. Bez męża, który osładzałby noce, dni spędzane w oszklonym kantorku w warsztacie jeszcze bardziej ją przygnębiały. Co gorsza, ojciec Louaia Muhammad i jego brat Junis odnosili się do niej coraz chłodniej, jakby winiąc ją za ryzyko, jakie Louai podejmował, skradając się nocami do domu. A może chodziło o coś innego.

Kilka tygodni wcześniej, pod nieobecność Muhammada i Junisa, do warsztatu zaszedł pewien mężczyzna. Rosły, w polowym mundurze, przysiadł bez najmniejszego skrepowania na biurku Dimy, gniotąc papier wielkim zadem, i próbował uszczypnąć ją w policzek. Cofnęła się, a on tylko się zaśmiał.

- Chciałbym kupić coś od twojej rodziny - rzekł. - Ale zapłacę podwójną cenę, jeśli ty mi to dostarczysz.

I wtedy w drzwiach warsztatu stanął Junis. Intruz jeszcze raz wyciągnął rękę ku Dimie, ale zorientował się, że ktoś patrzy, więc znów tylko się zaśmiał i wyszedł. Junis obrzucił Dimę podejrzliwym spojrzeniem i wybiegł za nim. Po tym wydarzeniu przestał się do niej odzywać.

Kiedy wkrótce potem Louai przyszedł w odwiedziny, Dima poskarżyła się, że teść i szwagier źle się do niej odnoszą. Mąż zareagował w sposób, jakiego się nie spodziewała. Zwykle opanowany i cichy, zaskoczył ją nagłym wybuchem złości.

- Nie masz prawa osądzać mojego ojca i brata, a w ogóle to nie wtrącaj się w nieswoje sprawy!

Nie miała pojęcia, o jakich sprawach mówi. Przecież skarżyła się tylko na lodowatą atmosferę w domu i w pracy, nic więcej. A Louai znów ją zaskoczył. Opanował się i przeprosił. Tłumaczył, że to wszystko skutek stresu, bo siedzi w kryjówce jak w więzieniu. Ale Dima wiedziała, że kłamie, a ostra reakcja Louaia na początku potwierdziła tylko jej podejrzenia wobec Junisa. Później usłyszała, jak bracia się kłócą. Robili to szeptem, więc nie rozumiała, o czym mówią, ale ton nie pozostawiał wątpliwości, że coś jest nie tak. A potem,

przy pożegnaniu, Louai - co też widziała - obrzucił ojca jakimś dziwnym spojrzeniem, jakby chciał go zganić.

Stała przy otwartym oknie, wpatrując się w ciemność. Słyszała przecież, że ktoś nadchodzi. Ale oto kroki ucichły, a po chwili znów coś dotarło do jej uszu - jakby ktoś, kto się zbliżał, poczuł się pewniej i zaczął iść bardziej zdecydowanie. I wtedy z ciemności dobiegło do niej zdanie:

- Ach, to ty, Abu Walidzie.

Poznała głos męża. Brzmiał spokojnie i przyjaźnie. Znów wyteżyła wzrok. I nagle między piniami dostrzegła migoczący czerwony ognek. Przez ułamek sekundy krążył, zataczając niewielki krąg, potem znieruchomiał, jakby świetlik przysiadł na liściu. I w tym właśnie momencie rozległ się strzał. Dima otworzyła usta, jakby nadmiar powietrza rozsadał jej płuca. Zobaczyła męża, jak chwieje się między drzewami. Twarzy nie widziała, ale nie miała wątpliwości, że to on. Poznała dzinsową kurtkę i spodnie, które sama mu kupiła przed jego ostatnimi odwiedzinami. Wybiegł spomiędzy drzew, trzymając się za ramię.

Znów mignął czerwony ognek i znów rozległ się huk wystrzału. Louai rozrzucił szeroko ramiona, zakręcił się jak derwisz w tańcu, po czym zachwiał się i padł na skraju zagonu kapusty.

Dima patrzyła w niemym przerażeniu. Teściowa wbiegła do pokoju, lamentując, że nadchodzą Izraelczycy.

- Wymordują nas wszystkich! - krzyczała, wzywając na pomoc męża i syna. - Junis, chodź do mnie, Muhammad, mężu, ratuj nas!

Spieszne kroki zadudniły na schodach. Wyrwani z drzemki mężczyźni zbiegali z piętra. Dima stała jak skamieniała. Miała wrażenie, że jeśli uczyni jakikolwiek ruch, to jej ciało rozsypie się w proch. Ale się opanowała. Puściła się biegiem do drzwi, przewracając po drodze szklankę z kamar addin.

Zabójcy jeszcze tam są, przemknęło jej przez myśl. Ale muszę iść do niego. Oby nie był ciężko ranny!

Przebiegła przez zagon kapusty, przyklękła przy mężu. Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że łzy płyną jej z oczu, a gdy odwróciła Louaia na plecy, szloch zamienił się w krzyk. Patrzył szeroko otwartymi oczyma, ale nie było w nich życia, z na w pół otwartych ust wyzierał język. Kurtka mokra od krwi, plama rozlała się od szyi po brzuch. Wzięła go za rękę, dotknęła twarzy. Ciało już stygło. Był taki przystojny. Spojrzała na jego dłoń. Miał szczupłe, długie palce. Potrafił nimi dotykać tak delikatnie... Dlaczego? Jak to się stało, że sprawa palestyńska okazała się dlań ważniejsza niż ich wspólne szczęście i miłość?

Nadbiegła matka. Już wiedziała. Słyszała rozdzierający krzyk Dimy. Uklękła przy zmarłym synu, kładąc dłonie na jego zakrwawionej piersi. W geście rozpaczycy jęła ugniatać w dłoniach mokrą tkaninę, a po chwili chwyciła się za głowę dłońmi unurzanyymi w synowskiej krwi i podniosła głośny lament do Boga.

- Odejdź od niego!

Dima usłyszała za plecami ostry głos Junisa. Chwycił ją za ramię i oderwał brutalnie od ciała męża. Matkę też, ale uczynił to znacznie delikatniej.

- *Allahu akbar* - Bóg jest wielki - modliła się matka, gdy Junis prowadził ją do domu.

Na ułamek sekundy jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Dimy. Patrzył zimno, wręcz wrogo. Zmieszała się.

- Niczego nie ruszaj i nie dotykaj, aż przyjedzie policja - rozkazał.

- Policja? - zdziwiła się.

- Tak.

- A co policja może pomóc? Izraelczycy go zamordowali, twojego brata, a mojego męża. Chyba nie wydaje ci się, że policja zacznie raptem szukać i aresztuje izraelskiego żołnierza, który go zastrzelił? - Rób, co ci mówię.

- Policja się tym nie zajmie, chyba żeby zabójcą był Palestyńczyk. Ale który Palestyńczyk zabiłby członka naszej rodziny? Który Palestyńczyk zabiłby bojownika ruchu oporu?

Junis odwrócił wzrok, a kiedy podeszła do niego, spojrzał na nią z nienawiścią.

Dima użyłaby jeszcze mocniejszych słów, gdyby nie wzgląd na zmarłego. Ostre słowa kłóciły się majestatem śmierci. Junis odprowadził matkę do domu, zapalił lampy. Światła wyłowiły z ciemności martwe ciało Louaia i tężającą plamę krwi.

ROZDZIAŁ 3

Omar Jussef umieścił starannie na biurku teczkę z wiśniowej skóry, a następnie ustawił kombinację cyfr na złotym szyfrowym zamku. Otworzył wieko i z wewnętrznej kieszeni teczki dobył wieczne pióro Mont Blanc. Otrzymał je kiedyś w prezencie od uczniów kończących naukę - znano bowiem jego zamiłowanie do ładnych przedmiotów. Z przyjemnością trzymając w dłoni świetnie wyważone pióro, spojrzał na stos zeszytów do poprawienia. Zastanawiał się, czy obecni uczniowie też kiedyś okażą wdzięczność swemu nauczycielowi. Otworzył pierwszy zeszyt i zaczął czytać wypracowanie na temat upadku imperium osmańskiego. Irytowała go ta klasa i ta młodzież. Starł się nad tym zapanować, ale bez skutku. Nie mógł po prostu znieść, jak w kółko powtarzają wytarte slogany o tym, że biedni Arabowie od początku dziejów byli ofiarami agresorów, najpierw krzyżowców, potem

Mongołów, Turków, Brytyjczyków i tak aż do intifady. Owszem, historia obchodziła się z Arabami surowo, ale to wcale nie znaczy, że Arabowie nie ponosili żadnej odpowiedzialności za swe cierpienia. Więc na swoich lekcjach Omar Jussef próbował walczyć z tymi prymitywnymi, siejącymi nienawiść uproszczeniami. Ale skutek był taki, że sam irytował się coraz bardziej, a uczniowie i uczennice i tak go nie chcieli słuchać.

Dziś wszelako postanowił klasę potraktować łagodniej, więc przy pierwszym wypracowaniu postawił trójkę. Odłożył nieporządnie prowadzony zeszyt i sięgnął po następny. Czuł, że się starzeje. Myślami wrócił do wczorajszego wieczoru i do kolacji z George'em Sabą. Spotkanie z nim sprawiło mu radość. Z George'a i jeszcze kilku dawnych uczniów był naprawdę dumny. Ale teraz? Irytowała go głupia, prostacka i pełna gwałtów polityka, a tak właśnie, przez jej pryzmat, patrzyły na świat jego uczennice. Jednocześnie złościła go własna bezsilność - świadomość, że jest zbyt stary i zbyt oddalony od świata, w jakim żyły, żeby cokolwiek w ich myśleniu zmienić. Wiedział, że w męskiej szkole byłoby jeszcze gorzej, ale i tu, w szkole dla dziewcząt, szokowała go atmosfera wrogości. Chociaż wkładał wiele wysiłku, aby uwolnić umysły dzieci z Dehajszy z okowów nienawiści, inni pracowali nad tym, aby im tę nienawiść zaszczepić coraz głębiej.

Kiedyś było inaczej - wspomniawszy czasy, gdy uczył George'a. Wtedy młodzież otwierała się na wiedzę, chłonęła jego wykłady. Potem nastąpiło inne pokolenie, młodzież się zmieniła. Nie tylko ona. Zmieniło się wszystko. W Betlejem zapanowały napięcie i nienawiść, a wraz z nimi przyszła bieda i siejąca wrogość propaganda. Nawet najlepsze uczennice, jak choćby Dima Abdel Rahman, ulegały takiej atmosferze i padały ofiarą przemocy. Jej ojciec, sąsiad Omara, zadzwonił wczoraj wieczorem i opowiedział o śmierci Louaia. Ceremonia pogrzebowa miała się odbyć rano, gdy Omar pracował, więc postanowił odwiedzić Rahmanów po południu. Rozważał, czy nie zaproponować Dimie, by wróciła do szkoły. Uznał jednak, że należy z tym poczekać. Tak bardzo kochała męża, że wszelkie rozmowy dotyczące przyszłości lepiej odłożyć na później.

O tej porze, gdy pierwsze promienie słońca wpadały do pustej jeszcze klasy i gdy pochylał się nad nieudolnymi wypracowaniami, Omar Jussef sam się dziwił, dlaczego dotąd nie przystał na sugestie dyrektora szkoły, Amerykanina, i nie rzucił tego wszystkiego. Miał co prawda ledwie pięćdziesiąt sześć lat, ale Christopher Steadman chciał go wysłać na emeryturę. Dawał mu to jasno do zrozumienia, patrząc wymownie na jego drżące po wielu latach picia dłonie, chociaż ten rozdział życia Omar Jussef dawno już zamknął. Chodził wolno, drobnymi krokami i sprawiał wrażenie ogromnie starym. Steadman wolałby pewnie kogoś młodszego i bardziej energicznego, ale Omar podejrzewał, że chodzi nie tylko o to. Tak

naprawdę dyrektor chciałby zatrudnić kogoś bardziej uległego, kto nie będzie mu się przeciwstawiał. I za to Omar szczerze go nienawidził. Uważał, że udało mu się w życiu ukształtować wystarczająco wiele młodych umysłów - choćby George'a Sabę, Eliasa Biszarę czy Dimę Abdel Rahman - by twierdzić, że sprawdził się jako nauczyciel. Ale może rzeczywiście powinien dać sobie spokój i machnąć ręką na całe to szaleństwo, propagandę męczeństwa i codzienne kłamstwa.

- Dzień dobry, *ustaz*. - Do klasy weszła pierwsza uczennica.

Omar odwzajemnił pozdrowienie. Musiał się oderwać od bliskich sercu wspomnień o dawnych wychowankach, wrócić do trudnej i niezbyt miłej rzeczywistości. Uczennice zajmowały miejsca, krzesła skrzypiały, powietrze przepełniła woń niedomytych pach i przetrawionej fasoli. Omar wziął kolejny zeszyt, udając, że poprawia. Dłoń trzymająca pióro drżała jak zawsze w ostatnich dniach. Gdy przewracał kartki, spostrzegł na wierzchu dłoni małą plamkę wątrobową. Jeszcze wczoraj jej nie było. Pojawiła się ostatniej nocy, może jakiś dzinn zakradł się i nazaczył go piętrem przedwczesnej starości. Tylko że tej nocy dzinn miałby kłopoty ze znalezieniem go śpiącego w łóżku. Połowę nocy Omar Jussef spędził w łazience, usiłując opróżnić pęcherz, i dzinn, jeśli już, mógłby wycisnąć starcze piętno na jego ledwo ciurkającym penisie. Tak wyglądało naprawdę jego życie. Za młodu też nie był nikim nadzwyczajnym, bo - żeby być w zgodzie z prawdą - do wyidealizowanego portretu zadumanego młodzieńca należałoby dodać zmętniałe od alkoholu oczy i zaciśnięte z goryczy usta kogoś, kto wie, że sporo nabroił i ma za co przepraszać, choćby tych, których obraził po pijanemu, ale przede wszystkim samego siebie powinien błagać o wybaczenie. Uznał jednak, że już dość tych myśli na jeden poranek. Może rzeczywiście powinien pomyśleć o emeryturze. Postanowił porozmawiać o tym ze swoją żoną Mariam.

Kolejne uczennice wchodziły i w milczeniu zajmowały miejsca. Znały swego nauczyciela, wiedziały, że nie lubi paplaniny, chyba że jest w wyjątkowo dobrym nastroju, co jednak na pierwszej lekcji, o wpół do ósmej rano, zdarzało się niezwykle rzadko. Ale jedna z dziewczyn była zbyt poruszona, by panować nad sobą. Chadidża Zubejda - wysoka, szczupła brunetka uczesana w kok, z mnóstwem pryszczycy na białych policzkach - szeptała coś z przejęciem do dwóch koleżanek w sąsiedniej ławce.

- Gdy wychodziłam do szkoły, zadzwonił tata. Powiedział, że aresztował kolaboranta, który pomagał Izraelczykom zabić męczennika w Irtas. Tata powiedział, że szykuje się egzekucja zdrajcy - mówiła szeptem, ale cała klasa ją słyszała.

- A któż to taki?

- Kolaborant? Przeklęty chrześcijanin z Bejt Dżala. Saba czy jakoś tak. Zaprowadził Izraelczyków prosto do Irtas, gdzie akurat przebywał ten wielki bojownik. A jakby tego było mało, sam jeszcze dobił go nożem, który dostał od Żydów.

Omar Jussef odłożył pióro, zanim wypadło mu z drżących palców. Odsunął zeszyt i chwycił się oburącz za głowę, usiłując zebrać myśli. Wzięli George'a! Wiedział, że to o niego chodzi, ale postanowił się upewnić.

- Chadidża, a jak ten Saba ma na imię? - spytał ochrypłym głosem.

- Chyba George, *ustaz*. Tak, George Saba. Tata mówi, że on trzyma w domu bezwstydną figurę nagich kobiet i że oficerowi, który go aresztował, proponował własną córkę.

Dziewczęta kręciły głowami i cmokały z wrażenia.

- Ale sam się przyznał - ciągnęła Chadidża. - Powiedział: „Wiem, dlaczego przyszliście. Przyszliście, bo zaprzedałem się Żydom”. Tata aż go walnął, gdy to usłyszał.

Omar Jussef wstał z krzesła, pochylił się nad biurkiem.

- Chodź tutaj - polecił ostro.

Chadidża wyszła na środek klasy zmieszana, nie rozumiejąc, o co chodzi, a on w pierwszym odruchu gotów był wymierzyć jej taki sam cios, jaki wedle niej ojciec wymierzył rzekomemu kolaborantowi. Powstrzymał się, oczywiście. Był nauczycielem, a nie oprawcą w policyjnym mundurze. Ale oczy zaszyły mu łzami wściekłości, a broda drżała. Przemknęło mu przez myśl, że wygląda chyba żałośnie i klasa to widzi.

- Nie pamiętasz, czego was uczyłem? - zaczął. Dziewczyna spojrzała na nauczyciela oczami bez wyrazu.

- Uczyłem was, jak powinno się patrzeć na historię - odpowiedział.

Chadidża milczała.

- Mówiłem, że najpierw trzeba poznać fakty, a dopiero potem ferować wyroki o tym czy innym sultanie albo o przyczynach jakiejś wojny.

- Tak jest, *ustaz* - potwierdziła dziewczyna nieco uspokojona.

- A więc skąd wiesz, że ten człowiek jest kolaborantem?

- Tata mi powiedział.

- A kim jest twój ojciec?

- Jest sierżantem. Mahmud Zubejda, oddział wywiadu, Siły Szybkiego Reagowania.

- To on prowadził śledztwo? Od początku do końca? Dziewczyna milczała, niepewna, co odpowiedzieć.

- Oczywiście że nie - Omar Jussef sam odpowiedział. - Skoro tak, to trzeba by porozmawiać z tymi, którzy prowadzili śledztwo, i dopiero wtedy wyrokować, czy zatrzymany jest zdrajcą, czy nie. Rozumiesz?

- Przecież on się przyznał.

- Przyznał się? Komu? Tobie? Byłaś tam? Właśnie. Zanim wydasz wyrok, powinnaś z tym człowiekiem porozmawiać. Nie tylko z nim, z jego znajomymi i przyjaciółmi. Powinnaś próbować go zrozumieć, a przede wszystkim ustalić motyw - dlaczego, jeśli w ogóle, zdecydował się na kolaborację. Dla pieniędzy? A może ten człowiek jest zamożny i nie potrzebuje pieniędzy? Jeśli tak, to dlaczego to zrobił? A może to nie on, tylko ktoś inny? A może po prostu ktoś chce zrobić z niego kozła ofiarnego? Na przykład jakiś konkurent w interesach.

Speszona dziewczyna przestępowała z nogi na nogę i rozdrapywała pryszcze na policzkach. Była bliska płaczu i Omar to widział. Zdawał sobie sprawę, że krzyczy, pochylając się nad nią zza biurka, ale nie mógł nad sobą zapanować. Był wściekły na głupotę całego pokolenia i wyładowywał tę wściekłość, patrząc na jej chude ramiona i bezmyślną twarz. - Ale skąd ja mam to wszystko wiedzieć? - jęknęła Chadidza.

- Nieważne - odpowiedział Omar - ważne jest to, że zanim się skaże człowieka na śmierć, trzeba poznać wszelkie okoliczności. - Pochylił się nad nią jeszcze bardziej. - Śmierć - dodał. - Wyrok śmierci! To za wielka sprawa, aby szeptać w ławce i chichotać. Ten rzekomy kolaborant też ma dzieci. Postaw się na ich miejscu. Jak byś się czuła, gdyby to twojego ojca zabrano i gdybyś wiedziała, że już nie wróci.

Gdy wypowiadał te słowa, uświadomił sobie, że widmo śmierci ojca musi tej dziewczynie towarzyszyć od lat. W każdej chwili jej ojciec mógł przecież zginąć, ponieść śmierć z rąk Izraelczyków w jakiejś przypadkowej strzelaninie. Zapewne wizja takiej tragedii jak koszmar nawiedza ją nocami, napawa lękiem i przeraża. To sprawiło, że poczuł na moment sympatię do niej.

- Wracaj na miejsce, Chadidzo.

Omar wyjął grzebyk, odgarnął kosmyki, które opadły mu na czoło, gdy pochylał się nad dziewczyną. W klasie było cicho jak makiem zasiał. Omar schował grzebień do kieszonki marynarki. Usiadł na swoim miejscu za biurkiem.

- Kiedy odejdziecie z tego świata - zaczął spokojniejszym tonem - co zostawicie po sobie? Gromadę dzieci? Ale co z tego? Ważniejsze jest, jak je wychowacie. Być może zostawicie też po sobie majątek. Ale co z tego? Ważniejsze jest to, kto odziedziczy ten majątek i jaki z niego zrobi użytek. Czy ludzie będą was wspominać z miłością? Tego wam

życzę. Ale też mogą o was myśleć z nienawiścią. Zastanówcie się nad tym. Spróbujcie odpowiedzieć sobie na te pytania. Jeśli same tego nie zrobicie, ktoś może was wyręczyć i podsunąć odpowiedzi, a może to być zły człowiek. Pokaże tak zwane dowody, sprawi, że zrobicie to, czego on będzie chciał. Nie pozwólcie na to, nie pozwólcie, aby obcy kierowali waszym życiem.

Jakbym mówił o sobie, przemknęło mu przez myśl.

- George Saba był kiedyś moim uczniem. Był inteligentnym, pogodnym chłopcem, zdolnym i wrażliwym. Miał też zasady. Nie wierzę, aby mógł zrobić coś złego.

- A jakie pan ma dowody? - zawołała Chadidza Zubejda z ławki. Omar podjął pytanie.

- Mam ich więcej niż ty, Chadidzo. Ty oceniasz sprawę miarą swojej nienawiści do człowieka, którego nawet nie widziałeś, ja natomiast znam go dobrze i bardzo Kocham.

No, nieźle jak na początek dnia, pomyślał z gorzką ironią. Oto deklaruje uwielbienie dla kolaboranta i ogłasza miłość do zdrajcy. Kiedy potrzebny będzie nowy kozioł ofiarny, żeby go zamknąć w więzieniu, będę jak znalazł. Cała klasa zaświadczy, że sympatyzuje z kolaborantem, ergo sam jestem kolaborantem. Popisał się, Abu Ramizie. Na przyszłość - więcej snu i dodatkowa filiżanka kawy rano.

Kiedy Omar Jussef wychodził z klasy po skończonych przedpołudniowych zajęciach, na korytarzu czekała na niego Wafa, sekretarka szkoły. Na twarzy miała przyklejony uśmiech, a w ręku filiżankę kawy.

- Niech cię Bóg błogosławi, dobra kobieto - rzekł Omar, biorąc filiżankę. - Zgaduję, że mam się przygotować na złą wiadomość.

Filiżanka stuknęła o spodeczek. Ręce Omara trzęsły się mocniej niż zwykle.

George, niech Bóg ma go w swojej opiece, pomyślał.

- Proszę się napić kawy, *ustaz* - uśmiechnęła się życzliwie. Omar czekał, z czym Wafa naprawdę przychodzi.

- Dyrektor chce pana zobaczyć.

- Dzięki za kawę, była wspaniała. - Omar wysączył ostatnią kroplę, oddał filiżankę Wafie. - Widzisz - pochwalił się - nawet nie zakląłem, słysząc o naszym szanownym zwierzchniku.

- Dzięki Bogu, chociaż raz.

Gdy wkroczył do gabinetu dyrektora Christophera Steadmana, dobry nastrój po spotkaniu z Wafą ulotnił się w jednej chwili. Przy biurku, obok dyrektora szkoły, siedział inspektor z rządowego wydziału oświaty - ten sam, który dziesięć lat wcześniej doprowadził do odejścia Omara ze szkoły braci lasalianów. Omar domyślił się, co oznacza jego obecność

tu, w szkole. Przed dziesięciu laty sukinsyn dołożył starań, aby pozbawić Omara możliwości wpływu na uczniów elitarnej szkoły, a teraz chce go odsunąć od kontaktu z młodzieżą z nizin społecznych, w szkółce w obozie dla uchodźców, gdzie tacy dranie jak on rekrutują młodzież do bojówkarskich organizacji. Omara ogarnęła złość, tym większa, że miał świadomość gry, jaką prowadzi dyrektor. Steadman potrzebował świadka, aby tym skuteczniej zmusić Omara do złożenia dymisji.

- Niech pan siada, Abu Ramizie - Steadman gestem wskazał krzesło. Omar odnotował oczywiście, że Amerykanin użył tradycyjnego zwrotu ze słowem „Abu”.

Nie dalej jak wczoraj dyrektor wypytywał o znaczenie słów „Abu” i „Umm”, a Omar zrobił mu cały wykład na ten temat.

- Otóż - tłumaczył - jak wszyscy, tak i my, Palestyńczycy, mamy imiona. Na przykład ja mam na imię Omar. Jednocześnie jednak zwą mnie Abu Ramiz. Ramiz to imię mojego najstarszego syna, Abu to ojciec. Abu Ramiz to „ojciec Ramiza”. Gdy się do kogoś mówi w ten sposób, okazuje mu się szacunek i przyjaźń.

W dalszym ciągu tego wykładu Omar ostrzegł dyrektora, że jeśli odeśle go na emeryturę, to nie będzie miał kogo wypytywać o tradycje i zwyczaje arabskie. Steadman jakby tego nie słyszał.

- Nie mam syna, ale gdybym miał, to nazwałbym go Scott. Mówiono by więc do mnie Abu Scott, dobrze rozumiem? A co znaczy Umm?

- Matka - wyjaśnił Omar. - Nasz syn to Ramiz, więc moja żona to Umm Ramiz, tak jak ja Abu Ramiz. Mój syn Ramiz jest bardzo przywiązany do tradycji i postanowił swojemu pierworodnemu dać imię po dziadku. Jest więc Abu Omar, a jego żona Umm Omar. Z kolei jego syn, gdy dorośnie i będzie miał syna, nazwie go imieniem ojca. Tym sposobem znów pojawi się Abu Ramiz, a o panu, panie dyrektorze, będzie się zawsze mówić po prostu: Amerykanin.

Steadman dokładał wysiłków, aby zbliżyć się do otoczenia. Rzeczywiście, chłop się stara, zapamiętał, co trzeba, zwrócił się do mnie per Abu, ale i tak go nie lubię, pomyślał Omar.

W gabinecie unosiła się niemiła woń. Był to rezultat usiłowań Steadmana, aby przestrzegać miejscowych tradycji i obyczajów. Przed ramadanem Omar powiedział mu żartem, że prawdziwi muzułmanie przez cały święty miesiąc powstrzymują się od kąpieli, tych zaś, którzy się myją, mają w pogardzie. Okazało się, że dyrektor wziął jego słowa za dobrą monetę i najwyraźniej postanowił nie kąpać się cały miesiąc. Omar pożałował swego

dowcipu i dyskretnie starał się stłumić odór wonią wody kolońskiej, którą rankiem, jak co dzień, natarł dłonie.

- Zna pan pana Abdel Hadiego z Ministerstwa Oświaty? - spytał Steadman.

Wiesz doskonale, że go znam, a on pewnie pokazał ci donosy na mnie, odparł w myślach Omar, ale głośno nic nie powiedział.

- Z przykrością muszę pana poinformować - ciągnął dyrektor - że na ręce pana Abdel Hadiego wpłynęły liczne skargi na pana. Dlatego pozwoliłem sobie pana tu dziś poprosić. - Steadman nerwowo odgarnął rzadkie blond włosy z opalonego czoła, a następnie oddał głos inspektorowi.

Ten wyciągnął plik listów „od rodziców” - i zaczął głośno czytać fragmenty.

Skarżono się w nich, że Omar Jussef dopuszcza się znieważania prezydenta i władz, że bojowników z Brygad Męczenników Al-Aksa nazywa gangsterami, że potępia samobójcze zamachy bombowe i wyraża się bez należytego szacunku o świątobliwych mężach z okolicznych meczetów.

- „W ubiegłym miesiącu - czytał inspektor dalej - kilku uczniów odniosło rany w czasie demonstracji przeciwko żołnierzom okupującym Grób Racheli. Następnego dnia nauczyciel Omar Jussef radził uczniom, aby nie marnowali kamieni na żołnierzy, lecz obrzucili nimi rodziców i przedstawicieli władz, bo to oni ponoszą odpowiedzialność za to, że młodzi ludzie muszą żyć w piekle”. To dosłowny cytat - dodał.

- To prawda? Tak pan powiedział, Abu Ramizie? - upewniał się Steadman.

Omar wlepił wzrok w czarne, chytre oczy inspektora. Dłonią zasłaniał usta, mając nadzieję, że wygląda to w miarę naturalnie. Chciał ukryć, że z wściekłości drżą mu wargi. Czuł przypływ adrenaliny wypełniającej jego żyły i potęgującej złość. Steadman powtórzył pytanie. Pozornie obojętny ton jego głosu jeszcze bardziej zirytował Omara.

- Nie oczekuję od pana stuprocentowej poprawności politycznej, Abu Ramizie. Jest pan na to za stary - ciągnął dyrektor - ale takich postaw nie mogę akceptować. Współpracujemy z lokalną administracją, a nasza szkoła żadną miarą nie może być wylęgarnią rewolucjonistów i nie wolno nam zachęcać młodzieży do aktów przemocy.

Ten głupiec uwierzył, że naprawdę namawiałem dzieci, by podniosły rękę na rodziców, pomyślał Omar.

- Uczniowie i tak stosują przemoc. Zaatakowali przecież żołnierzy. Mam nadzieję, że nie ma nic rewolucyjnego w stwierdzeniu, że był to akt gwałtu, bez względu na motywy, jakimi młodzi ludzie mogli się kierować. Co do mnie, to pouczyłem ich tylko, że ci, których zaatakowali, nie zawsze ponoszą największą winę.

- To skandal! - zawołał inspektor. - Jak można porównywać rodziców i nasze władze z okupantami. Winnymi prawdziwych zbrodni wobec narodu palestyńskiego są najeźdźcy!

- Poprawność polityczna to waszym zdaniem samobójczy zamach wśród tłumu niewinnych ludzi. Poprawność polityczna to wychwalanie samobójców w gazetach i modły na ich cześć w meczetach. - Omar uderzył pięścią w biurko. - A skandalem nazywacie zachęcanie dzieci, aby się zastanowiły, co robią?

- Ma pan złą opinię, Abu Ramizie - syknął inspektor. - Pańska teczka jest bardzo gruba. Będę musiał wszcząć oficjalne postępowanie przeciwko panu, chyba że przyjmie pan propozycję dyrektora.

Steadman siedział z zaciśniętymi ustami. Poprawił okulary, gdy Omar na niego spojrzał, i łypnął tylko zimno niebieskimi oczami przez małe okrągłe szkła.

Sukinsyn zdążył powiedzieć Abdel Hadiemu, że chce się mnie pozbyć. Pewnie razem wysmażyli tę sprawę, pomyślał Omar, postanawiając w duchu, że niczego im nie będzie ułatwiał. Nie okaże słabości i nie podda się, nawet gdyby mieli go zamknąć razem z Georgem Sabą.

- Pan Fergus czy panna Pilar nigdy by do czegoś takiego nie dopuścili - rzekł, przywołując nazwiska poprzedników Steadmana na stołku dyrektora. - Nie uciekaliby się do grózb. Tak, panowie mi grożą, nie tylko inspektor, ale i ty, Christopherze. Mam dość tej rozmowy. - Omar ruszył do drzwi.

- Abu Ramizie, poczekaj, trzeba to wyjaśnić do końca - zawołał Steadman.

- Cieszę się, Christopherze - Omar zatrzymał się przy drzwiach - że nauczyłeś się lekcji o użyciu „Abu”. Pozwolisz, że będę do ciebie mówił Abu Scott?

Nagła zmiana tonu zbiła dyrektora z pantałyku.

- Oczywiście - wyjąkał. - Jak ci mówiłem, gdybym miał syna, nazwałbym go Scott, więc naturalnie możesz do mnie mówić Abu Scott.

- To bardzo do ciebie pasuje. „Scott” po arabsku znaczy „zamknij się”. - Omar obrzucił szyderczym wzrokiem zmieszanego Steadmana i wściekłego inspektora. - A teraz żegnam panów, śpieszę do Irtas z kondolencjami. Mąż jednej z moich byłych uczennic padł właśnie ofiarą waszej politycznej poprawności.

ROZDZIAŁ 4

Ścieżką wzdłuż doliny ciągnął nieprzerwany potok ludzi pragnących oddać cześć zmarłemu bojownikowi. Żałobnicy zdążali do domu Abdel Rahmana, plotkując po drodze. Omar Jussef kłął pod nosem, że wyszedł rankiem bez płaszcza. Doliną Irtas targał zimny wiatr, a tweedowa marynarka nie chroniła przed chłodem. Przynurzył sobie solennie, że do

końca kwietnia nie ruszy się z domu bez płaszcza, niezależnie od tego, jaką pogodę ujrzy za oknem sypialni po przebudzeniu. Szedł najszybciej, jak mógł, ale i tak wszyscy go wyprzedzali, choć nikt się specjalnie nie śpieszył. Omar gratulował sobie, że przynajmniej wziął kaszmirowy beżowy beret, który osłaniał łysiejącą czaszkę i chronił przed wiatrem pieczołowicie zaczesane pożyczki.

Dotarł już prawie do celu. Po obu stronach ścieżki ustawiono dwie beczki po ropie z czarnymi flagami na bambusowych kijach. Wiatr targał kirem, bambusy stukały o beczki, jakby protestując przeciw uwięzieniu. Omar stanął na końcu kolejki wijącej się między ogrodowymi krzesłami z białego plastiku rozstawionymi dla gości pod czarnym namiotem. Żałobnicy jeden po drugim podchodzili do członków rodziny zmarłego, szepcząc słowa pociechy, żeby miłosierny Allan obdarzył łaskami Louaia Abdel Rahmana. Jako ostatni z rodziny stał młodzieniec o kościstym, odpychającym obliczu. Chłopak łupał na przemian w stronę grządek i w stronę domu. Omar domyślił się, że to młodszy brat zmarłego. Gdy przesuwał się w kolejce, doszedł do niego, przytrzymał na chwilę jego dłoń i spytał, gdzie znajdzie Dimę Rahman.

- Jest w domu z kobietami - odparł młodzieniec z wyczuwalną niechęcią.

- Proszę po nią pójść i powiedzieć, że przyszedł jej dawny nauczyciel.

Młody człowiek zawahał się, ale Omar powtórzył prośbę, więc ruszył w stronę domu.

Omar chętnie wypiłby filiżankę kawy. O każdej innej porze roku wśród gości krążyłby chłopak z dzbankiem kahwa sa'ada - niesłodzonej kawy - ale trwał przecież ramadan i do zachodu słońca nie wolno nic jeść ani pić.

Jeśli chodzi o niego, to nie potrzebował ramadanu, aby pamiętać, czego mu nie wolno. Kiedyś w Damaszku, gdzie studiował, został przez pewną staruszkę spoliczkowany na ulicy za to, że podczas ramadanu ośmielił się zapalić papierosa. Byłoby dobrze - wspomniął z gorzką ironią - gdyby owa staruszka czuwała nad nim cały czas i biła za każdym razem, gdy sięgał po rzeczy niedozwolone. Gdyby dostawał w ucho za każdym razem, gdy wychylał szkocką *on the rocks*, pewnie rozstałby się z alkoholem znacznie wcześniej. Niestety, wytrzeźwiał dopiero około pięćdziesiątki, kiedy kuszący kiedyś smak pierwszego drinka zaczął tracić swój urok. Co więcej - kiedy zrozumiał, że jest żaloszny. Zaczął się po prostu wstydzić, że ludzie o dwadzieścia lat młodszy od niego zerkają z litością na jego przepite, zmętniałe oczy i trzęsące się ręce.

Zza żałobnego namiotu dobiegł huk trzech strzałów. Nikt nie zareagował, tylko Omar odruchowo skulił się w sobie. Ścieżką, którą tu przed chwilą dotarł, nadchodził oddział Brygad Męczenników Al-Aksa. Prowadził go rosły mężczyzna z taśmą naboju na piersiach.

Omar Jussef poprawił okulary, żeby lepiej widzieć. Poznał Husajna Tamariego - dowódcę Brygad Męczenników w Betlejem.

Tamari miał ogromną czaszkę, szeroką u dołu i zwężającą się ku górze, twarz ozdobioną gęstymi czarnymi wąsami i zwieńczoną maleńkim kosmykiem włosów. Miejsca na czuprynę było na czubku głowy zaiste niewiele i - jak pomyślał Omar - niewiele też rozumu mogło się tam zmieścić. Tamari dźwigał wielki karabin maszynowy z drewnianą kolbą i oksydowaną lufą, długi na co najmniej metr dwadzieścia.

Tuż za wodzem szedł ciemnowy mężczyzna, którego Omar widywał w mieście. Nazywał się Dzihad Awdeh i miał na głowie coś, co wyglądało jak włochaty fez. Omar próbował sobie przypomnieć nazwę tego typu nakrycia głowy, ale stosowne słowo wypadło mu z pamięci. W każdym razie w Betlejem i okolicy nikt czegoś takiego nie nosił. Starsi, zwłaszcza zaś mieszkańcy wsi, zakładali kufije, młodzież - amerykańskie baseballówki, a większość chodziła z gołą głową. Nakrycie zdobiące głowę Dzihada Awdeha wyglądało równie niezwykajnie, jak groźnie. Omarowi przyszedł na myśl Saddam Husajn, bo właśnie on nosił coś takiego w zimie. I nagle przypomniał sobie nazwę - papacha, papacha z astrachańskich karakułów. Uśmiechnął się szyderczo i pochylił głowę.

Husajn Tamari posłał w powietrze krótką serię ze swego wielkiego karabinu w hołdzie dla zmarłego. Kolbę wsparł o biodro i trzymał broń jedną ręką, jakby manifestując siłę. Echo niosło się w dolinie. Omar zauważył, że część żałobników gestem lub miną wyraża uznanie za tę salwę honorową.

Omijając kolejkę marznących na chłodnym wietrze ludzi, trzech uzbrojeni mężczyźni wkroczyli pod namiot i podeszli do rodziny. Omar zauważył, że ojciec Louaia stał wylękniony, ze wzrokiem wbitym w ziemię, i nawet nie podniósł oczu, choć Tamari i pozostali ściskali dłonie rodzinie dłużej, niż to było konieczne.

Omar tymczasem skierował się do domu. Zajrzał do salonu na parterze. Całą jedną ścianę zdołał fresk przedstawiający krajobraz alpejski z jeziorem, łabędziem, soczystą trawą i drewnianym dworkiem na zboczu ośnieżonej góry - wszystko w żywych kolorach, jak malowanki w książkach dla dzieci. W wielu palestyńskich domach można zobaczyć tego typu dekoracje. Dają wytchnienie oczom w gorące letnie dni, pomyślał Omar. A może chodzi o jeszcze coś innego: patrząc na taki idylliczny pejzaż spokojnej krainy, zapomina się o otaczającej przemocy i można pomarzyć o wyniosłych górach w czystym powietrzu. Omar dawno już zauważył, że na takich obrazach czy freskach nigdy nie ma ludzi.

Pod ścianą z freskiem rozsiadła się gromada kobiet. Śpiewały pieśń o matce męczennika i błogosławieństwach, jakie spłyną na zmarłego syna. Kolejno improwizowały

zwrotki, a cała gromada wybijała rytm, klaszcząc w dłonie. Podobne śpiewy odbywają się także na weselach. Pod ścianą Omar dostrzegł Dimę. Dał jej znak, aby wyszła za nim na dwór. Kiedy schodzili ze schodków, kątem oka spostrzegł, że w drzwiach prowadzących do kuchni stoi ów młody człowiek, którego prosił o przyprowadzenie Dimy, i patrzy na niego złym wzrokiem.

- Niech Bóg będzie miłosierny dla zmarłego - powiedział Omar.

- Dziękuję, wujku. Cieszę się, że przyszedłeś - odparła Dima.

- Kim jest ten chłopak? - Omar gestem wskazał młodego człowieka w drzwiach do kuchni. - Prosiłem go, żeby cię zawołał.

- Junis, brat mojego męża.

- Robi wrażenie, jakby był bardziej zły niż zasmucony śmiercią brata.

- Jest zły na cały świat.

Omijając namiot, przeszli do ogrodu. Gdy dotarli do miejsca, gdzie zginął Louai, Dima zaczęła płakać. Omar wyjął chusteczkę i jej podał. Otarła oczy, uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Właśnie tu go znalazłam. Tu zginął. - Znów łzy popłynęły jej z oczu.

- Płacz, moje dziecko, nie wstydź się. Łzy są dobre, strzały z karabinów złe.

- Teściowa mówi, że powinnam płakać z radości, bo Louai to męczennik.

- Tylko tak mówi. W głębi serca rozpacza jak ty.

- Nie potrafię radować się ze śmierci, *ustaz*. Po prostu nie mogę. - Kiedy zmarł mój ojciec, a byłem wtedy jeszcze bardzo młody, też płakałem. Mówili mi, że to nie wypada, że powinienem się zachowywać jak mężczyzna i cieszyć, że ojciec dożył słusznego wieku. Tak mówili wszyscy oprócz jednego z wujów. Ten mnie rozumiał. „Niech płacze - powiedział. - Bardzo kochał ojca, więc nie zabraniajcie mu płakać”. Nie wstydź się płakać, nie przejmuj się ludzkim gadaniem. Płacz, a chusteczki nie musisz mi oddawać.

Dima uśmiechnęła się przez łzy.

- Byłam szczęśliwa, kiedy byłeś moim nauczycielem, Abu Ramizie.

- A ty byłaś bardzo dobrą uczennicą. Cieszyłbym się, gdyby wszyscy moi podopieczni byli tacy jak ty.

Uczniowie - to jego duma i dorobek życiowy. Świadomość, że mimo wszystko, mimo zwątpień i załamań, udało mu się wpoić młodym ludziom trochę wiedzy, mądrości i zwyczajnej dobroci, ratowała go przed depresją. Dima, George Saba i jeszcze kilku innych im podobnych muszą zbudować świat, w którym on, Omar Jussef, czułby się szczęśliwy.

Za namiotem znów rozległy się strzały.

- Ten duży z wielkim karabinem. Kto to jest? - spytała Dima przestraszona hukami.

- Husajn Tamari.

- Komendant Brygad Męczenników AJ-Aksa?

- Właśnie.

- Widziałam go kiedyś w warsztacie. Zaszedł do kantoru, gdy nikogo nie było. Nie wiedziałam wtedy, kim jest - rzuciła, patrząc z daleka na rosnącego mężczyznę. - Powiedz mi, wuju, dlaczego mój mąż zginął. Nigdy nie mówił, że chce być męczennikiem. Dziś wszyscy cały czas mówią o męczeństwie. Może Louai też zaczął myśleć w ten sposób?

- Każdy kiedyś musi umrzeć. Ja mam swoje lata i czuję, że śmierć już bierze mnie we władanie. Powoli, stopniowo, kawałek po kawałku, ale bierze. Mam tylko nadzieję, że do umysłu dobierze się na samym końcu. Ale są też ludzie, którzy uważają, że lepiej odejść szybko, za młodu, umrzeć jak bohater, a nie trzymać się życia tak długo, aż wszyscy mają cię dosyć.

Widząc, że Dima jest skora do rozmowy, Omar zachęcił ją do zwierzeń.

- Zanim rozległy się strzały - mówiła - słyszałam rozmowę. Louai coś do kogoś mówił, do kogoś się zwracał. Stałam w oknie i zobaczyłam coś dziwnego, czerwone światełko, jakby kropkę albo plamkę. Dziś, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że to coś czerwonego świeciło na Louaia. Ruszało się, migotało, jakby go wyszukiwało w ciemnościach. To było tam, pod tamtym drzewem - wskazała gestem. - A potem rozległ się strzał, a po chwili jeszcze jeden.

- Słyszałaś rozmowę? Co mówił Louai?

- Właściwie jedno zdanie: „Ach, to ty, Abu Walidzie”. Głos miał spokojny.

- A więc ktoś tam był?

- Na to wygląda.

Omar pomyślał o George'u, którego aresztowano za pomoc w zabójstwie Louaia, ale przecież George'a nigdy nie nazywano Abu Walidem.

- Widziałaś kogoś?

- Nie, nikogo nie widziałam. Biegłam po prostu do Louaia.

- Abu Walid? Kto to może być? Czy któryś z przyjaciół Louaia ma syna o imieniu Walid?

- Nie mam pojęcia. Takie imię nosi wielu ludzi, prawda?

- Prawda. Ale nie każdy może być bliskim znajomym człowieka, który ukrywał się przed Izraelczykami i od miesięcy działał w podziemiu.

- Nie wiem, *ustaz*. - Dima się zawahała. - Ale powiem ci jeszcze jedno. Otóż zdumiała mnie reakcja jego brata. Zachował się dziwnie, jakby był zły na mnie.

Omar wziął ją za ramię. Uśmiechnęła się. Przytrzymał na chwilę jej rękę.

- Krótko byłaś mężatką, siostrzyczko, ale przez ten krótki czas byłaś szczęśliwa z człowiekiem, który naprawdę cię kochał. Zdajesz sobie sprawę, że to prawdziwe błogosławieństwo. Sama wiesz, że nie każdej kobiecie w naszym społeczeństwie jest to dane.

- Masz rację, wujku - wytarła nos. - Muszę wracać do kuchni. Pozdrów ode mnie Umm Ramiz. Odwiedzę was któregoś dnia. Niech ramadan będzie dla ciebie szczęśliwy.

- Dziękuję, niech Allah da ci długie życie.

Omar był poruszony jej uczuciami i chętnie porozmawiałby z nią dłużej. Nie miał ochoty wracać do namiotu między żałobników, więc podszedł do skupiska pinii. Przystanął pod drzewem, pod którym Louaia oświetlił czerwony promień, i rozejrzał się wokół. Tuż obok zauważył kępkę wyrwanej trawy. To pewnie tu, pomyślał - Louai upadł po pierwszym strzale. Zrobił kilka kroków w prawo. Za jednym z drzew zauważył wygniecione poszycie, jakby ktoś tam leżał. A więc tutaj musiał czekać ów Abu Walid - jeśli w ogóle istniał. Ale dlaczego? Dlaczego się czaił? I czy stąd strzelał? Ślady na trawie wskazywały na obecność tylko jednego człowieka, a skoro tak, to wykluczone, aby zabójcy towarzyszyli Izraelczycy.

Zaczął dokładniej badać miejsce. Odgarnął stopą trawę. Coś błysnęło. Schylił się z trudem. Łuska po naboju. Szukał dalej - Dima mówiła przecież o dwóch strzałach - ale nic więcej nie znalazł.

Ktoś nazywany Abu Walidem czaił się tu długo, skoro na ziemi został wyraźny ślad. Louai musiał go znać. W trawie została tylko jedna łuska. Czy to znaczy, że Abu Walid strzelił tylko raz, a drugi strzał oddał ktoś inny, z innego miejsca? A to czerwone światełko, o którym mówiła Dima? Co to właściwie było?

Schował łuskę do kieszeni i wrócił do namiotu. Przemawiał Husajn Tamari. Mówił oczywiście o Louaiu. Nazwał go męczennikiem. Omara uderzyła pewność, z jaką Tamari głosił tę opinię. Gdy ktoś ginie męczeńską śmiercią, nie wznosi się lamentów, nie szlocha, nie żałuje przerwane go życia. Bliscy zachowują się, jakby śmierć w ogóle nie miała miejsca.

Jest wiele sposobów, aby pozbyć się lęku przed śmiercią, ale w gruncie rzeczy tylko martwi mogą naprawdę ustrzec się śmierci, myślał Omar. Kiedy człowiek uświadomi sobie, że ktoś odszedł, odszedł na zawsze, na wieczność, wtedy przestaje tęsknić. Skoro śmierć jest aktem ostatecznym, to nie zostawia pola dla wątpliwości i rozważań typu, czy zmarły dostąpi raju, czy też będzie się smażył w płomieniach. Wątpliwości niosą ze sobą znacznie większe cierpienia niż sama śmierć. Kiedy jesteśmy w stanie z całym spokojem spojrzeć na nagrobek i

powiedzieć sobie: „Właśnie, ten oto kamień sprawia, że prochy drogiego nieobecnego nie sypią się w mankiety naszych spodni” - wtedy możemy sobie żyć aż do śmierci.

Oto co myślę o śmierci, ale morderstwo to co innego.

Włożył rękę do kieszeni, namacał palcami łuskę.

ROZDZIAŁ 5

Omar Jussef traktował raj jako pojęcie obce. W jego domu nie odmawiało się modlitwy przed iftarem. Podczas ramadanu do posiłku zasiadało się zwyczajnie, całą rodziną, jak każdego innego dnia. Za jadalnię służył pełen przeciągów hol w ich starym kamiennym domu.

Światła już się paliły. Paliły się zresztą przez cały czas od powrotu Omara z uroczystości żałobnych, rozświetlając ponury mrok chylącego się ku schyłkowi dnia. Omar wrócił przemarznięty do cna i przejęty myślą o George'u. Martwił się o niego. Za kolaborację grozi kara śmierci. Pochmurne i dżdżyste popołudnie niezauważalnie przemieniło się w ciemną noc. Ulice ziały pustką. Ludzie chowali się przed deszczem i śpieszyli do domów na wieczorny posiłek.

Do salonu, w którym Omar odpoczywał przy herbacie, przybiegł wnuk, mały Omar, z wieścią od Mariam, że obiad gotowy.

Omar odstawił filiżankę i pogłaskał chłopca po policzku.

- A co jest na obiad? - spytał.

- Babcine jedzenie - odparł rezolutnie malec.

- A co babcia ugotowała? Ma dla ciebie coś słodkiego? Chłopiec kiwnął głową, że tak, i wyrwał się z rąk dziadka.

Omar dał mu kostkę cukru z porcelanowej miseczki znajdującej się na stoliku do kawy. Chłopiec uśmiechnął się i pobiegł do drzwi, zza których dobiegał szczeł naczyń stawianych na stole. Mariam nie byłaby sobą, gdyby nie zauważyła, że malec chrupie cukier.

- Popsujesz mu apetyt - skarciła męża.

- Pamiętasz przysłowie? - odparł z humorem - „Bóg daje migdały tym, co nie mają już zębów”. Niech się chłopak cieszy, póki może. - Zajął swoje miejsce u szczytu stołu.

Ramiz, jego pierworodny syn, wychynął ze swą najmłodszą córeczką na rękę z sutereny, w której urządził sobie mieszkanie. Sara, jego żona, krzątała się razem z Mariam, przynosząc dania z kuchni. Mariam rozsadziła dzieci i zaczęła nakładać jedzenie na talerze, zaczynając od Omara. Na pierwsze danie przygotowała maklubę. Omar uwielbiał jej kuchnię. Jadał z zasady w domu, a do restauracji chodził tylko wtedy, gdy nie sposób było odrzucić zaproszenia. Delektował się teraz syryjską sałatką - z mięty, natki pietruszki, sałaty rzymskiej,

grzanek i sosu winegret - zwaną fattusz, której smak przywodził mu na myśl kafejki na suku w Damaszku i cudowne młode lata tam spędzone. Mariam znakomicie utrafiła w ten smak, choć nigdy nie mieszkała w Damaszku. W ogóle gotowała wyjątkowo dobrze i pod jego gust. Dania wychodzące spod jej ręki zawsze pobudzały jego wyobraźnię, przywodziły na myśl wspomnienia dawnych miejsc i czasów. Trochę tak, jakby się otwierało atlas i podróżowało myślą w czasie i przestrzeni. Zastanawiał się, czy Dima potrafiła w podobny sposób dogadzać swojemu mężowi. Chyba jednak byli za krótko małżeństwem, aby potrawy przyrządzane przez nią miały wyprzeć z pamięci Louaia smak jedzenia przygotowywanego przez matkę. Louai ukrywał się, stale musiał zachowywać czujność. Gdy ukradkiem zmierzał do domu, wyobraźnia - jak każdemu Palestyńczykowi - podsuwała mu pewnie aromaty zapamiętane z dzieciństwa. I o nich chyba myślał, zdążając wczoraj do rodziny. Jedyna pociecha, że w ostatnich chwilach życia towarzyszyły mu przyjemne myśli.

Omar zerkał na rodzinę zgromadzoną przy stole. Po całym dniu postu jedzenie sprawiało wyjątkową przyjemność. Delektował się kolejną potrawą przygotowaną przez Mariam - tłustym kozim mięsem gotowanym w mleku i wywarze z muluchii, podawanym z ryżem i fasolą przyprawioną kolendra, czosnkiem i liśćmi malwy.

Po kilku kęsach odłożył widelec. Czuł coś dziwnego i nie chodziło o jedzenie, tego był pewien - było smaczne jak zawsze i przyprawione jak lubił - pieprzem, miętą i czosnkiem. Ale jego ciało reagowało jakoś dziwnie, a przy kolejnym kawałku mięsa Omar poczuł obrzydzenie, jakby po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę, że podstawą ich jedzenia jest martwe ciało. Jakaś istotę trzeba pozbawić życia, aby on mógł żyć. Czy tak rzeczywiście musi być? A przyprawy - czy przypadkiem nie stosuje się ich wyłącznie po to, aby zakamuflować smak morderstwa? Ile jeszcze zwierząt przyjdzie mu zjeść? Zauważył, że wnuki odsuwają mięso. Może instynktownie czują to, co jemu objawiło się dopiero w tej chwili? Zwykle człowiek lubi, gdy porządny posiłek wypełnia mu trzewia. Jeśli jednak dobrze się zastanowić, to nie sposób nie zauważyć, że prawdziwym biesiadnikiem jest śmierć, a człowiek co najwyżej głównym daniem.

Nadia, najstarsza wnuczka, naleła mu szklankę wody. Miała dwanaście lat, cerę bladą od ciągłego przesiadywania w domu - godzina policyjna nie sprzyjała spacerom - a oczy czarne, inteligentne. Była jego ulubienicą i wdzięczną słuchaczką rodzinnych opowieści, zwłaszcza o tym, jak osiadł tu, w tym domu.

Ta opowieść zaczynała się przed pięćdziesięciu sześciu laty. Omar Jussef miał wtedy ledwie kilka miesięcy, ale - żeby historia brzmiała ciekawiej - zapewniał wnuczkę, że wszystko dokładnie pamięta. Tak więc - opowiadał - ojciec kazał służbie załadować dobytek

na cztery wozy. Inni podróżowali ze znacznie mniejszym bagażem, sądząc, że wojska arabskie rychło rozprawią się z Żydami, więc równie rychło wrócą z wygnania. Ojciec Omara był jednak przekonany, że nigdy już nie zobaczą rodzinnej wsi. Opowiadał później Omarowi, że gdy wraz z innymi ruszył całą rodziną do Betlejem i Hebronu, spojrzał po raz ostatni na swoją wieś i zobaczył, jak z sąsiedniego kibucu wyjeżdża traktor, a za nim zdąża gromada ludzi. Wtedy zrozumiał, że rodzinna wioska, drzewa oliwne i urząd muchtara, który pełnił i chciał kiedyś przekazać synowi - że to wszystko odchodzi w przeszłość.

- Nie słuchaj tych, co mówią o powrocie - powiedział synowi, gdy ten podrosł na tyle, by rozmawiać z nim o polityce. - Powrotu nie będzie.

Omar już wtedy wiedział, że ojciec ma rację. Cierpiał mniej niż inni z powodu utraconych ziem i przywilejów, wiedział bowiem, że zawsze będzie mógł polegać na mądrości ojca.

Z całym klanem Sirhanów przybyli do obozu dla uchodźców w Dehajszy na przedmieściach Betlejem. Większość uchodźców mieszkała w namiotach dostarczonych przez ONZ. Ojciec Omara wynajął dom między Dehajszą a Betlejem. Czynsz wynosił 12 dinarów i ojciec płacił regularnie aż do śmierci. Potem dom przejął syn. Klan Sirhanów, liczący w sumie około 2 tysięcy osób, osiedlił się w okolicy Betlejem. Sirhanowie stanowili prężną grupę - trudnili się handlem, rzemiosłem, a niektórzy wolnymi zawodami. Nie wchodzili w konflikty z innymi rodzinami, zajmowali się za to działalnością polityczną, zyskiwali więc wpływy, a partyjne milicje dbały o ich bezpieczeństwo. Sirhanowie piastowali wysokie funkcje w miejscowym oddziale Hamasu i nie brakło ich także w Al-Fatahu - najsilniejszej z organizacji palestyńskich.

Był szczęśliwy, że Nadia chłonie historię rodziny i słucha tak, jakby to nie on, ale jego ukochany ojciec snuł opowieść.

Pogłaskał wnuczkę po policzku, podziękował za wodę. Posiłek dobiegł końca. Sara wyszła do kuchni, aby zaparzyć herbatę, Ramiz obierał pomarańcze i częstował dzieci.

- Byłem dzisiaj u Dimy Rahman, złożyłem jej kondolencje - przerwał milczenie Omar, obierając jabłko.

- Biedactwo - westchnęła Mariam. - Będzie jej ciężko bez męża.

- Tak uważasz? - zaśmiał się Omar. - Przecież nieraz mnie przekonywałaś, że mężowie to lenie, bałaganarze i w ogóle tylko przeszkadzają. - Wiesz przecież, o czym mówię. - Mariam pogroziła mu palcem.

Nawet gdy się uśmiechała, zmarszczki pod oczami i wokół ust sprawiały, że jej twarz miała smutny wyraz. Czesła się z przedziałkiem, farbowane na kruczoczarno włosy sięgały

niecو poniżej uszu. Ubierała się też na czarno, a jej cera z wiekiem nabrała odcienia szarości i Mariam jawiła się trochę jak postać z czarno-białego filmu raptem przeniesiona w barwne otoczenie.

Uczucia męża do żony to sprawa bardzo skomplikowana, pomyślał Omar. Szkoda, że kobiety nie rozumieją, że ich uczucia do mężów też nie są proste.

Omar bardzo cenił więź, jaka łączyła go z Mariam. Byli rówieśnikami, ale Mariam urodziła się w Nazarecie, w północnej Palestynie, a gdy trzeba było uchodzić, jej rodzina przeniosła się najpierw do Dżenin, a później do Betlejem. Omar poznał ją przypadkiem, w taksówce, do której oboje dosiedli się pod Dżeninem, gdzie nadal mieszkała część jej krewnych. Jechał wtedy do domu po studiach w Damaszku. Okazało się, że mają podobne poglądy i oboje są arabskimi nacjonalistami. Mariam była buntowniczką, nie zasłaniała głowy jak inne muzułmanki. Macierzyństwo i odpowiedzialność za dom wpłynęły później na jej poglądy. Młodzieńczy bunt rozmył się w codzienności. Zaczęła postrzegać świat w uproszczonych kategoriach. Urodziła Omarowi trzech synów. Ramiz został w domu, urządził sobie mieszkanie w suterenie, dwóch jego braci wyemigrowało jeden do USA, drugi do Wielkiej Brytanii. Mariam przestała się zajmować polityką i jak każda matka martwiła się tylko o synów, stale rozmyślając, kiedy dane jej będzie ich zobaczyć. Nie jej wina, myślał Omar. Wszyscy się zmieniliśmy. Dawniej, na uczelni, myśleliśmy o poważnych sprawach, tylko że wtedy nikt nie dostrzegał syjonistycznego zagrożenia. Teraz irytowało go, gdy Mariam zaczynała mówić o polityce. Dobrze, że przynajmniej nie nazywała zmarłych męczennikami.

Tymczasem chciał porozmawiać z Ramizem o George'u Sabie i podzielić się z nim myślami, jakie przyszły mu do głowy podczas wizyty u Rahmanów. Ramiz miał firmę - przedstawicielstwo telefonii komórkowej - i mnóstwo klientów, którzy znosili wiadomości z całego miasta. Niewykluczone, że mógł usłyszeć coś, co pomogłoby oczyścić George'a z podejrzeń.

- Myślę, że George'a ktoś próbuje po prostu zrobić. Nie mogę uwierzyć, aby współpracował z Izraelczykami.

- Ludzie robią różne rzeczy. George żył z tego, że sprzedawał antyki Żydom, ale trwa oblężenie i Żydzi boją się tu przyjeżdżać. Jego interesy poważnie na tym ucierpiały. Saba musiał szukać jakiegoś wyjścia. I kto wie, może przyszedł do niego ktoś z Szin Betu z propozycją, że mu pomogą, jeśli on pomoże im - odrzekł Ramiz.

- Ja uważam, że oskarżono go tylko dlatego, że jest chrześcijaninem. To wszystko. A nie z powodu kolaboracji.

- A może właśnie dlatego, że jest chrześcijaninem, poszedł na współpracę z drugą stroną?

Omar aż się zatrząsł z oburzenia.

- Chcę ci przypomnieć, że też kształciłeś się u lasalianów. Chodziłeś do tej samej chrześcijańskiej szkoły co Saba i tej samej, w której ja uczyłem.

- Tato - odrzekł Ramiz pojednawczo - mówię tylko, że w pewnych sytuacjach ludzie robią rzeczy, o które w normalnych okolicznościach nikt by ich nie podejrzewał.

- Właśnie, gotowi są piętnować chrześcijan jako zdrajców - rzucił Omar ze złością.

- Nie to miałem na myśli. Ale chrześcijanie znaleźli się poza naszą społecznością. Kto wie, może uważają, że nie muszą być tak lojalni jak muzułmanie.

- Widziałem dziś tych twoich lojalnych muzułmanów u Rahmanów, jak strzelali w powietrze na cześć Louaia. - Omar odłożył nóż i zjadł kawałek jabłka.

- Byłem rano na pogrzebie, więc nie poszedłem do Rahmanów - wyjaśnił Ramiz. A strzelanie w powietrze, no cóż, zawsze tak robią. A kondolencje złożyli? - Owszem, ale chcę ci opowiedzieć o czymś innym. - Omar rozejrzał się, czy dzieci nie słuchają. - Otóż rozmawiałem z Dimą Rahman - pewnie pamiętasz, że to moja była uczennica. Powiedziała, że słyszała, jak Louai z kimś rozmawia, i że widziała dziwne czerwone światło, jakby promień, który go oświetlił, i wtedy właśnie padł strzał.

- A z kim rozmawiał?

- Nie wiem. Podobno powiedział: „Ach, to ty, Abu Walidzie”.

Ramiz w milczeniu przeżuł cząstkę pomarańczy.

- Mam dwie uwagi, tato - odezwał się po chwili. - Po pierwsze, kiedy Izraelczycy korzystają z pomocy konfidentów, to zwykle każą im podejść jak najbliżej do człowieka, którego chcą zlikwidować, tak aby nie było żadnych wątpliwości, że to ten, o kogo chodzi. Strzelają, gdy taki konfident da im znak, że nie ma pomyłki.

- Skąd wiesz?

- Od wujka Chamisa. Powiedział mi, kiedy byłem u niego w komisariacie. Czytał akurat raport wywiadu o jednym z zabójstw dokonanych przez Izraelczyków w strefie Gazy.

- A więc uważasz, że Abu Walid to imię konfidenta i że był Izraelczykom potrzebny, żeby rozpoznać Louaia?

- Na to wygląda. Myślę, że był to ktoś, kto go znał na tyle dobrze, żeby rozpoznać w ciemności.

- A więc nie mógł to być George Saba, bo nie znał Louaia, a poza tym George zwie się Abu Dahud, a nie Abu Walid. A więc jest dowód, że to nie on - ucieszył się Omar. W podnieceniu podniósł ramiona.

- Ale mam drugą uwagę - rzekł Ramiz z wahaniem w głosie. - Błagam cię, tato, nie mieszaj się do tego. Zastanów się, zanim złożysz meldunek. W siłach bezpieczeństwa nie brak izraelskich agentów. Mogą cię zlikwidować w obawie przed zdemaskowaniem konfidenta. A poza tym George'a Sabę aresztowano nie bez powodu. Musiał się komuś narazić, no i ów ktoś wyrównał rachunek. Tak to jest w dzisiejszych czasach.

Omar wrócił pamięcią do owej nocy, kiedy George Saba pośpieszył w ciemnościach do domu, widząc, że strzelcy prowadzą ostrzał z dachu jego domu. „Musiał się komuś narazić!” Przeklął się, że zostawił go samego, bez pomocy. George pobiegł, komuś się naraził i dlatego go teraz oskarżają.

- Nie ryzykuj, Omarze - Mariam położyła mu rękę na ramieniu. - Stale mnie krytykujesz, gdy mówię, że to parszywe świnię. Ale zrozum, że Izraelczycy cię zamkną, gdy dojdą do wniosku, że możesz zdemaskować ich konfidenta.

- Niczego jeszcze nie zrobiłem i nikt mnie jeszcze nie zamyka.

- Nawet o tym nie myśl, żeby coś zrobić, proszę cię, tato - wtrącił Ramiz.

Omar chciał odpowiedzieć, ale Ramiz spojrzał wymownie w stronę kuchni. W drzwiach stała Nadia. Nerwowossała palec. Z kuchni wyszła Sara, niosąc herbatę. Omar milczał, zastanawiając się, czy wnuczka czegoś jednak nie usłyszała. Przeklinał własną słabość. Nie wiedział, jak postąpić. Mógł ocalić Sabę, a zarazem swoją godność nauczyciela, ale za cenę narażenia rodziny na zetknięcie się z mroczną stroną intifady. Czuł się zagubiony. Był przecież nauczycielem, a nie detektywem. Łuska w kieszeni zaczęła mu nagle ciążyć, jakby ważyła tonę. Jak się tego pozbyć?

Ukroił kawałek jabłka, dał znak Nadii, żeby podeszła. Dziewczynka zrobiła parę kroków, ale zatrzymała się, patrząc na przeszklone drzwi wejściowe. Omar podążył za jej wzrokiem. Za drzwiami ktoś stał. W świetle latarni na matowej szybie rysowała się ciemna sylwetka w wojskowym berecie. Omar zamarł, jabłko wypadło mu z rąk.

Rozległo się energiczne stukanie do drzwi.

ROZDZIAŁ 6

Nie spuszczać oczu z drzwi, Omar Jussef podniósł się wolno z krzesła. Czuł dziwny ucisk w dołku. Postać za drzwiami zdawała się przestępować z nogi na nogę, jak ktoś, kto stara się rozgrzać na chłodzie. Znowu rozległo się pukanie. Mariam wstała, spojrzała wymownie na męża, podeszła do drzwi, otworzyła.

- Ach, to ty, Abu Adelu! - zawołała z ulgą. - Wchodźże, wchodź - zaprosiła przybysza.

Omar poczuł, że nogi się pod nim uginają, wsparł się o stół, żeby nie upaść. Nie był stworzony do życia w zagrożeniu.

- Wpadłem tylko na chwilę, żeby wam życzyć wszystkiego najlepszego, zdrowia na cały rok - zaśmiał się Abu Adel od drzwi.

- Niech Allah będzie łaskawy dla ciebie i dla nas - odpowiedział Omar równie tradycyjnym pozdrowieniem na ramadan.

Nadia podeszła do dziadka i wzięła kawałek jabłka. Uśmiech dziecka pomógł Omarowi odzyskać siły. Oderwał się od stołu, żeby powitać Chamisa Zejdana.

- Czuj się jak u siebie - powiedział Omar na powitanie. Ucałowali się po pięciokroć w policzki.

Chamis miał szorstką twarz z siwym niegolonym zarostem. Czujne zwykle oczy wyrażały rozbawienie, więc Omar zorientował się, że szef betlejemskiej policji, a jego przyjaciel zdążył już wprawić się w niezły nastrój.

Przybysz zdjął beret, którego cień odbijający się w matowych szybach drzwi wejściowych tak bardzo wystraszył Omara, i przygładził krótkie, zaczesane na czoło włosy. Wojskowym obyczajem wsunął beret pod naramiennik granatowej bluzy z odznaką białego orła.

Chamis Zejdan był rówieśnikiem Omara Jussefa. Znali się od czasów studiów w Damaszku. Stale się wtedy kłócili o politykę. Chamis był jednym z pierwszych i najgorliwszych nacjonalistów palestyńskich, Omar natomiast wierzył, że Arabowie powinni się zjednoczyć i wspólnie wystąpić na rzecz wyzwolenia Palestyny, co nigdy się nie ziściło. Różnice polityczne nie przeszkodziły obu młodzieńcom zbliżyć się do siebie. Przyjaźni sprzyjała whisky. Razem popijali, razem uganiali się za spódniczkami. Chamis Zejdan, wyższy od Omara i obdarzony błękitnymi jak lapislazuli oczami, odnosił zdecydowanie więcej sukcesów u dziewcząt. Później ich drogi się rozeszły. Chamis wstąpił do Organizacji Wyzwolenia Palestyny i wraz z nią przemieszczał się po całym Lewancie: od Jordanii i Syrii po Liban. W Bejrucie stracił lewą rękę od wybuchu granatu. Ograniczenia w łączności narzucone przez Izraelczyków sprawiały, że przyjaciele przez wiele lat nie mieli ze sobą kontaktu. Gdy jednak Chamis zjawił się w Betlejem jako komendant policji, stara przyjaźń odżyła.

Omar wielce się ucieszył. Zrazu wydawało mu się, że Chamis niewiele się zmienił przez te wszystkie lata. Rychło jednak przekonał się, że Chamis Zejdan jest człowiekiem

głęboko rozczarowanym i często pije ponad wszelką miarę. Czasami, gdy Omar wpadał do nowej siedziby policji przy placu Żółbka, w gabinecie Chamisa czuć było whisky i urynę.

I teraz też Chamisa otaczały opary alkoholu, i to tak intensywne, że Omar zaczął się obawiać, czy przyjaciel, mimo obecności dzieci, nie zacznie znów przeklinać władz i swoich skorumpowanych kolegów policjantów. Błysk rozbawienia w oczach Chamisa zdawał się jednak świadczyć, że nie wypił jeszcze dostatecznie dużo, aby wybuchnąć jawną wściekłością. Mimo wszystko Omar wolał nie ryzykować, wziął więc przyjaciela pod ramię i zaprowadził do salonu, z dala od dzieci. Usiedli w szamerowanych złotą nicią fotelach.

- Abu Adelu - spytała Mariam od drzwi - czym mogę cię poczęstować? Może masz ochotę na coś słodkiego?

- Mariam - obruszył się Omar - przecież wiesz, że mój przyjaciel jest diabetykiem. Podaj mu kahwa sa'ada. Ja też poproszę o filiżankę. Nie pozwolę - rzucił do Chamisa, grożąc mu żartobliwie palcem - żeby ta kobieta próbowała cię przekupić.

- Za późno. Już mnie przekupiła - zaśmiał się Chamis. - Umm Ramiz, zjem wszystko, co mi dasz, bo wiem, że będzie to najsmaczniejszy i najlepszy sposób zakończenia postu.

- Nic jeszcze nie jadłeś? - zatroskała się Mariam. - Chodź do stołu. Zostało mnóstwo makluby. Musisz się dobrze odżywiać, zwłaszcza - spojrzała z góry na Omara - przy cukrzycy.

- Nie, dziękuję, nie jestem głodny. Zjedliśmy coś z chłopcami na komendzie.

Omar wyczuł nutę zakłopotania w głosie przyjaciela. Zejdan nigdy nie myślał o jedzeniu, dopóki miał pełną piersiówkę.

Komendant wyglądał na niedożywionego. Jego twarz była prawie tak wyszarzała jak włosy. Wąsy, gdyby nie pozółkła od nikotyny kępka pod nosem, w ogóle nie odcinałyby się od policzków. Zapalił papierosa prawą ręką, lewą, uzbrojoną w protezę z czarną skórzaną rękawiczką, położył na oparciu fotela.

Rękawiczkę nosił zawsze, ale kiedyś Omar Jussef odwiedził przyjaciela wczesnym rankiem, zanim ten zdążył się ubrać, i wtedy zobaczył protezę bez okrycia. Była z plastiku w kolorze mdłego seledynu, przypominającego lecznicze mydło, i wyglądała jak kończyzna jakiegoś stwora z kosmosu. Zanim zobaczył na własne oczy, że rzecz jest po prostu obrzydliwa, Omar miał wrażenie, że tę rękawiczkę Chamis Zejdan wkładał specjalnie, aby nie urazić ręki w czasie bicia aresztowanych. Kiedy już się przekonał, o co chodzi, pomyślał, że skórkowa rękawiczka w niedobry sposób wpływa na wizerunek jego przyjaciela policjanta. Świadczyła, że nie jest on w pełni sprawny. Omar zauważył też kiedyś, że Chamis, gdy więcej wypije, patrzy na protezę z nienawiścią. Gdy był trzeźwy i panował nad sobą, kładł

sztuczną rękę na kolanach, jak gdyby nigdy nic. Widząc, że Chamis z całą obojętnością złożył rękę na oparciu fotela, Omar uznał, że przyjaciel jest tylko lekko wstawiony. Mariam przyniosła kawę i tacę z baklawą dla gościa.

- Zamiast sa'ada zaparzyłam ci kahwa masbuta, lekko słodzoną - oznajmiła, patrząc z wyrzutem na Omara, że wspomniął o chorobie gościa.

- Mariam jest bardzo hojna, więc będzie pokrywać rachunki za leczenie, gdy ci się pogorszy - odciął się Omar zgryźliwie.

- Nie ma lepszego lekarstwa niż jej baklava - rzekł Chamis pojednawczo.

- To zalecam podwójną dawkę - odparła Mariam, z wdzięcznością skłaniając głowę.

- Dziękujemy, pani doktor - odezwał się Omar. - A teraz zechce nas pani zostawić samych. Mamy coś ważnego do omówienia.

Mariam spojrzała badawczo. Wie, że chce poruszyć sprawę George'a Saby - błysnęło Omarowi.

Chamis był przyjacielem, ale był też policjantem. Poruszając tę sprawę, Omar nada jej w pewien sposób oficjalny charakter, co niepokoiło Mariam, ale nie bardzo wiedziała, jak powiedzieć to mężowi w obecności komendanta.

- Abu Adelu, a jak się mają żona i dzieci? Nadal mieszkają w Ammanie? - próbowała przedłużyć rozmowę.

Niewiele wymyśliła, pomyślał Omar Jussef.

- Mariam! - Spojrzał wymownie na drzwi.

- Dobrze, już idę, tylko, Abu Adelu - spojrzała prosząco na Chamisa - proszę cię, przypilnuj mojego męża, żeby nie popełnił jakiegoś szaleństwa.

- W dzisiejszych czasach to raczej Abu Ramiz pilnuje mnie i nie pozwala szaleć - odparł Chamis.

Mariam zamknęła za sobą drzwi.

- O co tu właściwie chodzi? - spytał zaintrygowany Chamis, podkreślając zdumienie gestem ręki.

- Moja żona uważa, że nie chcę już być nauczycielem.

- Czy ten amerykański bękart w końcu namówił cię na emeryturę? - Nie, chodzi o coś gorszego. Mariam sądzi, że chcę zmienić zawód i zostać detektywem.

- No cóż, moim zdaniem byłbyś bardzo dobrym detektywem. Nikt by się ciebie nie obawiał, wszyscy by ci ufali jak mądrymu, uczciwemu wujkowi, o jakim każdy marzy.

- To czemu mnie nie zatrudnisz?

- Bo w policji nie ma miejsca dla uczciwych. - Chamis spojrzał wymownie na kredens.

Omar poderwał się, wyjął butelkę Johnny Walkera z czarną etykietką, nalał Chamisowi solidną porcję i schował butelkę. Chamis pociągnął potężny łyk z rozkoszą. Omar został przy kawie.

- Chciałbym z tobą porozmawiać o George'u Sabie. Chamis miał już wypić drugi łyk, ale ręka ze szklanką zawisła w powietrzu.

- Chcesz powiedzieć, że jest niewinny? - Spojrzał z powagą.

- Tak.

- Aby o tym wiedzieć, nie trzeba detektywa.

- A więc wiesz?

- Oczywiście, wszyscy wiedzą, że ten człowiek nie zabiłby nawet muchy.

- No to czemu go wsadziłeś?

- Nie ja, ale siły bezpieczeństwa. Siedzi w moim więzieniu, ale ja za niego nie odpowiadam.

- Jak można zamykać niewinnego człowieka?

- Żyjemy w Betlejem, w Palestynie, a nie w Kopenhadze czy w Amsterdamie. Niech ci to wystarczy za odpowiedź.

- Ale mam coś jeszcze. Spójrz na to. - Omar wyciągnął łuskę i podał Chamisowi. Policjant obejrzał uważnie. Jego blada twarz spowazniała.

- Skąd to masz? - spytał.

- A z jakiej broni to pochodzi? - Omar odpowiedział pytaniem.

- Nieważne, skąd to masz?

- Najpierw odpowiedz na moje pytanie.

- Nie będziesz zachwycony i lepiej, żebyś nie wiedział. Ja też wolałbym nie wiedzieć, ale niestety, wiem.

Przez chwilę obaj milczeli, mierząc się wzrokiem.

- To łuska po naboju kalibru 7,62 - przerwał milczenie Chamis. - A teraz mów, skąd to masz?

- Ale z jakiej broni mógł być wystrzelony ten nabój?

- Z ciężkiego karabinu maszynowego.

- Takiego jak ma Husajn Tamari?

- Owszem, takiego jak ma Husajn Tamari - odrzekł Chamis z irytacją. - Nazywa się MAG.

- Co z tego?

- W naszym mieście w użyciu są głównie kałasznikowy. Stosuje się do nich naboje kalibru 7,62, ale krótsze - 39 milimetrów. Ta łuska jest dłuższa, razem z pociskiem miałyby 51 milimetrów, a takie właśnie używane są do MAG-ów. - W oczach Chamisa Zejdana nie było już śladu rozbawienia, jakby w jednej chwili wytrzeźwiało.

- Czemu tak patrzysz? - obruszył się Omar. - Lepiej opowiedz mi o Tamarim, bo ja wiem tylko tyle, ile mówią na mieście.

- Mieszkaś w Betlejem dłużej niż ja, więc pewnie wiesz, z jakiego pochodzi klanu...

- Ta'amra?

- Właśnie. Pół wieku temu ludzie z klanu Ta'amra byli koczownikami, potem osiedli w wioskach na wschód od Betlejem. Nadal jednak przestrzegają swoich plemiennych praw i zasad. Cała czołówka Brygad Męczenników Al-Aksa to ludzie z klanu Ta'amra. Rządzą się tutaj jak gangsterzy.

- Wszyscy są spokrewnieni z Husajnem Tamarim?

- Z wyjątkiem Dżihada Awdeha. Jego rodzina osiadła w obozie Aida. Pochodzi z niewielkiego klanu, wysiedlonego w 1948 roku z okolic Ramii. Wśród ludzi z Ta'amra Dżihad Awdeh jest obcy i stale dają mu to odczuć, a on niezmiennie stara się im zasłużyć, przekonać, że potrafi być tak bezlitosny jak oni, a nawet bardziej. To równie niebezpieczny typ jak Tamari albo nawet bardziej, bo jest nadgorliwy jak każdy nowo nawrócony.

- A w rejonie Betlejem kto ma taką broń?

- Co najmniej stu izraelskich żołnierzy - odparł Chamis Zejdan z irytacją w głosie. - A poza nimi - Husajn Tamari. To jakby jego znak firmowy, jak wiesz. Nosi to świństwo cały czas i wszędzie, nawet tam, gdzie zwykły pistolet byłby bardziej przydatny. Prawdopodobnie nawet do toalety idzie z tym gnatem. A teraz, przyjacielu, powiedz mi, skąd masz tę łuskę.

Omar zrelacjonował rozmowę z Dimą Rahman i opowiedział, jak znalazł łuskę w wygniecionej trawie.

- Komu zależało na śmierci Louaia Abdel Rahmana? - spytał na zakończenie. - Zabił go kolaborant, ale nie George Saba. George nie jest kolaborantem, nie ma MAG-a, nie potrafiłby nawet unieść takiego ciężaru. I jeszcze jedno. Dima słyszała wyraźnie, jak Louai woła do kogoś: „Ach, to ty, Abu Walidzie”. Jak myślisz, kim jest ten Abu Walid?

Chamis Zejdan zapalił kolejnego rothmana.

- Detektyw, Abu Ramizie, jest trochę jak psychiatra. Kiedy się leczy psychicznie chorych, trzeba umieć panować nad sobą, bo w przeciwnym razie łatwo samemu zwariować. Choroba przenosi się z pacjenta na lekarza. Tak samo jest z policjantami. Żeby złapać

przestępcę, trzeba zacząć myśleć jak on, a kiedy zaczniesz myśleć jak kryminalista, to od tego już tylko krok, żebyś sam stał się przestępcą. Tyle że za błędy psychiatry płaci pacjent, a kiedy detektyw popełni błąd, przestępca każe mu za niego zapłacić.

- A jednak chcę znaleźć prawdziwego kolaboranta.

- Czy ty nie rozumiesz, Abu Ramizie, że usiłuję cię ostrzec przed niebezpieczeństwem?

- Nie trzeba być detektywem, żeby to zrozumieć.

- Posłuchaj, Omarze. Teraz jestem policjantem, ale przez wiele lat byłem jednym z tych, których świat nazywa terrorystami. Robiłem to, co Stary kazał i gdzie kazał: w Bejrucie, w Rzymie, w Paryżu, zresztą wiesz o tym. Wiesz, że my wszyscy, którzy tu dziś sprawujemy władzę, byliśmy terrorystami. To daje mi nad tobą przewagę. Lepiej zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

- Byłeś terrorystą. Ty i ci twoi bracia z OWP. Ale co z tego? Teraz sami jesteście terroryzowani przez typów pokroju Husajna Tamariego. Ja nigdy nie byłem terrorystą, ale też nie pozwolę się terroryzować.

Chamis Zejdan skrzywił się, jakby to, co zamierzał powiedzieć, z niemałym trudem przechodziło mu przez gardło.

- Nalej mi jeszcze jednego.

Omar wyjął butelkę z kredensu i postawił na stoliku przed przyjacielem. Policjant napelnił szklankę prawie po brzegi.

- Posłuchaj, Abu Ramizie. Louai Abdel Rahman miał pracować dla mnie. Był sierżantem w komendzie. Ale wiesz, jak to dzisiaj jest. Każdy chce być generałem, każdy ma się za geniusza i tylko marzy, żeby dać popalić Izraelczykom. Nie zostaje się bohaterem, wypisując mandaty za parkowanie w niedozwolonym miejscu i za interwencje w sprzeczkach rodzinnych. Wystarczy jednak puścić serię w samochód Izraelczyków i już jesteś wielkim bojownikiem. Louai nie był złym chłopcem, ale nie nadawał się na policjanta. Był po prostu jednym z tych niedojrzałych smarkaczy przestępców, których nasz naród produkuje na pęczki.

- Ale komu mogło zależeć na jego śmierci?

- Na przykład Izraelczykom. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu zabił izraelskiego osadnika.

- Zabił człowieka?

- Takie rzeczy dzieją się często. Nie wiem, czemu się dziwisz.

- A jeśli nie Żydom, to komu mogło zależeć na jego śmierci? Komuś z naszych?

Chamis Zejdan milczał. Jego twarz nic nie wyrażała. Sięgnął po szklankę, wypił jednym haustem, zgasił papierosa w kryształowej popielniczce.

- Muszę już iść, Abu Ramizie - oświadczył.

- Ale nie powiedziałeś mi wszystkiego.

- Powiedziałem wszystko, co powinieneś wiedzieć, i dodam jeszcze jedno: ten, kto wystrzelił ten nabój, ma ich z pewnością znacznie więcej. Nie zawaha się ich użyć przeciwko komukolwiek, aby osiągnąć swój cel. Rozumiesz mnie? - Chamis wstał z fotela.

Omar też wstał.

- Oddaj mi tę łuskę - wyciągnął rękę do Chamisa. - Mimo wszystko chcę ją zachować. Chamis wcisnął łuskę w dłoń Omara.

- Widzę, że jesteś zdeterminowany, a jak cię znam, to wiem, że potrafisz być uparty, ale jako twój przyjaciel mówię ci: trzymaj się od tego z daleka, to nie jest sprawa dla nauczyciela.

- Nauczyciela? Przecież powiedziałeś, że mógłbym być całkiem dobrym detektywem.

Chamis zatrzymał się w drzwiach i rzucił:

- W Palestynie nie ma miejsca dla dobrych detektywów.

Omar Jussef szedł spiesznie do szkoły główną ulicą Dehajszy. Zimny poranny wiatr smagał dolinę, niosąc opary spalin silników dieslowskich. Wiał na północ, w stronę Jerozolimy. Omar wstał o brzasku z bólem głowy, a z każdym krokiem czuł się coraz gorzej. Nie miał wątpliwości, że powodem są stres i niewyspanie. Rozmowa z Chamisem Zejdanem sprawiła, że bardzo źle spał tej nocy.

Miał się za niezależnego myśliciela, odrzucał sposób, w jaki większość ludzi w jego społeczności patrzyła na świat. Ale tej nocy zwątpił w siebie. Nie mógł zasnąć, leżał i rozmyślał: Potrafisz tylko gadać, Omarze, a kiedy trzeba działać, paraliżuje cię strach, że coś ci się stanie. Kiedy udawało mu się zasnąć, to tylko na chwilę, lęk wyrывał go ze snu. Wydawało mu się, że do sypialni wdziera się Husajn Tamari. Serce biło mu jak młotem i nie mógł się uspokoić, choć tłumaczył sobie, że nikt nie wszedł, że nic się nie dzieje, że to tylko Mariam lekko pochrapuje przez sen. Czy łuska rzeczywiście świadczy, że Husajn Tamari był na miejscu zbrodni, gdy zginął Louai? Ale dlaczego przywódca ruchu oporu w Betlejem miałby kolaborować z Izraelczykami? Dlaczego miałoby mu zależeć na śmierci Louaia? Chamis Zejdan powiedział przecież, że Izraelczycy też używają takich karabinów maszynowych. A może Louai Rahman po prostu się pomylił i ten ktoś, kogo wziął za Abu Walida, był kimś zupełnie innym? Dima mówiła, że było ciemno. Może więc Louaiowi tylko się zdawało, że rozpoznaje tego człowieka, a w zasadzce czekał izraelski komandos?

O świcie Omar zwlókł się z łóżka i znów zaczął rozmyślać: „Jeśli zacznę dochodzić, kim jest Abu Walid, to mogą się do mnie dobrać, a nawet zranić, i nie pomoże mi ani klan, ani klanowe znajomości w Harnasie i w Al-Fatahu. Jeśli jednak Louai Rahman pomylił się i nie było tam żadnego Abu Walida, to nikt nie poczuje się zagrożony przeze mnie. Znajdę się w niebezpieczeństwie tylko wtedy, gdy wpadnę na ślad człowieka, który zrobił George’a. Ale kogoś takiego trzeba zdemaskować bez względu na cenę.

W tej chwili Omar Jussef jasno zrozumiał, jak powinien postąpić. I powtarzał to sobie w myślach teraz, idąc do szkoły.

Od południa dobiegł warkot silników blackhawka. Izraelski śmigłowiec krążył nad obozem, chwilami niknąc w niskich ołowianych chmurach. Jak zwykle śledził, co się dzieje w obozie. Huk silników wystraszył niedorozwiniętego chłopca, który przemierzał ulicę długimi susami. Omar często go tu spotykał o tej porze. Chłopak miał dwadzieścia parę lat, nazywał się Najif i zwykle kroczył ulicą, mówiąc coś do siebie i grożąc palcem przejeżdżającym taksówkom. Ale teraz, słysząc huk, wystraszył się, stanął jak wryty, chwycił się rękami za wydłużoną, jajowatą głowę i zaczął lamentować w sobie tylko znanym języku. Omar uśmiechnął się do niego i wyciągnął rękę, otwartą dłonią do góry, jakby sprawdzał, czy zaczyna padać. Chłopak uczynił to samo, podniósł wzrok i spojrzał w niebo. Skupił się na chwilę, po czym się uśmiechnął.

- Tylko trochę kropi, wujku - wybełkotał.

Omar poklepał go po ramieniu i ruszył dalej w swoją stronę.

Zbierało się na deszcz. Gdy lunie, na ulicach, zwłaszcza w miejscach pooranych gąsienicami czołgów, pojawi się błoto. Kurz zmiesza się z deszczem, ze zboczy okalających dolinę spłyną strumyki o barwie moczu, spryskując buty Omara żółtawymi kroplami, i znów trzeba będzie poświęcić sporo czasu, żeby je zmyć, a buty doprowadzić do porządku.

Omar Jussef nie należał do gorliwych wyznawców islamu i zwykle z trudem przypominał sobie sentencje z Koranu. Teraz jednak pamięć podsunęła mu cytat o deszczu: *Bóg ożywia ziemię po jej śmierci*. Allah powiada przeto, że także wiernych przywróci do życia w dniu Sądu Ostatecznego. Ale na razie Allah nie przywrócił ziemi do życia. Brudne uliczki w obozie wyglądały o świcie jak martwe. Allah pomnaża życie na ziemi, ale też przyzwala, by marniało i traciło wszelki sens. Omar Jussef nigdy nie sądził, że życie nie ma sensu. Czy pedagog mógłby dopuścić do siebie podobną myśl? Zastanawiał się tylko, kiedy Allah jego przywróci do życia. Do diabła! Sam musi się o to postarać. I zacznie od sprawy George’a Saby.

Tuż przed wejściem do szkoły stał na cokole czarny kamień w kształcie mapy Palestyny w jej pierwotnych granicach - od Libanu po pustynię Negew. Monument miał świadczyć, że uchodźcy powrócą kiedyś do państwa w tych właśnie granicach, a ich prawa są mocne i niewzruszone jak ten kamień. Tak twierdzili przywódcy palestyńscy. Ale Omar, przechodząc tamtędy, miał wrażenie, że kamień lada moment runie z cokołu i przygniecie go beznadziejnym uporem palestyńskich polityków. Stojąc przed kamienną mapą, rzucił okiem na miejsce, gdzie ongiś znajdowała się jego wioska. Wioska ojca - poprawił się w myśli. On - Omar Jussef - nie miał swojej wioski.

Pierwsze krople deszczu spadły na kaszmirowy beret. Omar podniósł głowę i kropla wylądowała mu na ustach. Przypomniawszy sobie, jak przed chwilą, mijając upośledzonego chłopca, wyciągał otwartą dłoń ku niebu. No właśnie, przywołałem deszcz - zakpił z siebie w myślach.

Wkroczył do szkoły i ruszył korytarzem do gabinetu Christophera Steadmana, wymieniając po drodze pozdrowienia z kolegami nauczycielami. Zapukał i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

Dyrektor nie wstał, a Omar nie usiadł. W gabinecie tym razem nie czuć było odoru niemytego ciała. Ktoś widać oświecił Steadmana, że nauczyciel historii po prostu sobie z niego zakpił, a może Amerykanin sam uznał, że czas wziąć prysznic nawet za cenę pogwałcenia praw ramadanu.

- Gotów jestem rozważyć przejście na emeryturę - rzekł Omar bez żadnych wstępów.

Steadman mimowolnie uniósł kącki ust - nie potrafił ukryć zadowolenia, ale opanował się i przybrał poważny wyraz twarzy.

- Myślę, że to mądra decyzja, Abu Ramizie.

- Ostateczną decyzję podejmę pod koniec miesiąca, a tymczasem chciałbym wziąć urlop. Kilka tygodni wolnego pozwoli mi zorientować się, czy rzeczywiście lepiej będę się czuł na emeryturze. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- No cóż, będzie nam trudno poradzić sobie bez ciebie. - Steadman cmoknął przez zęby, jakby głęboko się zastanawiał, ale Omar pomyślał, że brzmiało to jak syk węża. - Pewnie sam wezmę zastępstwo i zatrudnię kogoś na pół etatu, ale jakoś to będzie.

Omar czuł obrzydzenie do tego człowieka. Widział wyraźnie, jak raduje Steadmana perspektywa pozbycia się kłopotliwego nauczyciela. Wreszcie! Nikt już mu nie będzie się sprzeciwiał, a on sam nie będzie musiał świecić oczami wobec swoich zwierzchników i tłumaczyć, że skargi do miejscowych władz na jego szkołę dotyczą w istocie jednego starzejącego się gbura i jego specyficznych metod pedagogicznych. Czasami Omar Jussef

zastanawiał się, czy nie jest niesprawiedliwy wobec swoich rodaków. Bo weźmy tego Amerykanina, myślał, miał wszystko: wolność, demokrację, pieniądze, wykształcenie, a mimo to wyrósł na takiego samego dupka jak nasi urzędnicy, którzy trzęsą portkami przed władzą i boją się zareagować nawet wtedy, gdy dochodzi do oczywistego łamania prawa.

Steadmanowi nie zależało na uczniach ani na ich wykształceniu. Nie płacono mu za poziom nauczania i nie od tego zależała jego gaża. Za parę lat wyląduje na innej ONZ-owskiej posadzie. Będzie na przykład rozdawał prezerwatywy kierowcom ciężarówek w Mozambiku albo kierował kursami tkania dywanów w więzieniu dla kobiet w Kabulu.

Gdy Steadman zaczął mu gratulować „mądrej decyzji”, Omar był bliski zmiany zdania. Czy wolno mu zostawić uczniów, skazując ich na oficjalną wersję historii, głoszoną przez niedouków albo co gorsza - przez Steadmana? Jednakże potrzebował czasu, aby dociec prawdy i ocalić George'a Sabę. Odwrócił się i wyszedł z gabinetu dyrektora.

Omar Jussef wyprowadził auto ze starej kamiennej szopy stojącej za domem między oliwkami. Gdy okrążał dom, zauważył kątem oka, że Mariam bacznie go obserwuje z kuchni. Jej wzrok wyrażał niesłychane zdumienie, że wrócił ze szkoły o tak niezwyklej porze. Udał, że jej nie widzi, i nie zatrzymując się, wyjechał na szosę wiodącą do Betlejem i Bejt Dżala.

Był marnym kierowcą, a szosa śliska po deszczu, więc jechał wolno. Nie przejmował się, że inni go wyprzedzają, a jeszcze mniej uwagi zwracał na tych, którzy jechali za nim i ze złością naciskali klaksony. Przystawali trąbić dopiero wtedy, gdy nadarzała się sposobność, żeby go wyprzedzić. Tak dojechał do skrzyżowania, na którym chudy policjant bez specjalnego zapachu usiłował zapanować nad sznurem samochodów. Do Bejt Dżala należało skręcić w lewo, więc Omar wjechał wolno na skrzyżowanie i równie wolno zaczął skręcać, przez co stworzył się zator i słychać było chór klaksonów.

Był przygnębiony po rozmowie ze Steadmanem. Myślał o tym wszystkim, czego się dowiedział o sprawie Abdel Rahmana. Doszedł do wniosku, że jeśli zdoła powiązać tę sprawę z George'em Sabą, to wtedy odkryje, kim jest prawdziwy kolaborant. Będzie oczywiście musiał znaleźć dowody, ale pierwszym zadaniem jest ustalenie, kto naprawdę wydał Louaia Rahmana. Jeśli jednak okaże się, że Izraelczycy wpadli na trop Louaia bez pomocy konfidenta, wtedy sprawa się skomplikuje. Wszyscy bowiem domagali się głowy zdrajcy. Łatwiej więc będzie wskazać innego winowajcę, niż dowodzić, że całą winę ponoszą izraelscy żołnierze, którzy byli praktycznie nietykalni. Ale przecież ktoś z całą pewnością zaczął się na Louaia, ktoś czekał na niego w ukryciu wśród pinii i tego kogoś on - Omar Jussef - musi znaleźć.

Spostrzegł raptem, że niewiele widzi przed sobą. Wyciągnął chusteczkę i nie zatrzymując się, przetarł szybę. Mżył deszcz. Wyteżył wzrok, przejechał jeszcze kawałek i dopiero wtedy uświadomił sobie, że po prostu nie włączył wycieraczek. Uruchomił je, ale dobrą chwilę trwało, nim dały sobie radę z kurzem i błotem nagromadzonym na szybie. Droga do Bejt Dżala była kręta. Omar mocno ścisnął kierownicę. Z przeciwnej strony, z góry, jechała ciężarówka. Szybko, za szybko. Omar wystraszył się, ostro zahamował, a za nim rozległ się zgodny protest wielu klaksonów, jakby sygnał dźwiękowy był sprzężony z pedałami hamulców. Ruszył dalej. Wycieraczki zajęczały. Deszcz przestał padać. Omar zatrzymał wóz, żeby spokojnie wyłączyć zacinający się mechanizm wycieraczek. I znów ruszył. Dojechał do szczytu wzgórza. Przejechał obok greckiego klubu prawosławnego, tego, w którym spotkał się z Sabą na kolacji. W świetle dnia budynek jawił się jak pogrążone w smutku oblicze steranego życiem starca.

Przed wjazdem na ostatni odcinek drogi wiodącej do domu Saby stał uzbrojony wartownik. Dał znak Omarowi, żeby się zatrzymał, co ten uczynił z takim impetem, że wartownik musiał uskoczyć na chodnik. Omar nie znosił arogantów, którzy mają jeszcze mleko pod nosem, a starszych traktują z góry. Swoim uczniom zawsze wpajał szacunek dla wieku, a uzbrojeni faceci byli z tego uczucia absolutnie wyzuci.

- Co ty wyprawiasz, człowieku? Chciałeś mnie zabić czy co? - wrzasnął wartownik.

Omar zgasił silnik i z wolna wygramolił się z auta.

- Tu nie wolno parkować. Tu posterunek. Omar ostentacyjnie się rozejrzał. - Jest mnóstwo miejsca, nawet czołg się zmieści. Tylko że kiedy Izraelczycy zajadą tu czołgiem, nie będziesz próbował ich zatrzymać.

- A w ogóle to po coś tu przyjechał?

Omar aż zatrzęsł się ze złości, nie znosił grubiaństwa. Podeszedł do auta, przekręcił kluczyk w drzwiach.

- Lepiej zamknę - powiedział głośno - żeby cię nie kusiło. Wiadomo, że tam, gdzie się pojawiacie, znikają samochody. Mój wóz to jedyny w okolicy bez śladów kul.

W oczach wartownika złość mieszała się z lękiem.

Wie, że to, co mówię, to prawda, pomyślał Omar nie bez satysfakcji. Niewykluczone też, że w duszy młodego człowieka pozostały resztki szacunku dla starszych, a może wstąpił do Brygad Męczenników dopiero niedawno i nie wyzbył się jeszcze tego, co nakazywał obyczaj.

- Pytam, po coś tu przyjechał, człowieku? - W głosie wartownika brzmiała złość, ale i wahanie.

- Jestem detektywem. Prowadzę ważne śledztwo, które ma znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego. A teraz popilnuj mi auta, chyba że chcesz mieć do czynienia z Husajnem Tamarim.

Wartownik kopnął kamień leżący na drodze i wbił wzrok w ziemię jak skarcony smarkacz. Omar Jussef się uśmiechnął.

Ulica była pusta. Nawet przy lepszej pogodzie okolica wyglądałaby żałośnie. W domach po lewej nie zachowała się ani jedna cała szyba, a nagie oczodoły okien wypełniały worki z piaskiem. Po prawej było jeszcze gorzej. Tyły domów wychodziły na dolinę i na pozycje wojsk izraelskich na przeciwległym zboczu - najbardziej więc ucierpiały od ostrzału. Od strony ulicy było względnie bezpieczniej. Idąc, Omar Jussef mógł podziwiać piękne łuki wieńczące stare, tureckie jeszcze budynki. Od kilku dni nad okolicą zbierały się ołowiane chmury, ale lunęło dopiero dziś i Omar z przyjemnością wciągał w płuca świeże, wilgotne powietrze. Doszedł do domu George Saby. Ze schodków obejrzał się za siebie. Wartownik lypał na niego, stojąc przy aucie. Omar zapukał. Na ościeżnicy czerniały ślady kul.

Sofia, żona George'a, wychyliła się z okna.

- Witaj, Abu Ramizie, dzień dobry. Przejdź, proszę, do bocznych drzwi. Frontowe są zniszczone i się nie otwierają. Policjanci wysadzili je, gdy przyszli po George'a.

Omar pozdrowił ją gestem. Zauważył, że ma na głowie bandaż, chociaż zasłaniała go chustką.

Boczne drzwi otworzył Habib, ojciec George'a. Oczy miał czerwone od płaczu i na widok Omara łzy znów polały mu się po policzkach.

- Wybacz wzruszenie, Abu Ramizie - usprawiedliwiał się, zapraszając Omara do środka - ale jesteś pierwszym muzułmaninem, który nas odwiedza od czasu, gdy to się stało.

- Bardzo mi przykro, Abu George.

Weszli po schodach do salonu na piętrze. Wybite okna wypełniały worki z piaskiem, pokój słabo oświetlała pojedyncza żarówka pod sufitem. Było zimno i wilgotno. Od worków z piaskiem niesło dziwnym zapachem morza. Pośrodku pokoju stały dwa wieszaki pełne ślubnych strojów, częściowo nadpalonych. Plastikowe pokrowce były podarte. W nikłym świetle Omar nie mógł zobaczyć więcej.

- George miał kilka pięknych starych lamp, ale policjanci je zabrali - uśmiechnął się Habib.

Na komodzie z tekowego drewna, z sześcioma dziurami po pociskach, stała rzeźba - brązowy odlew kobiecego aktu.

- Myślałem, że ją też wzięli - ciągnął Habib, biorąc figurkę do ręki. - Gdy odeszli, znalazłem ją w kącie za sofą. Chyba któryś cisnął nią o ścianę. Na szczęście nic jej się nie stało, zakurzyła się tylko i osmalila, ale ją wyczyściłem. Podoba ci się?

Omar Jussef wziął statuetkę do ręki. Włosy modelki spływały kaskadą z głowy. Szyja była nienaturalnie wygięta, a lewe biodro wyglądało, jakby miało przedziurawić skórę.

- To Rodin?

- Kopia oczywiście.

- Ten Francuz, jak widzę, kazał młodej kobiecie przybrać wysoce niewygodną pozę. Myślę, że uznała, iż ta poza wyraża jakiś jej wewnętrzny ból. Inaczej chyba nie pozwoliłaby się tak torturować - rzekł Omar. Lękał się, że może uszkodzić rzeźbę, mimo że wytrzymała uderzenie o ścianę, więc trzymał ją delikatnie, jak małe dziecko, któremu łatwo niechcący wyrządzić krzywdę.

- Chyba masz rację, Abu Ramizie. Modelka skończyła w domu wariatów, a rzeźba nosi nazwę „Męczennica”.

Omar pieczołowicie ustawił statuetkę na komodzie.

- Męczennica, powiadasz? Nie da się uciec przed tym słowem - zaśmiał się chrapliwie. Weszła Sofia z kawą i ciasteczkami.

- Zaparzyłam kahwa sa'ada, specjalnie dla ciebie, Abu Ramizie, bo wiem, że lubisz.

- Niech cię Bóg błogosławi i niech kawy nigdy nie braknie w tym domu - odparł Omar zgodnie z obyczajem.

Dotknął delikatnie jej głowy, odsunął chustę, aby dokładniej obejrzeć potężny guz, ledwo przysłonięty bandażem. Sofia uśmiechnęła się boleśnie i wyszła z salonu.

- Jesteś jak w rodzinie, czuj się jak u siebie w domu - wypowiedział Habib tradycyjną formułę.

Omar widział jednak, że starzec nerwowo pociera dłonie. Sofa, na której siedzieli, stała tuż przy ścianie. Omar wypił łyk kawy i dotknął kamiennego muru.

- Mam nadzieję, że jest dostatecznie gruby - rzekł. Niespełna kilometr dzieliło dom od izraelskich dział. Habib roześmiał się.

- W tym domu, Abu Ramizie, możesz się czuć całkowicie bezpiecznie. Jesteś naszym gościem, będziemy cię więc chronić tak długo, jak długo będziesz przebywał pod naszym dachem, pił z nami kawę i ofiarowywał nam swoje towarzystwo.

Do pokoju zajrzały dzieci George'a. Habib zawołał je, aby się przywitały. Zwykle wesołe i serdeczne, dziś wydawały się skępowane, jakby zdjęte śmiertelnym lękiem. Pierwszy podszedł Dahud. Omar pogłaskał go po czuprynie. Chłopiec miał siedem lat, niemal

dokładnie tyle co George, kiedy Omar zobaczył go po raz pierwszy. Dahud był podobny do ojca. Te same szlachetne rysy, wysokie czoło, błękitne oczy.

- Do jakiej szkoły chodzisz?

- Do lasalianów - wyszeptał chłopiec.

- Tak jak twój tata. Byłem jego nauczycielem. Twój ojciec uczył się bardzo dobrze. Mam nadzieję, że ty i twoja siostra też jesteście dobrymi uczniami.

Habib posłał chłopca, żeby przyniósł papierosy z drugiego pokoju. Dziewczynka pobiegła do kuchni.

- Nie odstępuję matki na krok - powiedział Habib cicho. Dahud wrócił z paczką dunhilli, podał dziadkowi i wyszedł za siostrą. Habib odprowadził go wzrokiem, a potem patrzył przez chwilę w milczeniu w przestrzeń, jakby wzrokiem chciał przywołać syna.

- Pamiętasz, Abu Ramizie, że kiedy przed laty George postanowił wyjechać do Chile, starałem się go od tego odwieść? - Habib zapalił dunhilla, zaciągnął się głęboko. - Byłem skończonym egoistą. Chciałem mieć syna przy sobie, choć tu niewiele mógł zdziałać. I wtedy ty, Abu Ramizie, przekonałeś mnie, że chłopak musi sam decydować o sobie. Miałeś rację. Ja jednak cały czas powtarzałem mu w listach, że powinien wracać. Wstydzę się tego. Pisałem, że po śmierci matki czuję się taki samotny. Doskonale wiedziałem, że to go poruszy. I tak też się stało. George wrócił i sam widzisz, co z tego wynikło. Skażą go teraz za zbrodnię, której żadną miarą nie mógł popełnić. Ale jest chrześcijaninem, a więc obcym. Jego współwyznawcy boją się i nie wezmą go w obronę. Został sam jak palec, jak każdy chrześcijanin, który ośmielił się stawić czoło tym, którzy władają miastem. To moja wina, chociaż chciałem tylko tego, czego może chcieć stary ojciec: mieć syna przy sobie. Rozumiesz mnie, Abu Ramizie?

- Kochać syna i chcieć, żeby był blisko, to nic złego.

- Ale nie ma go ze mną, a rychło mogę w ogóle go stracić.

- Jeden dzień z George'em wart jest więcej niż całe życie z kim innym.

- Ale każdy dzień bez niego to wieczność.

Omar wypił łyk kawy, odstawił filiżankę, przełamał i ugryzł migdałowe ciastko.

- A teraz - spojrzał w oczy Habiba - powiedz mi, co się tu stało.

- No cóż - westchnął starzec - byłem w swoim pokoju. Zaczynało świtać, bo pamiętam, że muezini właśnie kończyli nawoływanie do porannej modlitwy. Leżałem jeszcze, ale już nie spałem. W ogóle źle sypiam od czasu, gdy w dolinie zaczęli strzelać, a jeśli uda mi się zasnąć, to znów snią mi się strzały. Więc, jak powiadam, leżałem w łóżku, kiedy usłyszałem wybuch. Potem okazało się, że policja wysadziła drzwi razem z framugą.

Zreperowałem drzwi, jak umiałem, poprzybijałem resztki gwoździami, ale i tak widać, co tu się działo. Policjanci wtargnęli do środka i zabrali George'a. Sofia zaczęła lamentować, więc zdzielili ją kolbą - widziałeś jej czoło, prawda? Resztę domowników trzymali pod lufą.

- Ale mnie interesuje to, co było przedtem. Co się zdarzyło trzy dni temu, kiedy George wrócił do domu po spotkaniu ze mną w greckim klubie. Rozpętała się strzelanina, więc George powiedział, że musi biec do domu, sprawdzić, co się dzieje. Co się stało potem?

Habib zgasił papierosa w popielniczce z różowej muszli. Wyglądał jak człowiek śmiertelnie zmęczony.

- Co się stało? - powtórzył. - Bojówkarze wdarli się na nasz dach - spojrzął ku górze - usadowili się dokładnie nad miejscem, gdzie teraz siedzimy, i zaczęli strzelać do Izraelczyków. George wziął stary pistolet, antyk, który zawsze wisiał na ścianie. Nie był nabity, a gdyby nawet, to i tak nie dałoby się z tego wystrzelić. Ale robił wrażenie, wyglądał groźnie. Tak więc George wspiał się na dach i przepędził ich.

- To znaczy kogo?

- A kogóż innego, jak nie te świny z Brygad Męczenników.

- A konkretnie?

- Nie wiem, nie widziałem, nie znam.

- A George? Znał ich?

- Nic nie mówił, a poza tym co to znaczy: „czy znał ich”? George nie zadaje się z takimi ludźmi.

- Oczywiście, ale w mieście przywódcy są znani. Przecież się nie ukrywają. No chyba, że nadchodzą Izraelczycy.

- George nic nie mówił, a z pewnością nie wymienił żadnych nazwisk. Był bardzo zdenerwowany.

- A gdzie jest ten jego pistolet?

Habib Saba wstał bez słowa, podszedł do stylowej francuskiej sekretery z żaluzjowym wiekiem. Otworzył, wyjął starego webleya i podał Omarowi. Pistolet okazał się cięższy, niż na to wyglądał, ważył chyba półtora kilo. Był oksydowany, z wytartą od długiego używania kolbą. Omar spróbował nacisnąć spust. Bez skutku, mechanizm dawno zardzewiał. Ale w nocy broń, choć bezużyteczna, mogła wyglądać groźnie, bo któż mógł wiedzieć, że to już tylko złom.

- Nawet gdyby wlać w to litr oliwy, to i tak nic nie pomoże - rzekł Habib. - To broń, jakiej używali brytyjscy oficerowie. A ten egzemplarz należał do Ghassana Szubeki.

Pamiętasz go? Służył w Legionie Arabskim. Pistolet zachował na pamiątkę. Ten webley ma co najmniej pięćdziesiąt lat.

George Saba był znacznie śmielszy i bardziej zdesperowany, niż Omar sądził, bo jak inaczej wytłumaczyć, że porwał się na bojówkarzy z kawałkiem szmelcu w ręku.

- Chciałbym go zabrać, jeśli można - powiedział Omar Jussef.

- Jeśli tylko chcesz, ja i tak nie mogę na niego patrzeć. Omar wsunął pistolet do kieszeni marynarki. Webley był ciężki, wydawało mu się, że szwy zaraz puszczą, ale dla dobra śledztwa gotów był poświęcić swoją garderobę.

- I naprawdę niczego nie widziałeś tej nocy, kiedy George wyszedł na dach, żeby przepędzić tych bojówkarzy?

- Kiedy strzelanina ucichła, wyjrzałem na ulicę przez okno w sypialni - zaczął Habib po chwili zastanowienia. - Zobaczyłem dwóch mężczyzn. Akurat wsiadali do auta, wiesz, do takiego, jakie są dziś modne - połączenie dzipa z limuzyną. Taki wóz kosztuje majątek, więc przypuszczam, że był kradziony. Jeden z mężczyzn palił - widziałem żarzący się papieros, a drugi... drugi dźwigał wielki karabin.

- Jaki karabin?

- Abu Ramizie, znam się na strojach ślubnych, bo je szyję, ale o broni nie mam pojęcia. Wiem tylko, że ten człowiek dźwigał duży karabin.

Omar przywołał w pamięci MAG-a, z którego Husajn Tamari strzelał w powietrze na cześć Louaia Abdel Rahmana. To był z pewnością wielki karabin. Czyżby więc to sam Tamari był na dachu tej nocy, gdy George wspiał się tam z niedziałającym pistoletem?

- Abu George, przypomnij sobie coś więcej. Długa lufa, drewniana kolba, razem około metra dwadzieścia pięć, na lufie taka składana podpórka, a do tego taśma z nabojami - tak to wyglądało?

- Abu Ramizie, panowały ciemności, a ja byłem przerażony i martwiłem się tylko o George'a. Gdyby ci ludzie mieli na sobie ślubne suknie, wszystko bym zauważył i powiedziałbym ci nawet, jakie perły mieli na szyi. Ale karabin? Na tym się nie znam. Dlaczego tak cię to interesuje i dlaczego chcesz zabrać tego starego webleya? Co ty zamierzasz, Abu Ramizie?

- Zamierzam przejść na emeryturę, Abu George. Habib Saba nerwowo przesunął się na krześle.

- I chcesz zrobić coś ryzykownego? Już to zrobiłem, pomyślał Omar.

Pożegnał się z Habibem. Po wyjściu skręcił w bok, w stronę schodów prowadzących na dach. Wspiał się po nich i ciężko dysząc z wysiłku i lęku, zatrzymał się na ostatnich

stopniach. Wyrzwał na płaski dach. Niewykluczone, że Izraelczycy mają dom na oku - mogą przecież podejrzewać, że terroryści wrócą. Niewykluczone też, że na zboczu po drugiej stronie doliny zasadził się izraelski snajper. Omar słyszał, że dysponują oni bronią, z której trafiają w cel odległy nawet o kilometr albo i więcej. Żołnierze przez lunetę mogliby spostrzec, że pod marynarką ma ukrytą broń. Obciągnął połą, ale niewiele to pomogło. Głęboko odetchnął i wyszedł na dach. Musiał przecież zbadać miejsce, gdzie George stanął oko w oko z terrorystami.

Kałuża deszczówki zebrała się obok przestrzelonego zbiornika na wodę. Omar się rozejrzał. Terroryści, pomyślał, mogli urządzić sobie stanowisko na skraju dachu, gdzie niski murek otaczający cały dach dawał pewną osłonę. Poszedł w tamtą stronę, myśląc z lękiem, czy jakiś izraelski snajper ma już go na muszce. Pod nogami zachrzęściło szkło z rozbitych paneli słonecznych do ogrzewania wody.

W kałuży pod murkiem coś błysnęło. Omar się schylił. Łuska. Podniósł ją. Strząsnął krople wody. Z kieszeni wyjął łuskę, którą znalazł za domem Rahmanów. Porównał. Na oko wydawały się identyczne. Omar widział kiedyś zwykle naboje karabinowe u Chamisa Zejdana. W porównaniu z tymi, które teraz trzymał w ręku, wyglądały jak miniatury, jak mały palec obok serdecznego. O łusce znalezionej u Rahmanów Chamis powiedział, że to po naboju do MAG-a. Dodał także, że w całym Betlejem tylko Tamari ma taką broń. Jest więc dowód, że szef Brygad Męczenników był na dachu tamtej nocy, chyba że akurat pożyczył komuś swój karabin.

Omar rozejrzał się jeszcze raz, ale niczego ciekawego na dachu już nie znalazł. Wsunął obie łuski do kieszeni. Zadźwięczały, odbijając się od webleya. Izraelczycy podobno mają znakomite przyrządy obserwacyjne i kto wie, może wszystko widzą - webleya, z którego nie da się wystrzelić i dwie zużyte łuski od MAG-a. Ale nawet jeśli widzą, to co ich to może obchodzić, pomyślał. I uświadomił sobie także, że tylko on jeden zdaje sobie sprawę, jak niebezpieczny ładunek dźwiga w kieszeni.

Kiedy Omar wrócił do auta, ponury wartownik, który przedtem próbował go zastraszyć, łypnął podejrzliwie. Omar zastanawiał się, jaką przyszłość ów dzieciak może mieć przed sobą. Oczywiście ucieknie, gdy tylko usłyszy chrzęst gąsienic izraelskich czołgów, ale żołnierze i tak mogą go dopaść. Niewykluczone też, że któregoś dnia straci czujność i wskutek nieuwagi albo lenistwa stanie się celem żydowskiego snajpera. Nic dziwnego, że młody człowiek był agresywny i spięty, ale Omar nie potrafił mu współczuć. Wsiadł do swego starego peugeota, i zawrócił na wąskiej drodze z takim impetem, że wartownik znów musiał uskoczyć na chodnik w obawie, żeby nie dostać się pod koła. We wstecznym lusterku

Omar widział, jak młodzieniec wraca na swój posterunek i śledzi wzrokiem odjeżdżające auto.

Zatrzymał się przed rzędem sklepów jeszcze w granicach Bejt Dżala. Grupka uzbrojonych młodych ludzi stała na rogu ulicy przed restauracją oferującą pieczone kurczaki. Trwał ramadan, więc lokal otwierano dopiero po zachodzie słońca. Omar obrzucił młodych ludzi niechętnym spojrzeniem, pokonując kilka schodków na chodnik otaczający kwartał ze sklepami. Gdy mijał chłopaków, ustąpili mu z drogi, a jeden z nich uprzejmie go pozdrowił:

- Dzień dobry, wujku.

- Dobry, dobry - rzucił Omar machinalnie.

Młodzi ludzie wrócili do rozmowy, a Omar zaczął zastanawiać się nad swoją reakcją. Nie znosił tych rozwydrzonych arogantów do tego stopnia, że gdy któryś raptem zachował się trochę uprzejmiej, Omar czuł jeszcze większą niechęć. Nie powinienem jednak winić ich za całe zło w naszym społeczeństwie, pomyślał. Czy zrobiłem się tak zapiekły, że nie potrafię dostrzec w nich ludzkich istot? Może tej nocy byli na patrolu? Nie wszyscy, ale niektórzy na pewno gotowi są poświęcić wszystko, nawet życie, w imię czegoś, co uważają za swój święty obowiązek.

Zatrzymał się przed dość obskurnie wyglądającą witryną przysłoniętą szarą żaluzją. Wszedł do środka. Na jego widok siedząca za biurkiem kobieta w średnim wieku podniosła się z miejsca. Była pulchna, ale elegancko ubrana. Miała apaszkę od St. Laurenta na szyi i kolczyki tej samej marki w mięsistych uszach.

- Abu Ramiz, witaj - ucałowała go w oba policzki.

- Nafra, masz nową fryzurę - pochwalił Omar, podziwiając krótkie po bokach, a dłuższe u góry, zaczesane swobodnie do tyłu włosy w kolorze miedzi. Wiedział oczywiście, że nie jest to naturalny kolor.

- Podoba ci się, Abu Ramizie? Staram się, jak mogę, żeby Abu Dżeriez mnie nie wyrzucił i nie wziął na moje miejsce jakiejś młodej, ładnej dziewczyny.

- Wtedy zbankrutowałby. Zawsze mi powtarza, że tak naprawdę to ty tu rządysz.

Nafra w odpowiedzi zaśmiała się dźwięcznie i poprowadziła gościa do gabinetu szefa na zapleczu. Zanim tam doszli, drzwi się otworzyły i wyrżał z nich Charles Halloun.

- Abu Ramiz, od razu wiedziałem, że to ty. Nikogo innego Nafra nie wita tak radośnie.

- Wyciągnął rękę na powitanie i nie wypuszczając dłoni Omara ze swojej, wciągnął go do gabinetu, dając znak Nafrze, żeby podała kawę.

Gestem wskazał Omarowi miejsce na kanapie, po czym sam usiadł w drugim rogu. Miał czarne, starannie przystrzyżone włosy, długi, niekształtny nos i krzaczaste brwi. Ubrany

był w sportową tweedową marynarkę i brązową kamizelkę no i również brązowy wełniany krawat. Wyglądał jak podstarzały oksfordczyk.

Ojciec Hallouna był księgowym ojca Omara Jussefa. Syn poszedł w ślady ojca i Charles zajmował się rachunkami Abu Ramiza.

- Właśnie był u mnie twój syn, Abu Ramizie. Przyniósł faktury. Powiem ci, że jego konto u mnie stale rośnie. To teraz mój najlepszy klient. - Halloun podrapał się w nos. - Wygląda na to, że chłopak odziedziczył rozum po tobie. Daje sobie radę i ma nosa. Telefony komórkowe to teraz świetny interes.

- Rzeczywiście, Ramiz jest zdolny, ale to nie moja zasługa, bo ja sam nie mam zielonego pojęcia o telefonach komórkowych, nawet nie wiem, jak działają.

- Dopóki pieniądze nie są fałszywe, nieważne, skąd pochodzą - zaśmiał się Halloun, zabawnie poruszając krzaczastymi brwiami.

Weszła Nafra z kawą i szklanką wody. Podobnie jak Sabo-wie, Nafra i Halloun byli chrześcijanami i wiedzieli, że nie przestrzega zasad ramadanu, więc chętnie wypije filiżankę kawy, choć do zachodu słońca było jeszcze daleko.

- Niech Bóg błogosławi twoje ręce. - Omar podziękował za kawę tradycyjnym zwrotem.

- I niech ciebie błogosławi - odparła Nafra. - A jak się ma Umm Ramiz?

- Dziękuję, dobrze.

- A Zuhejr i Ala'a?

- Zuhejr zjedzie do nas z Walii pod koniec miesiąca na Id. Ala'a siedzi w Nowym Jorku, właśnie zmienił pracę i teraz sprzedaje komputery.

- Pozdrów ich ode mnie i powiedz, że chętnie się z nimi spotkam, gdy przyjadą. - Nafra strzepnęła niewidzialny pyłek ze spódnicy i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- Zdrowia i wszystkiego najlepszego - rzekł Charles Halloun, gdy Omar podniósł filiżankę do ust.

- Abu Dżeriez - Omar wypił łyk i odstawił filiżankę - zapytam wprost: jak moja rodzina jest zabezpieczona?

Charles Halloun zmarszczył brwi i przybrał poważny wyraz twarzy.

- Coś niedobrego z twoim zdrowiem, Abu Ramizie? - spytał z troską.

- Nie, nic takiego - zaprzeczył Omar. Na razie, dodał w myślach. - Tylko widzisz, Abu Dżeriez, myślę o emeryturze. Chcę jednak wiedzieć, czy bez pensji w szkole będę mógł żyć jak dotąd?

- No cóż, masz dochody z inwestycji, które zrobił twój ojciec. Macie trochę akcji Banku Arabskiego i trochę egipskich obligacji. Są też wpływy z dzierżawy ziemi w Bejt Sahur, którą Abu Omar kupił tuż przed śmiercią. Większość dochodów inwestowałem dla was ponownie, bo na co dzień wystarczały wam twoje zarobki w szkole. Gdy ich zabraknie, będziecie mogli żyć z kapitału praktycznie na tym samym poziomie. - Abu Dżeriez spojrzął w oczy Omara. - Ale czy na pewno chodzi ci tylko o emeryturę? Jesteś jeszcze młody.

- Mam już pięćdziesiąt sześć lat.

- Ale zdrowie ci dopisuje, dzięki Bogu.

- I tak, i nie. Nie piję już od dziesięciu lat, ale wystarczy to, co wlałem w siebie przedtem. Od pięciu lat nie palę, ale i tak czasami, jak choćby dziś, dostaję zadyszki. Nie gimnastykuję się, nie ćwiczę, jeśli pominąć codzienny spacer do szkoły. Nie chcę cię zanudzać, powiem tylko, że mam poważne zmartwienia, a stres źle działa na serce.

- Nie pijesz, nie palisz? Żyjesz jak w ramadanie.

- Ale przez prawie pięćdziesiąt lat żyłem stale jak podczas Id - zaśmiał się Omar. - Zapewniam cię, że emerytura dobrze wpłynie na moje zdrowie. Natomiast chcę się upewnić co do stanu naszych finansów, zanim podejmę ostateczną decyzję.

- Mogę ci przygotować dokładne sprawozdanie wraz z analizą, na jaki dochód będziesz mógł liczyć w przyszłości.

- Nie mam wielkich potrzeb. Niech tylko wystarczy na jedzenie i prezenty dla wnuków od czasu do czasu. Nie podróżuję wiele. Raz do roku udaję się z Mariam do Ammanu, by odwiedzić mego brata, i raz do roku jeżdżę sam na wakacje do Maroka.

- Myślę, że nadal będzie cię stać na takie wyprawy, Abu Ramizie.

Obaj w milczeniu popijali kawę.

- Rozmawiałem dziś z Ramizem o pewnej delikatnej sprawie - przerwał milczenie Halloun. - Myślę, że byłoby dobrze, żebyś ty też z nim porozmawiał. Otóż twój syn chce otworzyć kilka nowych sklepów z telefonami komórkowymi w okolicy Betlejem. Chodzi jednak o to, że w dzisiejszych czasach rozwijający się interes zwraca na siebie uwagę różnych podejrzanych typów. Brygady Męczenników dobrały się już do wielu firm.

- Chcesz przez to powiedzieć, że biorą haracz za tak zwaną ochronę?

- Nie, ochrona to przebrzmiała sprawa. Przychodzą i po prostu zabierają firmę, ot tak.

- Halloun strzelił palcami. - Zjawiają się u właściciela z przygotowanym kontraktem i mówią: „Podpisuj albo cię wykończymy, a interes i tak przejmujemy”.

- I obawiasz się, że mogłoby to spotkać Ramiza?

- Wszyscy oni korzystają z telefonów komórkowych i wiedzą, że to dobry interes. To może ich skusić. Wiesz, jak załatwili Abdel Rahmana?

- Co ty mówisz? Nic nie wiem.

- Kiedy Izraelczycy zabili Louaia, rodzina straciła ochronę, jaką zapewniała im zaprzyjaźniona frakcja ruchu oporu. Póki Louai żył, Rahmanowie byli nietykalni, bo stała za nimi właśnie jedna z frakcji. Gdyby ktoś chciał Rahmanom zrobić krzywdę, miałby do czynienia z milicją, która zapewniała mu opiekę. I Rahmanowie rozwijali interes. Dorobili się czterech warsztatów samochodowych. Jeden założyli w Irtas, dwa w Betlejem i jeden w Haderze. Ale gdy tylko Louai zginął, do starego Rahmana przyszli ci z Brygad Męczenników i zażądali kluczy do warsztatów. Zaraz potem wszystkie znalazły się w rękach brata Husajna Tamariego.

- Niesłychane, przecież od śmierci Louaia minęły ledwie dwa dni!

- Mnie już nic nie zaskoczy. Po Tamarim wszystkiego można się spodziewać.

Omar przypomniał sobie wydarzenia sprzed dwóch dni - żałobników zgromadzonych w namiocie u Rahmanów, nadejście Tamariego, strzały w powietrze. W świetle tego, co mówił Abu Dżeriz, miały one podwójne znaczenie - były hołdem dla poległego bojownika, a zarazem groźbą. Omar przypomniał sobie też, że gdy Tamari szepnął coś do starego Rahmana, ten aż pobladł z wrażenia. Nie mogły to chyba być kondolencje.

- Pozowanie na bohatera ruchu oporu - ciągnął Halloun - mnie nie zwiedzie. Wiem dokładnie, na co stać tego bękarta. Przekonałem się o tym, gdy mnie aresztował za rzekome niepłacenie podatków.

Omar zrobił wielkie oczy.

- Nie zalegałem z żadnymi podatkami - wyjaśnił Halloun. - To był zwykły przekręt. Taki sam numer Tamari zrobił jeszcze dziesięciu biznesmenom tu i w Hebronie. To było sześć lat temu. Przyszedł na czele oddziału sił bezpieczeństwa. Nafkę potraktowali jak dziwkę, a mnie aresztowali. Niczego nie sprawdzali, nie wzięli ani dokumentów, ani ksiąg. Nie było żadnego śledztwa. Zwyczajnie zawlekli mnie do więzienia w Jerychu i tam ten drań Tamari powiedział do mnie: „Masz niezapłacone podatki. Albo mi dasz trzydzieści tysięcy dolarów, albo oskarżę cię o kolaborację z okupantem i zgnijesz w celi”.

- I co zrobiłeś?

- Powiedziałem, żeby się ode mnie - za przeproszeniem - odpieprzył i zażądałem adwokata.

- Aon?

- Zaśmiał mi się w twarz. Potem się zaczęło. Bili mnie, torturowali. Nie chcę o tym mówić, niech ci wystarczy, Abu Ramizie, że do dziś mam bóle w krzyżu. Stale przypominają mi o dniach spędzonych z Abu Walidem.

Abu Walid. Omar aż drgnął.

- Trzymali mnie w Jerychu przez tydzień. Nic mi nie dawali do jedzenia, a jeszcze gorzej było z piciem. Owszem, przynosili trochę wody, ale sikali do niej na moich oczach. Co miałem zrobić, piłem. Potem ogolili mi pół głowy i przebrali w kobiece suknie. W końcu przynieśli telefon. Zadzwoiłem do Nafry, kazałem jej iść do banku i przywieźć pieniądze. Ale nawet jak im je dałem, to Abu Walid raz jeszcze mnie pobił, zanim odesłał do domu.

- Abu Walid? Kto to jest?

- Husajn Tamari. To bękart i bękarta spłodził. Nie słyszałeś o Walidzie, jego pierworodnym? Taki sam brutal jak ojciec. Popytaj wyrostków w mieście. Prawie wszyscy chodzą ze śladami jego ręki. Taki sam jak ojciec.

Webley i dwie łuski w kieszeni zaczęły Omarowi raptem ciążyć bardziej niż przedtem. Abu Walid! A więc na Louaia Rahmana zaczął się nie kto inny, tylko Husajn Tamari? Kto inny wśród bojowników Brygad Męczenników ma syna o imieniu Walid? Poza tym zaraz po śmierci Louaia Abu Walid przejął warsztaty samochodowe Abdel Rahmana. Jest więc wyraźny motyw. Pozostaje tylko pytanie, czy Tamari sam pociągnął za spust.

Omar wstał, pożegnał się z Charlesem Hallounem i Nafrą. Wsiadł do wozu i ruszył do Dehajszy. Od początku ani przez moment nie wątpił, że George Saba jest absolutnie niewinny, a teraz poznał nazwisko prawdziwego kolaboranta. Serce biło mu jak szalone. Zacisnął dłonie na kierownicy tak mocno, aż palce mu zbieleły. Udowodni, że George Saba został fałszywie oskarżony i że wrobił go sam szef ruchu oporu w Betlejem. Tak robi, tak musi zrobić, dla George'a Saby i dla całego miasta, które wkrótce stanie się miejscem, gdzie bandyci będą robili, co chcą. Chamis Zejdan uprzedzał go, że wchodzi na niebezpieczną ścieżkę. Trudno.

Wjechał do garażu za domem. Przez piwnicę przeszedł na górę do sypialni. Otworzył szufladę w komodzie, w której Mariam chowała jego skarpetki. Wyjął webleya z kieszeni i wsunął głęboko, przykrył skarpetkami. Obejrzał się z niejakim poczuciem winy i zamknął szufladę.

Po co przyniosłem ten rewolwer? Zachowuję się jak detektyw, myślał. Zbieram dowody. Ta broń to dowód, a więc muszę ją trzymać. Ale duszę mam na ramieniu. Przedmioty mogą być niebezpieczne, zwłaszcza gdy sprawa dotyczy człowieka pokroju Husajna Tamariego. Co zrobię, gdy Tamari się zjawi? Jak wtedy zareaguję, skoro już teraz

ten kawał złomu leżący między skarpetkami przyprawia mnie o strach? Obracał w ręku łuski od MAG-a. Wyobrażał sobie, jak wyglądały pełne prochu i zwieńczone ołowianymi pociskami.

Przeszedł do salonu, podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił numer Chamisa Zejdana.

- Muszę porozmawiać z George'em Sabą - rzekł bez większych wstępów. W słuchawce zaległo milczenie.

- Dobrze - odezwał się Chamis po chwili. - Przyjdź jutro o ósmej rano - oznajmił krótko i przerwał połączenie.

Nastała cisza tak głęboka, że Omar słyszał, jak krew pulsuje mu w skroniach. Myślał o tym, czego dowiedział się od Charlesa Hallouna, o tym, na co jego rodzina może liczyć. Nie bał się o siebie. Chciał się tylko upewnić, czy Mariam będzie miała z czego żyć, gdyby jemu coś się stało. Był zdecydowany. Nic nie może się stać, dopóki George Saba potrzebuje jego pomocy. Jeśli on - Omar - nie wytrwa, Husajn Tamari nie poprzestanie na Sabie. Ofiar będzie więcej.

Aleja nie jestem ofiarą, pomyślał. Wyciągnął rękę i zaśmiał się cicho. Po raz pierwszy od lat ręka nie drżała.

ROZDZIAŁ 10

Dźwięk dzwonów z Bazyliki Narodzenia Pańskiego wypełniał cały plac Żłóbka. Był wczesny ranek, Omar Jussef zmierzał w stronę budynku policji.

Sklepy z pamiątkami dla turystów przy południowej pierzei placu były jeszcze zamknięte. Zostaną otwarte później, chociaż w tych dniach tylko nieliczni turyści mieli odwagę przyjeżdżać do Betlejem. Niewielu też było chętnych do kupowania figurek Dzieciątka Jezus i Matki Boskiej, które równymi rzędami zastawiały półki i wystawy w sklepie Giacommanów. Z sąsiadującej ze sklepem restauracji, również jeszcze zamkniętej, dobiegała woń wczorajszego fulu. Omar nie jadał śniadań, ale zapach duszonej fasoli sprawił, że poczuł głód. Zrobiło mu się zimno, więc postawił kołnierz płaszczu.

Szedł przez wyłożony kamiennymi płytami plac. W bladym świetle poranka ciemne przypory ormiańskiego klasztoru naprzeciwko Bazyliki Narodzenia Pańskiego wydawały się równie ponure jak bicie dzwonów. Kiedyś inaczej to wyglądało. Z młodych lat pamiętał, że w kościele i wszędzie wokół tętniło życie. Ale potem miasto opanowali muzułmanie z okolicznych obozów i wiosek, uchodźcy jak on. Ich liczba stale rosła, uznali więc, że chrześcijańskie ongiś miasto mogą traktować jak swoje. Bazylika Narodzenia Pańskiego - symbol Betlejem - jawiła się teraz jak ostatni bastion obrony przed obcą religią, jak oblężona

twierdza z topniejącą załogą wiernych i wydawała się miejscem bardziej odpowiednim na pogrzeb niżli narodziny.

Areszt, w którym trzymano George'a Sabę, znajdował się w podziemiach budynku policji na rogu, tuż obok kościoła. Omar wyobrażał sobie George'a siedzącego w celi i słuchającego dźwięku dzwonów odmierzających minuty jego samotności i czas, jaki dzielił chrześcijan w tym mieście od ostatecznej zagłady.

- Bądź pozdrowiony, *ustaz* - usłyszał nagle za sobą Omar. Obrócił się.

Pustą ulicą szedł w jego kierunku chudy ksiądz w czarnej sutannie z białą koloratką, w sandałach i szarych skarpetkach. Cerę miał oliwkową, z czerniejącym cieniem gęstego zarostu, który wyglądał tak, jakby domagał się brzytwy. Włosy kręcone, ale wątłe, za dwa lata w ogóle ich nie będzie. Oczy za grubymi szklami wydawały się maleńkie.

- Elias! - wykrzyknął Omar. - Cieszę się, że cię widzę. George mówił mi, że wróciłeś z Watykanu. Rozmawialiśmy o tobie. Obaj jesteśmy dumni z twoich sukcesów.

- To prawda, wróciłem. Nie umiałem trzymać się na bezpieczny dystans - zaśmiał się.

- Wspaniale cię widzieć, Abu Ramizie. Znakomicie wyglądasz.

- Nigdy nie wierzyłem klechom i wreszcie wiem dlaczego. Szczerze powiem, zdrowie mi nie dopisuje.

- No cóż, Abu Ramizie, tak się ucieszyłem na twój widok, że zdawało mi się, iż wszystko musi być w najlepszym porządku.

- Chciałbym, ale tak nie jest. - Omar spojrział w stronę budynku policji. - Idę odwiedzić George'a Sabę. Zamknęli go.

Elias Biszara zasępił się, poprawił grube okulary.

- Daj mi znać, gdyby George czegoś potrzebował. Jesteś jego najlepszym przyjacielem, ale może będzie mu potrzebny ksiądz.

Omarowi przemknęło przez myśl, że Elias Biszara ma na myśli ostatecznie namaszczenie. Wzdrygnął się. Nie zamierzał się z tym godzić. Jeszcze nie.

- Zapytam go - obiecał i uściśnął dłoń Eliasa. Chamis Zejdan już czekał i od razu sprowadził go po stromych schodach do podziemia, gdzie znajdował się areszt. W korytarzu było zimno. Omar pomyślał, że chłód bardziej wiąże się z tym miejscem niż z zimową pogodą. Chamis otworzył kratę zamykającą korytarz i przepuścił Omara przodem. Minęli dwie puste cele. Na pryczach leżały wyświechtane dywaniki modlitewne.

- Tu trzymaliśmy ludzi z Hamasu, oczywiście w czasach, kiedy jeszcze wolno ich było aresztować - rzucił Chamis. - Potem przyszedł rozkaz z góry, żeby wszystkich wypuścić. Teraz w areszcie mamy tylko jednego lokatora - twojego przyjaciela.

Chamis otworzył kolejną kratę na końcu korytarza. Za nią znajdowała się cela George'a.

- Poczekam przy schodach - oznajmił. - Zawołaj mnie, jak skończysz. Tylko na litość boską nie marudź za długo.

Szorstka uwaga skrywała zdenerwowanie, co Omar natychmiast wyczuł. Nie był tylko pewien, czy Chamis lęka się, że ktoś może zobaczyć, iż umożliwia mu widzenie z kolaborantem, czy też niepokoi się, że śledztwo, jakie Omar rozpoczął, może się źle skończyć również dla niego, bo sam także zostanie wplątany w tę sprawę.

George Saba wstał z barłogu w kącie celi. Oprócz posłania nie było w niej żadnych sprzętów. Twarz miał opuchniętą, niemytą od paru dni. Omar zdumiał się, widząc, że zarost na brodzie George'a jest niemal całkiem biały, mimo że na głowie tylko skronie miał przyprószone siwizną. Zmierzwione włosy sterczały na wszystkie strony pod przedziwnymi kątami. Wyglądał jak człowiek, który spał całe lata, ale nie zaznał odpoczynku. Gdy objął Omara na powitanie, ten mimowolnie wzdrygnął się, czując zatęchłą woń brudnego ciała.

- Abu Ramizie, co za radość!

Omarowi zabrakło słów i łzy napłynęły mu do oczu. Przez cienki materiał koszuli poczuł, że przyjaciel jest zziębnięty. Dłonie miał zimne jak lód.

- George, zamarzniesz tutaj.

Ten spojrział wymownie w stronę okna bez szyby i próbował się uśmiechnąć, ale nie był w stanie.

- Proszę, weź mój płaszcz. - Omar ściągnął z siebie krótki płaszcz w jodełkę.

- Nie, dziękuję. Możesz się przeziębnić.

- Mam jeszcze marynarkę. Weź ten płaszcz, proszę.

- Będzie za mały.

Omar zmusił go jednak, aby przynajmniej przymierzył. George był znacznie masywniejszy od niego i w innych okolicznościach wyglądałby komicznie z przykrótkimi rękawami i niedopinającymi się guzikami na brzuchu. Ale widać było, że poczuł się lepiej, a płaszcz złagodził torturę zimna.

- Niech cię Bóg wynagrodzi - podziękował George. Omar zaczął dygotać z zimna, gdy został tylko w tweedowej marynarce. Usiedli na pryczy.

- Opowiedz mi, George, co się stało na dachu, po naszym rozstaniu przed greckim klubem.

- Pobiegłem do domu, wziąłem stary brytyjski pistolet, antyk, który zamierzałem wystawić na sprzedaż w swoim sklepie, i wspiąłem się na dach. Było tam dwóch bojówkarzy,

strzelali z karabinu maszynowego. Kazałem im się wynosić, na co oni zaczęli mi wymyślać. Wtedy wymierzyłem w nich pistolet. W ciemności nie mogli widzieć, że to złom, więc posłuchali. Zaczęli się wycofywać i wtedy ich rozpoznałem. Jeden miał na głowie futrzaną czapkę. Znam jego nazwisko. To Dżihad Aw-deh. Drugi dźwigał wielki karabin...

- Husajn Tamari?

- Zgadłeś.

- Dwaj najważniejsi przywódcy Brygad Męczenników w Betlejem, wiedziałeś o tym? Gorzej nie mogłeś trafić, George.

Przyjaciel uśmiechnął się gorzko.

- Patrzyłem przede wszystkim na Husajna Tamariego, bo to on prowadził ostrzał. Ale coś, nie wiem co, kazało mi zerknąć na tego drugiego - Dżihada Awdeha. Wyglądał tak groźnie, że nie umiem tego opisać. W pewnym momencie, kiedy już mieli zejść, Dżihad się zatrzymał i zaczął coś zbierać z dachu i chować po kieszeniach. Nie wiem, co to było, chyba coś z metalu. Sporo tego leżało na dachu. I wtedy właśnie spojrzał na mnie takim wzrokiem, że aż mi się zimno zrobiło. Teraz, gdy o tym myślę, poczułbym zimno, gdybym nie był taki wyziębiony. Potem obaj zeszli z dachu.

- Podejrzewam, że Dżihad zbierał łuski, bo ja znalazłem tylko jedną, gdy wczoraj wszedłem na twój dach. Musiał ją przeoczyć.

- Byłeś u mnie na dachu? A po co? Co ty chcesz zrobić, Abu Ramizie?

Omar nie odpowiedział. Zmienił temat.

- Powiedz mi, George, czy masz jakichś wrogów? Kogoś, kto chciałby cię w coś zrobić?

- Wrogów? Chyba tylko tych dwóch. Nie sądzę, aby jakiś klient chciał się mścić za to, że sprzedałem mu coś za drogo. Tamari i Awdeh grozili mi na odchodnym. Pomyślałem, że może pobiją mnie albo nawet zabiją gdzieś na ulicy, ale nie przyszło mi do głowy, że zgotują mi taką hańbę.

- Który z nich groził, że cię zabije?

- Chyba obydwaj. Chociaż nie, to Tamari groził, że mi się odpłaci, ale jak odchodzili, Dżihad zrobił taki gest, jakby podcinał mi gardło.

Omar ogarnął wzrokiem celę. Na ścianach ochlapanych farbą w kolorze musztardy widniały dziesiątki albo i setki napisów - wrytych przez znudzonych i samotnych więźniów, którzy dawali w ten sposób upust złości albo wyrażali marzenie o przyzwoitym posiłku. Z kubła na nieczystości w rogu celi wydzielał się ostry odór. Ściana i podłoga pod

pozbawionym szyby oknem były mokre od wczorajszego deszczu. Omar westchnął. Obłok pary uniół się w mroźnym powietrzu.

- George, po co poszedłeś na dach? Saba uśmiechnął się.

- Przecież to ty mi kazałeś. Omar spojrzał na niego zdumiony.

- Abu Ramizie, tak było. Kiedy uczyłeś nas o buntach w 1936 roku, mówiłeś, że tak zwani arabscy bohaterowie byli w istocie zwykłymi bandytami. Rabowali wsie, ogałacali je z żywności, zabijali każdego, kto im się sprzeciwiał. Nikt nie śmiał wystąpić przeciwko nim, ponieważ stwarzano wokół nich aurę bojowników walczących z syjonistami. Tymczasem z ich rąk zginęło znacznie więcej Palestyńczyków niż Żydów i żołnierzy brytyjskich. Mówiłeś nam, że gdyby ludzie wystąpili przeciwko nim zaraz na początku, bandyci musieliby się wycofać i mógłby zapanować pokój.

- Ja przecież nie miałem na myśli...

- To prawda, ale jesteś nauczycielem, który ma wielki wpływ na uczniów. Powinieneś uważać, co mówisz. Sam możesz nie wiedzieć, do czego nakłaniasz słuchaczy - zaśmiał się George, kładąc rękę na ramieniu Omara. - Ale naprawdę nie martw się, nie ponosisz żadnej winy za to, co się stało. Myślałem o tym od dawna, za każdym razem, gdy przychodzili do mojego domu lub sąsiadów i zaczynali strzelać. W końcu zrozumiałem, że muszę działać. Widziałem takich drani w Ameryce Południowej i wiem, że to tchórze, gdy tupnąć na nich nogą. Pamiętaj, że mieszkałem w Chile, kiedy obalono tamtejszą dyktaturę wojskową. Ale tu, niestety, nie ma nikogo, kto poprowadziłby za sobą naród, nie ma też praw. Prawa stanowią bandyci. Zastrzelą kilku żołnierzy izraelskich i już się stają bojownikami walki narodowowyzwoleńczej, a w konsekwencji stawiają się ponad prawem i robią, co im się żywnie podoba. Terroryzują wszystkich dookoła, zwłaszcza chrześcijan, którzy są tu słabi. Wszedłem na dach, i to był mój błąd. Dopiero teraz jasno zdaję sobie z tego sprawę, ale niczego nie żałuję.

- Wiele się tu zmieniło od czasu twojego wyjazdu do Chile, George.

- Przeżyłem wiele zmian. Nauczyłem się, że to dobra rzecz. Ale tu, w Palestynie, zawsze wszystko zmienia się na gorsze. Muzułmańscy przybysze osiedlają się w chrześcijańskich wsiach i zamiast żyć w spokoju, jak sąsiedzi, dają chrześcijanom popalić. Jest coraz więcej nienawiści, a wszelkie próby zmiany tylko potęgują tę nienawiść. Miłość nie jest żadnym wyjściem, bo tylko idiota skazałby się na życie w poniewierce i upokorzeniu. Skutek jest taki, że wszyscy - chrześcijanie i muzułmanie, Palestyńczycy i Żydzi - uważają, że pokój nastąpi dopiero wtedy, gdy zniszczy się przeciwników do cna, wytępi do ostatniego człowieka. Teraz chcę zglądzić mnie.

- Nie, George, nie zabiją cię, nie mogą.

George podniósł głowę i spojrział na Omara prawie z politowaniem.

- Kiedy kogoś wtrącają do więzienia jako kolaboranta, to koniec. Ciąg dalszy to publiczna egzekucja, pokazówka jak te, które urządzili w Gazie.

- Nie pozwolę na to, George. Wiem, że to sprawka Husajna. Muszę po prostu tego dowieść.

- Napytasz sobie tylko biedy, Abu Ramizie.

- Już mam dowody i zdobędę dalsze. Wyciągnę cię z tego.

- Nie mam najmniejszej ochoty zostać męczennikiem, nie mówiąc już o tym, że kolaborantom nie przysługuje taki tytuł i zaszczyt. Wrota raju są dla mnie zamknięte, a jeśli raj w ogóle istnieje, to wolałbym, abyś ty, Abu Ramizie, tam się nie śpieszył. Błagam cię i ostrzegam, nie narażaj się na niebezpieczeństwo. Skończy się tak, że zamiast jednego trupa będą dwa - zaśmiał się George sarkastycznie. - A może powinienem jeszcze się zastanowić. Skoro mam umrzeć, to czy nie lepiej uznać się za męczennika? W końcu będę umierał za swoją wiarę, prawda?

- Jesteś chrześcijaninem, a wy, chrześcijanie, nie wierzycie w męczeństwo.

- Mylisz się, Abu Ramizie, wierzymy, tylko że inaczej niż muzułmanie. Oni uważają, że męczeńska śmierć otwiera drogę do wiecznych rozkoszy w towarzystwie siedemdziesięciu dwóch pięknych czarnookich hurys obdarzonych darem odnawiania dziewictwa. My nie wierzymy w te piękne hurysy, ale mamy swoich męczenników. Podróżowałem po Europie, widziałem katedry pełne malowideł przedstawiających męczenników za wiarę. Mój patron, święty Jerzy, był nie tylko pogromcą smoka, ale i męczennikiem. Podstawowa różnica między nami a muzułmanami polega na tym, że my akceptujemy męczeństwo, ale o nie nie zabiegamy. - George zamilkł, pogrążył się w myślach. - Chciałbym cię prosić, żebyś porozmawiał z moimi najbliższymi - zaczął po chwili. - Powiedz im, żeby wyjechali - mówił wolno i dobitnie. - Niech wyjadą jak najszybciej, nie bacząc na mnie. Tu będą wyrzutkami. Boję się, że ktoś wyrządzi im krzywdę. Powiedz im, żeby wyjechali do Chile. Sofia ma tam rodzinę. - Położył rękę na ramieniu Omara i odwrócił twarz, żeby ukryć łzy. - Dopilnuj, żeby ojciec też wyjechał. Tata bardzo cię szanuje, więc posłucha twojej rady.

- Nie sądzę. Abu George nie wyjedzie bez ciebie.

- Na litość boską, Abu Ramizie! Tutaj grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie masz pojęcia, do czego ci bandyci są zdolni.

Z korytarza dobiegł odgłos spieszych kroków. Chamis Zejdan otworzył kratę.

- Jeszcze nie skończyłem - zaprotestował Omar.

- Muszę pilnie opuścić komendę, więc wychodź, chyba że chcesz przesiedzieć tu w zimnie całą dobę. No, szybciej, bo nie ma czasu.

George ucałował Omara w oba policzki.

- Pamiętaj, przekaż mojej rodzinie to, co ci powiedziałem, wujku.

- Niech Bóg przedłuży ci życie - odparł Omar. Musnął palcami zarośnięty policzek George'a.

Chamis ponaglał go od drzwi. Omar przestał się opierać i gdy policjant zamykał kratę, jeszcze raz spojrzął na George. W przymalym płaszczu wyglądał żałośnie. Omar wyrzucał sobie, że nie przyniósł mu nic do jedzenia ani nawet książki.

- Pośpiesz się, Abu Ramizie. Muszę już wychodzić - znów ponaglił Chamis.

- Co ci tak pilno! - syknął Omar z irytacją. - Nie masz ani odrobiny taktu? - krzyknął, nie panując nad sobą po rozmowie z George'em. - Mógłbyś przynajmniej pozwolić mi na jeszcze chwilę rozmowy z tym chłopcem. Do cholery, jest przecież niewinny! - Uświadomił sobie, że George może usłyszeć, więc ściszył głos. - A wy, bękarty, chcecie zamordować najlepszego ucznia, jakiego kiedykolwiek miałem.

Zejdan chciał odpowiedzieć, ale w drzwiach wiodących do piwnicy stanął jakiś policjant.

- Abu Adelu, ekipa gotowa - zameldował służbiście. Zejdan odkrzyknął, że już idzie, policjant znikł za drzwiami.

- Widzisz, mówiłem ci, że mamy nagłe wezwanie - burknął Chamis.

- Niby co takiego? Izraelczycy weszli do Betlejem i musicie uciekać? - zakpił Omar.

Chamis nie zareagował. Spojrzął na Omara z powagą.

- Zabito Dimę Abdel Rahman.

Omarowi odjęło mowę. Patrzył z niedowierzającym zdumieniem na Chamisa.

- Nikt z nas nie przetrwa, tylko jeden Allah - rzekł Zejdan. - Ruszamy.

Otwarte nadwozie dżipa nie chroniło przed zimnym wiatrem. Policjanci na tylnym siedzeniu kulili się, dopinając ciepłe kurtki. Jeden z nich jął głośno szczękać zębami ku uciezce pozostałych. Chamis Zejdan odwrócił się do niego ze swojego miejsca obok kierowcy i z dezaprobatą cmoknął. Omar Jussef dygotał z zimna w samej marynarce. Niemal żałował, że oddał płaszcz George'owi, ale skarcił się w myślach - wytrzyma, cóż znaczy chwila na mrozie wobec cierpień przyjaciela w nagiej celi.

Przejazd do Irtas zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Nim dżip wspiął się na wzgórze i zjechał pod dom Rahmanów, Omar w myślach pokonał trasę dziesięciokrotnie dłuższą. Zastanawiał się, kto zabił Dimę Abdel Rahman. Czuł, że między jej śmiercią a

zabójstwem Louaia istnieje związek. Wpadł na pomysł, że morderstwo dokonane na Louaiu może w ogóle nie mieć nic wspólnego z jego działalnością w podziemiu. Jeśli za zabójstwem Louaia stoją Izraelczycy, myślał, to jego żonę zostawiliby w spokoju. Jeśli jednak śmierć Louaia była wynikiem zbrodniczego spisku, wtedy związek między zamachem na Louaia i zabójstwem Dimy wydaje się oczywisty.

Zataił dłonie, chuchnął, żeby choć trochę się rozgrzać. Dżipem rzuciło na zakręcie i musiał się chwycić burty, aby nie wypaść. Wstrząs skierował jego myśli w jeszcze inną stronę. Zjeżdżali ze wzgórza do Irtas, widać już było dom Rahmanów i polankę za domem, gdzie rozmawiał z Dimą. Ktoś mógł ich widzieć. Ktoś mógł zwrócić uwagę, że Dima gestem ręki wskazuje miejsce, gdzie zginął Louai, i ktoś wreszcie mógł podsłuchać, jak Dima opowiada o okolicznościach śmierci męża. Może właśnie dlatego, że rozmawiała z Omarem Jussefem, musiała zginąć.

Poczuł ukłucie w sercu i zrobiło mu się słabo. Siedział między dwoma policjantami na tylnym siedzeniu dżipa i nawet nie mógł się ruszyć. Czy to on ponosi winę za śmierć Dimy? Głupi pomysł prowadzenia własnego śledztwa, żeby wyjaśnić zagadkę śmierci Louaia i ocalić George'a, spowodował tylko śmierć niewinnej dziewczyny. Przymknął oczy. Pamięć podsunęła mu obraz z dawnych lat: prowadzi lekcję, chwila odprężenia, rzuca jakiś żart, Dima się śmieje. Była taka ładna, a gdy na jej poważnej zazwyczaj twarzy pojawił się uśmiech, wydawała się jeszcze ładniejsza. Tak jak jego wnuczka Nadia. Oddałby wszystko, aby cofnąć czas, znów znaleźć się w klasie i słuchać, jak Dima odczytuje głośno swoje wypracowanie o Sulejmanie Wspaniałym. Tymczasem trząsał się z zimna w policyjnym dżipie, jadąc na miejsce, gdzie Dima poniosła śmierć. A w uszach słyszał jej głos, niski i łagodny zarazem. Taki głos miała nawet jako mała dziewczynka. I takim głosem opowiadała mu o śmierci męża. Zastanawiał się, jak mogły brzmieć ostatnie słowa wypowiedziane tym szlachetnym głosem.

Dotarli już prawie na miejsce. Chamis Zejdan wydał rozkazy swoim ludziom. Poleciał otoczyć dom i nie dopuszczać postronnych osób. Na ułamek sekundy jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Omara. Nauczyciel drgnął. Oczy policjanta pałały tak jakoś ponuro.

Omar znów zaczął się zastanawiać. Nie można wykluczyć, że nikt z uczestników żałobnej uroczystości nie zwrócił uwagi na jego rozmowę z Dimą, a jeśli nawet ktoś ich zobaczył, to cóż podejrzanego dostrzegłby w rozmowie starego nauczyciela z byłą uczennicą? A kto w ogóle mógł wiedzieć, o czym rozmawiali? Kto mógł wiedzieć, że w rozmowie padło imię Abu Walida? Omar nie pamiętał nawet, czy o swojej wizycie u Rahmanów opowiedział

Mariam i Ramizowi, ale doskonale pamiętał, że rozmowę z Dimą powtórzył Chamisowi Zejdanowi.

Chamis znów się odwrócił i spojrzał na Omara. Ten udał, że nie widzi. Czy to możliwe, żeby stary przyjaciel go zdradził? Żeby ostrzegł w sekrecie Abu Walida, że Dima może go wydać? Jeśli tak, oznaczałoby to, że Chamis wiedział, kim jest Abu Walid. Ale dlaczego miałby go ostrzegać? No cóż, nie po raz pierwszy Chamis Zejdan brałby udział w podwójnej grze. Przecież jeździł za palestyńskimi przywódcami po całym świecie arabskim i po Europie, mordując rywali i zabijając niewinnych ludzi, którzy mieli to nieszczęście, że weszli mu w drogę. Mówił przecież: „przez wiele lat byłem jednym z tych, których świat nazywa terrorystami”. Ale to, czego dopuścił się teraz, było jeszcze gorsze. Zdradził starego przyjaciela.

Dżip zatrzymał się przed domem Rahmanów. Policjanci zaczęli wysiadać z hałasem, wszyscy przytupywali, rozprostowując nogi zdrętwiałe od długiej jazdy. Chamis Zejdan zaczął przydzielać zadania, wskazując, kto jaki posterunek ma objąć w domu i wokół niego. Na koniec zajął się Omarem. Wyciągnął w jego stronę sztuczną rękę przybraną w czarną rękawiczkę, aby pomóc mu przy wysiadaniu.

- Sam sobie poradzę - burknął Omar.

Chamis odwrócił się i ruszył w stronę Rahmanów zgromadzonych przy zagonie z kapustą przed domem. Omar wyskoczył niezgrabnie z dżipa i trafił nieszczęśliwie na kamień ukryty w trawie. Skrzywił się, czując ból w kostce, i pokuśtykał za Chamisem. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że tu, dowodząc akcją, Zejdan porusza się znacznie energiczniej niż na komendzie i w ogóle stwarza wrażenie silnego człowieka. A może tylko mi się tak wydaje, bo uważam, że miał jakiś udział w śmierci niewinnej kobiety, pomyślał. Kto wie, może zginęła akurat wtedy, gdy byłem u niego w komendzie.

Jeden z policjantów udał się na polankę, gdzie zginął Louai. Stał służbiście nad czymś, co leżało na ziemi przykryte białym prześcieradłem. Omar znieruchomiał. To ciało Dimy. Ścisnęło go w gardle i poczuł, że się dusi. Odkaszlnął, aby złapać oddech. Podniósł wzrok ku szaremu niebu, ale zakręciło mu się w głowie. Odczekał chwilę, aż przestało mu wszystko wirować, odetchnął głęboko i dopiero wtedy mógł podążyć za Chamisem.

Komendant już zaczął przesłuchiwanie Muhammada Abdel Rahmana. Starzec opowiadał, jak znalazł ciało synowej. Gdy nadszedł Omar, zamilkł i spojrzał nieufnie, ale Zejdan kazał mu mówić dalej.

- A więc obudziłem się o świcie w porze porannej modlitwy. Zszedłem i zobaczyłem, że Junis, mój syn, też już wstał. I właśnie Junis powiedział mi, że zobaczył coś za oknem.

Wyszliśmy razem na dwór i tam ją znaleźliśmy - wskazał gestem. - Nie ruszaliśmy jej, przykryliśmy tylko prześcieradłem. Leżała jakoś tak dziwnie. Myślę, że zabił ją jakiś zboczeniec.

- Widzieliście kogoś obcego? - spytał Zejdan.

- Nikogo nie widzieliśmy. To się musiało stać w nocy. Wieczorem wszyscy poszliśmy spać i zgasiliśmy światła.

- O której to było?

- Krótko przed północą. Teraz, w czasie ramadanu, kładziemy się później niż zwykle. Poza tym stale ktoś nas odwiedza. Przychodzą krewni i znajomi z kondolencjami po śmierci Louaia, mojego syna.

- Wczoraj też? Czy ktoś poza domownikami został na noc?

- Nie. Wszyscy rozeszli się jakieś pół godziny przed północą. Dima poszła do siebie o tej samej porze co wszyscy.

Muhammad Abdel Rahman odpowiadał na pytania Zejdana w sposób tak opanowany, bez cienia emocji, że Omarowi wydało się to dziwne.

- Czy Abu Walid odwiedził was wczoraj? - wtrącił. Stary Rahman łypnął na niego z wyraźną złością.

- Nie jesteś detektywem, a ja nie jestem uczniakiem. Nie muszę odpowiadać na twoje pytania. To nie szkoła. Możesz przepytawać bachory w swojej szkółce, ale nie mnie. Odpieprz się!

Chamis Zejdan uniósł zdrową rękę ostrzegawczo, postukał palcem w pierś Rahmana.

- Pohamuj się, Abu Louai. *Ustaz* Omar Jussef przyjechał tu ze mną i jest moim przyjacielem. Radzę, żebyś był dla niego uprzejmy. Ale to prawda, że śledztwo prowadzę ja, a nie on, i ja zadaję tu pytania. - Chamis spojrział na Omara karcącym wzrokiem.

- To powtórz moje pytanie - nie rezygnował Omar. - Spytaj go o to, o co pytałem.

Chamis wziął Omara na stronę.

- Uspokój się, już na nie odpowiedział - szepnął stanowczo. - Pójdziemy teraz zobaczyć ciało - dodał głośno, zwracając się do Rahmanów. - Wy możecie tu zostać. Nie ma potrzeby, żebyście jeszcze raz przez to przechodzili.

Na polance pod piniami Chamis spojrział pytająco na Omara, ten kiwnął głową. Policjant uniósł prześcieradło.

Dima leżała na boku. Kruczoczarne włosy były rozpuszczone i rozrzucone wokół głowy, jakby ciało unosiło się na stojącej wodzie. Zejdan odgarnął kosmyki zakrywające twarz. Omar rozpoznał Dimę Abdel Rahman. Była blada, wargi miała sine, powieki lekko

uniesione, jakby właśnie budziła się z długiego snu. Skręcone w dziwny sposób ciało przypomniało Omarowi rzeźbę Rodina, którą oglądał w salonie George'a Saby, lękając się, aby nie wypadła mu z dłoni. Ogarnęło go dziwne pragnienie, żeby wziąć ciało Dimy w ramiona jak brązową statuetkę i przekonać się, że wcale nie umarła, tylko pozuje do rzeźby. Wyzwał siebie w duchu od najgorszych za taką myśl. Była jego uczennicą, a jej ojciec był jego przyjacielem. Zachęcił ją, aby weszła do tej rodziny, bo wierzył, że znajdzie tu miłość. Znalazła śmierć. Z jego rąk wymknęło się coś znacznie delikatniejszego niż rzeźba z brązu. W bezsilnej złości uderzył zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń.

- Podcięto jej gardło - stwierdził Chamis Zejdan. - Ma coś w ustach - zauważył. Pochylił się i wyciągnął skrawek materiału. - To knebel - orzekł.

Dopiero wtedy Omar zauważył krwawą ranę na szyi i plamę tężejącej krwi na ramionach Dimy. Znów poczuł duszności i nagle zrobiło mu się gorąco. Zdjął czapkę, wystawiając łysinę na powiew zimnego wiatru. Dygotał.

Chamis Zejdan ściągnął prześcieradło, odsłaniając zwłoki. Nocna koszula rozdarła od dołu aż po ramię. Na pośladkach ślady zadrapań. - Zgwałcono ją? - spytał Omar.

- Na to wygląda - odparł Chamis, przykrywając na powrót ciało - ale upewnimy się po sekcji.

- To oni - szepnął Omar. - To ich robota.

- Masz na myśli ojca i brata? Pewnie tak. Też myślę, że maczali w tym palce.

Omar pomyślał o Brygadach Męczenników. Zmarszczył brwi.

- Niemożliwe, żeby ktoś obcy wszedł do domu i wywłókł ofiarę na dwór, a domownicy niczego nie słyszeli - kontynuował Zejdan. - Musieli to zrobić ojciec i syn. Mamy więc do czynienia z tak zwanym honorowym zabójstwem albo - co też możliwe - Dima coś o nich wiedziała, czego się obawiali, więc postanowili uciszyć ją na zawsze.

- Ale stary Rahman w istocie potwierdził, że Abu Walid tu był. Wściekł się, gdy o to zapytałem. Więc może to on, Abu Walid, znów dokonał zabójstwa.

- Tylko że nie wiemy, kim on jest - odparł Zejdan chłodno.

- Myślę, że jednak wiemy.

- Nie, a przynajmniej nie wiemy tego na pewno. - W oczach Chamisa zabłyśły iskierki ostrzegawcze. - Pod tym imieniem mogą się kryć dziesiątki ludzi.

- Ale tylko jeden Abu Walid mógł zostawić łuskę, którą ci pokazywałem.

- Łuska pochodzi z ciężkiej broni, a czegoś takiego nie używa się do skrytobójczego zamachu.

- Sam powiedziałaś, że Abu Walid nie rozstaje się ze swoim karabinem, że łązi z nim nawet do kibla, bo to jego symbol, znak firmowy. Skoro tak, to mógł go przynieść i tutaj.

- Zgadzasz się, że Abu Walid, o którym mówisz, to morderca. Tylko że dotąd nie zabił nikogo bez wyraźnego powodu.

- No to musimy ustalić powód, dla którego zamordował Dimę.

- I powód, dla którego stary Muhammad i Junis postanowili go kryć - dokończył Zejdan zgryźliwie. - Nie powinienem był cię tu zabierać. Sądziłem, że gdy na własne oczy zobaczysz trupa, będziesz miał dość, że to cię wyleczy z obsesji i dotrze do ciebie, że nie jesteś ani detektywem, ani policjantem. Jesteś belfrem i bądź dalej belfrem.

- Masz rację, jestem belfrem. Uczyłem tę dziewczynę, która tu leży martwa, i George'a Sabę, który też wkrótce zginie, jeśli ja mu nie pomogę, bo nikt inny nawet palcem nie kiwnie. I powiem ci także, czego ich uczyłem. Uczyłem, że świat jest dobry, oni zaś powinni wkładać całe serce i rozum, aby go ulepszać. Jeśli więc teraz miałbym stać z założonymi rękami, oznaczałoby to, że kłamałem, że przez całe lata oszukiwałem moich uczniów, a nade wszystko siebie.

- Używasz wielkich słów. Zresztą to nie o ciebie tu chodzi.

- Coś ci powiem, Chamisie. Bywają momenty, kiedy nie czuję się najlepiej. Mam co prawda dopiero pięćdziesiąt parę lat, ale poruszam się z trudem, ręce mi się trzęsą i wszystko mnie boli. Czuję, że śmierć jest niedaleko.

- Nie jesteś stary. To tylko reakcja na widok zwłok.

- Nie tylko.

- Skąd ta obsesja śmierci?

- Czekam na swojego zabójcę.

- Oszalałeś. - Chamis ze zgrozą uniósł ręce i przez chwilę patrzył na Omara wzrokiem pełnym niewiary i zdumienia. - Dość tego - rzekł wreszcie. - Zabieram się do roboty. Muszę przesłuchać mnóstwo ludzi. A tymczasem każę któremuś z moich chłopców, żeby cię podrzucił do Dehajszy.

Fala gorąca odpłynęła i Omar znów poczuł chłód. Szok wywołany widokiem zwłok Dimy ustąpił miejsca determinacji. Skoro już udało mu się przycisnąć Zejdana, to nie pozwoli się zbyć. Nasunął beret na głowę i ruszył za komendantem.

- Tak naprawdę wcale nie prowadzisz śledztwa. Wiesz coś, czego nie chcesz mi powiedzieć. Niby będziesz przesłuchiwał świadków, ale to tylko gra. Bo dobrze wiesz, co oni ukrywają. No więc, co to jest?

Chamis się odwrócił.

- Słyszałem, że przeszedłeś na emeryturę. Moim zdaniem powinieneś to jednak przemyśleć. Wróc do pracy. Masz za dużo wolnego czasu i wariujesz. Pozujesz na starca. Nie powinienem był pozwolić ci na widzenie z Sabą. Poszedłem na rękę staremu przyjacielowi, a teraz żałuję. Wracaj do szkoły, a te sprawy tutaj zostaw zawodowcom. Omar chwycił Chamisa za ramię.

- Powiedziałeś im, przyznaj się. Powiedziałeś wszystko Husajnowi Tamariemu, mam rację?

- O czym ty mówisz?

- Tylko tobie wyjawilem, czego dowiedziałem się od Dimy. Tylko ty wiedziałeś, że mówiła mi o Abu Walidzie. Dałeś więc znać Tamariemu, a on przyszedł i ją zabił. Jesteś po ich stronie.

- Dość już tego, Abu Ramizie!

- Dla mnie to żadna niespodzianka. Wiem przecież, co robiłeś po skończeniu uniwersytetu. Byłeś terrorystą. Sam mi to mówiłeś.

Zejdan strząsnął dłoń Omara ze swojego ramienia.

- Wierz mi, że chciałem z tym skończyć - syknął przez zaciśnięte zęby. - Ale chyba to niemożliwe. Życie to też terroryzm, więc oszczędź mi tych wymysłów. Życie to ciągle zasadzki i ciągle ryzyko. Jedni podkładają bomby w autobusach, wysadzają je w powietrze. Tych nazywamy terrorystami. Inni zamiast bomb używają słów, ale z takim samym skutkiem. I jak tych nazwiesz? Życie to cela śmierci. Gdyby twój przyjaciel Saba potrafił myśleć, to uświadomiłby sobie, że w gruncie rzeczy całe życie spędził w celi śmierci. Jest tylko jeden sposób obrony, Abu Ramizie. Musisz po prostu zdać sobie sprawę, że żyjesz z wyrokiem śmierci i co najwyżej możesz starać się o jego tymczasowe odroczenie.

- Nie wierzę, że tak naprawdę myślisz - rzekł Omar cicho, zaszokowany tym wyznaniem.

- Więc lepiej uwierz. Chyba nie sądziłeś, że w swoich działaniach opieram się wyłącznie na wzniosłych zasadach moralnych. Znasz mnie przecież.

- Takim cię nie znałem.

- Czasy się zmieniają i ludzie też. Dokonałem odkrycia, że walka naszego narodu to ruletka. Ja po czterdziestu latach hazardu zostałem tylko z jednym sztonem - machnął energicznie ręką uzbrojoną w protezę, gdzie leżało ciało Dimy, w stronę policjantów i starego Rahmana z synem, którzy stali przed domem, patrząc ponuro. - Widzisz, tylko to mi zostało, bo resztę przepieprzyłem. - Chamis odsunął beret z czoła, podrapał się po głowie. Złość minęła i jakby posmutniał.

Omar nagle zobaczył przed sobą samotnego, steranego życiem i obolałego człowieka.

- Mało wiesz o Abdel Rahmanie, Omarze. A teraz wybacz. - Chamis obrócił się na pięcie i zdumiewająco energicznym krokiem ruszył do Rahmanów. Wziął Muhammada pod łokieć, poprowadził do domu. Kobietom też kazał wejść do domu i czekać na przesłuchanie.

Tylko Junis Rahman został na zewnątrz. Omar pokuśtykał do niego. Kostka, którą skręcił, wysiadając z dżipa, sprawiała mu ból.

- Niech Allah błogosławi Dimę - rzekł. Junis milczał, kiwnął tylko głową.

Jakież to przystojny mężczyzna, przemknęło Omarowi przez myśl. A właściwie chłopiec. Junis miał ładne, niemal kobiece rysy, jasnobrązowe oczy, szczupłą szyję nastolatka. W jego postawie było jednak coś aroganckiego, coś, co Omar stale dostrzegał u młodych ludzi: jakby pretensję, a nawet pogardę wobec starszych, że nie dość usilnie walczyli o wolność Palestyny, a jednocześnie przekonanie, że obowiązkiem młodych jest poświęcić wszystko dla wyzwolenia ojczyzny. I właśnie dlatego Omar Jussef wręcz nie znosił tych młodych ludzi. Junis Abdel Rahman spoglądał na niego z takim samym wyrazem wyższości i pogardy, jaki Omar wiele już razy czytał w oczach jego rówieśników na dziedzińcu szkoły i ulicach Dehajszy. Ale we wzroku Junisa kryło się coś więcej - wrogość, a zarazem cień niepokoju, wstydu i winy. Otóż to, pomyślał Omar, wytrzymując spojrzenie chłopaka, wstydzi się za siebie i stara się to ukryć.

- Niech ten żal położy kres wszystkim twoim smutkom. - Omar wygłosił tradycyjną formułę kondolencji. - Któż mógł przypuszczać, że przyjdzie mi tu wrócić tak rychło po śmierci twojego brata.

Junis spojrzał na osłonięte prześcieradłem zwłoki i przeniósł wzrok na skraj zagonu kapusty, jakby przywoływał w pamięci widok brata w dżinsowym ubraniu, leżącego bez życia pośród zielonych liści.

Omar uznał, że pora sprawdzić, co Junis może wiedzieć.

- Gdzie będziesz teraz pracował? - spytał nagle. Odpowiedział mu zdumiony wzrok młodego człowieka.

- Teraz, kiedy Brygady Męczenników przejęły wasze warsztaty - wyjaśnił. - A więc, gdzie będziesz pracował?

- Nie twoja sprawa.

- Racja, nie moja, ale jako stary nauczyciel martwię się o was, młodych, i dlatego pytam.

- Powiedziałem tylko, że warsztaty to nie twoja sprawa.

- Wasza też już nie.

- Damy sobie radę.

- A właściwie to dlaczego ci ludzie zabrali waszą firmę? Junis nie odpowiedział.

- Sądziłem, że Louai był z nimi zaprzyjaźniony. Należał przecież do tej samej frakcji co przywódca Brygad, a skoro tak, to powinni się o was zatroszczyć, a nie okradać. I dlaczego zabili Dimę?

- Skąd wiesz?

- Tak ustaliła policja - odparł Omar, udając zdumienie, że Junis pyta go o coś, co jest oczywiste.

- Policja dopiero co przyjechała. Nic jeszcze nie mogli ustalić.

- Przecież wiadomo, jak działa policja. Mają informacje od swoich wywiadowców i na nich się opierają, a nie na tym, co znajdą na miejscu przestępstwa. Dowody zawsze można sfałszować, a ślady zatrzeć, więc dla policji większe znaczenie mają doniesienia konfidentów - wyjaśnił Omar, patrząc uważnie na chłopca.

Lewa powieka Junisa drżała nerwowo, więc Omar uznał, że warto przycisnąć chłopca mocniej.

- Zabili Dimę, bo bali się, że zna tajemnicę śmierci Louaia i wie, iż nie zabili go Izraelczycy. A ten chrześcijanin, jak sam dobrze wiesz, nie ma z tym nic wspólnego. - Omar mówił głośno, w sposób bardzo przekonujący.

- Niby skąd mam wiedzieć?

- To proste. Louaia zlikwidowały Brygady Męczenników, obarczając winą Izraelczyków. W istocie chodziło o przejęcie waszych warsztatów. Zrobili to, a wy nie mogliście temu zapobiec. Później okazało się jednak, że Dima wie o czymś, co jest dla nich niewygodne. Może coś słyszała, coś widziała, kiedy Louai wracał nocą do domu? Dlatego ją zabili. Upozorowali wszystko w ten sposób, aby wyglądało to na zbrodnię na tle seksualnym, że niby Dimę zamordował jakiś zboczeniec.

- Brygady Męczenników to bojownicy o wolność naszego narodu.

- Jak twój brat?

- Właśnie tak jak mój brat.

- A dobrze go znałeś? Wiesz o nim wszystko? Wiesz, co robił, jak działał? - Omar spojrzał na ciało przykryte prześcieradłem i zmienił temat. - W dzisiejszych czasach policja dysponuje różnymi technikami, jak choćby testy DNA. Widziałeś, że Dima ma podrapane plecy. Policja pobierze próbki spod paznokci od wszystkich podejrzanych i sprawdzi, czy ślady skóry, jakie tam mogą się znaleźć, nie pochodzą od ofiary. - Spojrzał wymownie na ręce

Junisa. Chłopiec zacisnął pięści, chowając paznokcie. - Ciebie też prawdopodobnie zbadają - dokończył Omar.

- Ja miałbym zabić bratową? Chyba oszalałeś.

- Jest coś takiego jak zabójstwo w obronie honoru.

- W jaki sposób Dima miałaby obrazić honor rodziny?

- Właśnie, w jaki? Chętnie się dowiem.

- Nie muszę z tobą rozmawiać. Nie jesteś policjantem, tylko nauczycielem. - Junis ruszył przed siebie szybkim krokiem, ale po chwili przystanął, odwrócił się do Omara. - A w ogóle powinieneś być lepiej ją kształcić. Gdyby nauczyła się tego, co trzeba, nie skończyłaby w ten sposób. Wyszła, żeby spotkać się z gachem. Zrobił swoje, a potem ją zabił.

- To karkołomna teoria i chyba sam w nią nie wierzysz.

- Żyłaby, gdybyś ją lepiej uczył. To ty ją zabiłeś, psi synu, i tobie powinni zajrzeć pod paznokcie - wyrzucił z siebie Junis i kryjąc ręce w kieszeniach, pobiegł za dom. Po chwili rozległ się głośny warkot silnika samochodowego. Junis wciskał gaz do dechy, jakby huk silnika miał zastąpić krzyk, który uwiązał mu w gardle.

Omar pokuśtykał do ciała okrytego białym prześcieradłem. Spojrzał pytająco na policjanta, który pilnował miejsca zbrodni. Ten skinął głową przyzwalająco. Omar ukląkł, uniósł rąbek prześcieradła i popatrzył na twarz Dimy. Policzki miała nienaturalnie nabrzmiałe - knebel nadal tkwił w jej ustach, martwe oczy obrócone były ku ziemi.

Omar spojrzał na swoje ręce. A co kryje się pod jego paznokciami? Kogo drapał przez te wszystkie lata w szkole? Uczył dzieci buntu, przekonywał, żeby nie godziły się z rzeczywistością? Wpajał im zasady, które nie wytrzymały konfrontacji z otaczającym światem, gdzie dominował cynizm i brak złudzeń. Junis ma rację, myślał, powinni zajrzeć i pod moje paznokcie. Znajdą ślady skóry Dimy Rahman, George'a Saby i wielu, wielu innych.

Dotknął powiek Dimy i delikatnie zamknął jej oczy.

ROZDZIAŁ 12

Omar Jussef czekał wśród pinii, aż Chamis Zejdan zakończy przesłuchiwanie domowników. Tymczasem przyjechał policyjny fotograf, aby zdokumentować miejsce przestępstwa i wykonać niezbędne zdjęcia ofiary. Odrzucił prześcieradło okrywające zwłoki i najpierw sfotografował kilka zbliżeń twarzy. Następnie cofnął się parę kroków i zrobił zdjęcie obrazujące położenie miejsca przestępstwa względem domu. Z policjantem wymienił kilka niewybrednych dowcipów na temat podrapanych pleców Dimy. Omar Jussef nie chciał na to patrzeć. Odwrócił się i oparł czoło o pień drzewa.

Całe życie uczył historii - przedstawiał fakty i wydarzenia, omawiał ich znaczenie. Zawsze jednak dokładał starań, aby wydarzenia, które działy się współcześnie, nie wpływały na jego poglądy. Nie doświadczył życia bojownika jak Chamis Zejdan, nie przepełniała go nienawiść i nie poddawał się fałszywej propagandzie jak wielu innych w jego otoczeniu. Nie był obojętny na krzywdy rodaków, ale starał się zachować obiektywizm i otwarty umysł, przynajmniej na tyle, na ile - jego zdaniem - powinien czynić to człowiek umiejący panować nad sobą.

Mieszkał w domu, który swego czasu wynajął jego ojciec, a na lekcjach starał się ukazywać uczniom, zwłaszcza tym inteligentniejszym, świat, do którego nie mają dostępu ani nienawiść, ani uprzedzenia. I oto teraz, dotykając czołem szorstkiej kory pinii, zastanawiał się, czy nie poświęca tego wszystkiego dla śledztwa, które rozpoczął. Być może właśnie dlatego pozostał człowiekiem honoru, dlatego mógł chodzić z podniesionym czołem i zachować dla siebie szacunek, że trzymał się z dala od skorumpowanego świata, w którym żyli i żyją jego rodacy. Teraz czuł, że wszystko wymyka się spod kontroli. Od spotkania z George'em Sabą w klubie greckim minęło zaledwie pięć dni, ale w ciągu owych pięciu dni śmierć, podejrzenia i strach wdarły się w jego życie jak nigdy dotąd. Czuł też, że ogarnia go przemożne pragnienie zemsty za śmierć Dimy. Nie obchodziło go, komu zada cierpienie albo nawet śmierć, ważne było tylko to, aby ów ktoś okazał choćby cień skruchy za to, że odebrał jej życie. Ta myśl napawała go największym lękiem - myśl, że stanie się taki jak wszyscy wokół - słaby i mściwy, a morderstwo uzna za akt sprawiedliwości.

Istniało tylko jedno wyjście. Trzeba dać sobie spokój ze śledztwem. Był przecież tylko belfrem. Śmierć Dimy należało pomścić, a George'owi Sabie udzielić pomocy, tylko że Omar Jussef nie był człowiekiem, który zdołałby tego dokonać. Przede wszystkim musi ocalić swoją duszę przed mrocznymi siłami, które już zaczynają nią władać. Przypomniał sobie wieczór, kiedy wyszli z klubu, a George pobiegł do swego domu u stóp wzgórza.

Kiedy Omar w drodze powrotnej przemierzał Bejt Dżalaj, widział w mrocznych zaułkach cienie i upiory przybierające kształty ludzi i zwierząt. I właśnie teraz upiory legły się w jego głowie i napierały z coraz większą siłą. Te właśnie cienie - przemknęło mu przez myśl - namawiały go tamtej nocy, żeby nie zostawiał George'a, żeby poszedł za nim. Kto wie, może gdyby uległ ich namowom, zdołałby zapobiec starciu na dachu. Ale postąpił inaczej. Wrócił do siebie, i to szybko. I teraz, choć się za to nienawidził, zamierzał postąpić dokładnie tak samo.

Chamis Zejdan wyszedł z domu Rahmanów i zmęczonym krokiem skierował się do wozu. Omar zbliżył się do niego. - Mógłbyś mnie podrzucić do szkoły? - poprosił.

Chamis ziewnął.

- Myślałem, że już nie pracujesz.

- Kto ci to powiedział? - spytał Omar podniesionym głosem.

- Więc to nieprawda?

- A kto ci to powiedział? - powtórzył pytanie Omar.

- Całe miasto o tym mówi. Znam kogoś, kto ma dzieci w twojej klasie i był w ich sprawie u dyrektora Steadmana czy jak mu tam. Od niego usłyszał, że odchodzisz na emeryturę.

- Czy ten ktoś poszedł do Steadmana, żeby się poskarżyć na mnie, że nie popieram intifady i krytykuję męczenników?

- A z jakiego innego powodu miałby się fatygować do szkoły?

Omar z trudem wspiął się do wozu. Syknął z bólu, gdy musiał się wesprzeć na skrzyconej kostce.

- Wracam do szkoły - oznajmił.

Chamis spojrzał na niego badawczo. Wzrok miał tak podejrzliwy, że Omar odwrócił oczy.

Ruszyli. Najpierw pod górę, potem w dół do Dehajszy. Ze swego miejsca z tyłu Omar obserwował Zejdana, który siedział nieruchomo, patrząc przed siebie. Rozmyśla o zabójstwie Dimy, zastanawiał się Omar, czy o swojej w nim roli? Czy naprawdę to on powtórzył Husajnowi Tamariemu to, co usłyszał od Dimy? Czy to możliwe, że byłem tak naiwny, że się na nim nie poznałem i przez lata uważałem go za przyjaciela?. I jeszcze inne myśli zaczęły kołatać w głowie Omara. Uświadomił sobie, że wśród ludzi, których ma za przyjaciół, jest być może więcej takich, co mają brudne sprawy na sumieniu. Nie mógł jednak uwierzyć, aby ktokolwiek z nich mógł być zamieszany w morderstwo. Co innego Zejdan. Ten może zbyt łatwo dopuszcza do siebie myśl, że Chamis mógł przyłożyć rękę do zbrodni.

Dojechali do szkoły. Omar wysiadł bez słowa. Wóz ruszył dalej zniszczoną, pełną dziur i kałuż drogą, nasycając wilgotne powietrze trującą wonią spalin. Omar wstrzymał oddech, czekając, aż wiatr rozwieje dym. Przystanął na chwilę pod oknem jednej z klas, nasłuchując, jak dzieci chórem recytują tabliczkę mnożenia. Uśmiechnął się, gdy chór załamał się przy dziewięć razy osiem. Stale tak samo. Nie wiedzieć dlaczego, dziewięć razy osiem zawsze sprawiało uczniom kłopoty. Przy wejściu do szkoły pozdrowił woźnego dyżurującego przy stoliku. Zdumiał się, widząc zdziwienie i lęk w jego oczach. Woźny wyprostował się i zeszytniał jak żołnierz na widok wyższego oficera albo kogoś jeszcze bardziej złowrogiego. Na przykład ducha, pomyślał.

Przechodząc obok swojej klasy, zerknął przez oszklone drzwi. Dziewczęta pisały coś w zeszytach, a za nauczycielskim biurkiem siedziała młoda kobieta w chustce na głowie i luźnej szacie w kolorze musztardy. Twarzy nie mógł dostrzec, bo pochylała się nad książką, ale gładkie i jasne dłonie świadczyły, że nie może mieć więcej niż dwadzieścia parę lat. Nigdy przedtem jej nie widział, a więc musiała to być nauczycielka sprowadzona z zewnątrz na zastępstwo. Kusiło go, żeby wejść i przywitać się, ale uczennice pracowały w skupieniu, więc postanowił ich nie rozpraszać.

Poszedł do końca korytarza.

- Miłego poranka, Abu Ramizie - przywitała go Wafa, sekretarka szkoły. Omar zauważył, że uśmiechnęła się figlarnie, zadowolona z jego przyjścia.

- Niech ci słońce jasno świeci, Umm Chalid - odpowiedział. Spojrzał wymownie na drzwi do gabinetu Steadmana. Wafa zrobiła gest, że może wejść, jeśli tylko ma ochotę.

Wszedł. W gabinecie dyrektora panował duszny upał. Mimo że wracając z Irtas przemarzył do szpiku kości, Omar poczuł się fatalnie w gęstym od kurzu powietrzu. Amerykanin podniósł wzrok znad papierów. Poczzerwieniał, ale się nie odezwał. Przechylił tylko głowę na lewo, patrząc z ukosa, jakby nie mógł przypomnieć sobie nazwiska tego człowieka z siwymi wąsami i w beżowym berecie, który właśnie wtargnął do jego świątyni.

- Zmieniłem zdanie - oznajmił Omar Jussef, wyraźnie wymawiając słowa, aby nie pozostawić cienia wątpliwości.

Christopher Steadman wyduł wargi i przechylił głowę jeszcze bardziej.

- Nie zamierzam przechodzić na emeryturę.

- Umówiliśmy się, że podejmiesz decyzję do końca miesiąca - odezwał się wreszcie Steadman.

- Już się zdecydowałem.

- Wolalbym jednak, żebyś zaczekał do końca miesiąca. Poza tym już zatrudniliśmy nauczycielkę na zastępstwo i zapłaciliśmy jej za cały miesiąc, więc i tak nie masz gdzie wrócić. - Steadman wyprostował głowę. - Przynajmniej do końca miesiąca.

A więc nie ma wyjścia, z powrotem do szkoły trzeba będzie poczekać kilka tygodni, pomyślał Omar. Postanowił grać na zwłokę.

- Chcę, abyś przestał rozpowiadać o mojej rezygnacji. To psuje mi opinię.

- Nikomu nic nie mówiłem.

- Czyżby?

- Nikomu.

- Może nie pamiętasz, przypomnij sobie. - Omar wbił wzrok w Steadmana. Nie znosił Amerykanina, ale uznał, że lepiej zmienić taktykę, przedstawić argumenty, które okażą się silniejsze niż wzajemna antypatia. - Powiem ci coś, Christopherze, o arabskiej mentalności. Otóż jeśli pozwolisz mi odejść ze szkoły na moich warunkach, to niewykluczone, że się na to zdecyduję. Jeśli jednak, nawet działając w dobrej wierze, sprawisz, że będzie to wyglądało tak, jakbym został zmuszony do odejścia, to będę musiał zostać, aby zadać temu kłam.

Steadman zamyślił się. Machinalnie zaczął przesuwać język w ustach, wypychając na zmianę wargi i policzki. Pojął chyba, że popełnił taktyczny błąd.

- To kwestia obyczaju - ciągnął Omar. - Zmuszenie do odejścia postawiłoby mnie w złym świetle. Ciebie zresztą też, choć pewnie cię to nie obchodzi. W każdym razie wyszedłbyś na człowieka bez kultury i ludzie przestaliby cię szanować. Jak wiesz, mam wielu przyjaciół, a mój klan należy do najbardziej wpływowych w Dehajszy.

- Czy mam rozumieć, że jednak zamierzasz odejść ze szkoły? - Powiedzmy, że skłaniam się ku temu. - Omar starannie dobierał angielskie słowa. Sprawiało mu satysfakcję, że potrafi przyprzeć Steadmana do muru w jego własnym języku. - Niczego jeszcze nie przesądzam i niczego nie obiecuję. Proszę cię jednak, abys wziął pod uwagę kulturowe - że tak to nazwę - implikacje mojej sytuacji. Wiem, że jesteś czuły na te sprawy i taką zresztą masz opinię. Ludzie cię szanują, ale o dobre imię trzeba dbać i chcę ci w tym pomóc.

Steadman zdjął okulary. Był wyraźnie speszony, ale jeszcze nie kapitulował. Omar uznał, że czas na koronny argument.

- Bo widzisz, gdyby uznano, że zostałem zmuszony do odejścia akurat podczas ramadanu, najświętszego miesiąca, wszyscy muzułmanie potraktowaliby to jako wielką obrazę.

Steadman zmarszczył brwi. Tu go mam, pomyślał Omar.

- Dobrze, Abu Ramizie, poczekamy do końca miesiąca, a do tego czasu będę wszystkich zapewniał, że zostajesz w naszej szkole.

- Myślę, że rozsądniej będzie poczekać nie do końca miesiąca, lecz do końca ramadanu.

- Ponad trzy tygodnie?

- Plus parę dni na Id al-Fitr.

- Święto po ramadanie?

- Właśnie, przypadające na początek nowego miesiąca księżycowego.

- Wiem, wiem. - Steadman wznosił oczy, widać było, że jest poirytowany. - Wtedy podejmiesz ostateczną decyzję?

- Muzułmaninowi nie wypada rozważać takich spraw w świętym miesiącu. Ramadan to miesiąc obcowania z Panem Wszechświata i nie należy zajmować się wtedy tak przyziemnymi sprawami jak zatrudnienie, praca czy emerytura.

Możesz to sobie sprawdzić w hadisach proroka, zatytułowanych: Mam cię gdzieś, Steadman, pomyślał.

Wafa mrugnęła porozumiewawczo, gdy Omar wyszedł z gabinetu Steadmana. Pomachał jej na pożegnanie. Był w szkole ledwie kilka minut, ale to wystarczyło, by zatęsknił do chóru dziecięcych głosów recytujących zadaną lekcję. Właśnie! Był zdecydowany porzucić śledztwo i wrócić do dawnego zajęcia.

Ale fakt, że już zatrudniono kogoś na zastępstwo, komplikował sytuację. W rezultacie miał trzy tygodnie na podjęcie ostatecznej decyzji.

Minął granitową mapę Palestyny i ruszył do domu. Trzy tygodnie! Nie zdoła wysiedzieć w domu, rozmyślając, czy wrócić do szkoły, czy przejść na emeryturę. Uznał, że zdecyduje, gdy przyjdzie odpowiedni moment. Do tego czasu musi się zastanowić nad inną sprawą. Chodzi o zamordowanie Dimy Abdel Rahman. Jeszcze niczego nie przesądzał, jeszcze nie był pewien, jak postąpi. Targały nim sprzeczne uczucia i sam nie wiedział, które jest silniejsze. Czy będzie próbował znaleźć zabójcę dziewczyny, czy uzna, że - biorąc pod uwagę sytuację w mieście - naraża się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

Na pustej ulicy wiało chłodem. Spomiędzy domów wychynał Najif ubrany tylko w podarty biały podkoszulek. Przyciskał ręce do piersi, próbując się ogrzać, i jak zwykle podskakiwał. Poznał Omara i się uśmiechnął.

- Ciągłe pada, wujku - oznajmił i dał susa prosto do kałuży.

Omar zaczął nasłuchiwać. To był warkot śmigłowca, dobiegający znad chmur. Czyżby nieszczęsny chłopiec potrafił rozróżniać tylko ten jeden, jedyny dźwięk? Pożegnał chłopca uśmiechem, postawił kołnierz marynarki i ruszył przed siebie, rozmyślając, czy tweedowy płaszcz pozwoli George'owi przetrwać w zimnej celi.

ROZDZIAŁ 13

Dochodząc do domu, czuł się zbrukany. Rozmyślał o Dimie, o jej powiekach, których dotknął. Były delikatne i kruche jak skrzydełka motyla. I martwe. Grudki błota przyłgnęły do jego butów i mankietów brązowych spodni. Kątem oka zauważył, że przechodnie oglądają się za nim. Rodzice uczniów, wściekli, że wychowuje ich pociechy na wolnomyślicieli, a tym samym społecznych wyrzutków? A może już wiedzą, kogo podejrzewa o śmierć Dimy Rahman i uwięzienie George'a Saby? Mając taką wiedzę, sam staje się tak niebezpieczny, że trzeba go wykluczyć ze społeczeństwa. Świadomość, że tak właśnie może się zdarzyć, była na

tyle przykra, iż otwierając drzwi domu, solennie postanowił nie zajmować się sprawą George'a Saby przynajmniej dziś, a może w ogóle.

- Dziadku, chyba przemarzłeś! - Nadia wybiegła na powitanie. Wzięła jego dłonie i zaczęła je rozcierać i chuchać, co wyglądało dość zabawnie.

Omar zerknął do lustra na ścianie. Wyglądał jak włóczęga. Włosy wystawały spod beretu, cerę miał siną, jakby przemarzł, choć pocił się jak mysz. Oczy zaczerwienione i podkrążone. Wyglądał jak chory. Z wysiłkiem uśmiechnął się do wnuczki i poprosił, żeby przyniosła mu herbatę. Przeszedł do salonu, usiadł na kanapie przy gazowym grzejniku. Ogarnęło go ciepło, jakby zanurzył się w wannie z gorącą wodą.

Mariam stanęła w drzwiach. Pewnie niesie herbatę, o którą poprosił Nadię - pomyślał, patrząc kątem oka. Ale Mariam trzymała w ręku coś, co kazało mu spojrzeć uważniej.

- Omar, czy ty oszalałeś? - Mariam podsunęła mu pod nos webleya, którego schował w szufladzie ze skarpetkami.

Wyciągnął rękę. Drżała jak zawsze, a nawet bardziej, po pierwsze dlatego że przemarzł, a po wtóre, przeraził go widok broni w delikatnej dłoni Mariam.

- Oddaj mi to.

- Mowy nie ma. Zaraz to wyrzucę. Ale po co przyniosłeś to do naszego domu? A gdyby przyszli Izraelczycy i znaleźli? Przecież by cię aresztowali. I Ramiza też. Wzięliby naszego syna!

- Mariam, uspokój się i nie przesadzaj.

- Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy z rzeczywistości - odparła ze złością. - Nie wiesz, co się dzieje w mieście. Żyjesz w innym świecie. Wstajesz, idziesz do szkoły, uczysz dzieci historii, wracasz, po drodze wstępujesz do tego czy innego znajomego na kawę, przychodzisz do domu, bierzesz książkę i czytasz do późnej nocy. A ja obracam się między ludźmi, wiele słyszę i widzę. Ramiz też opowiada mi o wydarzeniach, o których ty nawet nie chcesz słyszeć.

- A czemuż to Ramiz ukrywa coś przede mną?

- Bo nie chce cię niepokoić.

- Niepokoić? Czym?

- Prawdą, życiem, rzeczywistością - podniosła głos Mariam, machając webleyem. - To jest prawdziwy pistolet. Znalazłam go w twojej szufladzie. Może byś wreszcie powiedział, po co ci on.

Omar wskazał jej miejsce na sofie. Usiadła z obrażoną miną.

- Ten pistolet należał do George'a Saby. To znaczy, należy do niego.

Zamierzał opowiedzieć jej o swoim śledztwie. Ujrzał jednak błysk ulgi w jej oczach, kiedy padło nazwisko George'a. Jeśli miałby wyjawić całą prawdę, musiałby powiedzieć nie tylko o dochodzeniu, które postanowił podjąć, ale i o wątpliwościach, które nim targały, i o niebezpieczeństwie wiążącym się z rolą detektywa. Zdecydował się na półprawdę. - Dostałem ten pistolet od Habiba Saby, gdy byłem u niego wczoraj. Pistolet to antyk. George chciał go wystawić na sprzedaż. Habib dał mi go w prezencie. Schowałem go, żeby dzieci nie widziały, że mamy w domu broń. Zawsze to broń, nawet jeśli nie da się już z niej wystrzelić. Przepraszam, Mariam. Powiniennem być cię uprzedzić.

- Ja też cię przepraszam, że się rozżołościłam - powiedziała udobruchana. - Jesteś przemarznięty - zatroskała się. - A gdzie twój płaszcz?

Omar gestem zbył pytanie.

- Musisz się rozgrzać. Zrobię herbatę. - Wstała. Zatrzymała się przy drzwiach. - A to - machnęła webleyem - schowam z powrotem do szuflady.

Omar kiwnął tylko głową.

W tym momencie zaskrzypiały drzwi wejściowe. Mariam schowała broń za siebie. Wszedł Ramiz.

- Cześć, mamó.

- Dzień dobry, synku - głos jej zadrżał. Poszła na górę. Ramiz odprowadził ją wzrokiem pełnym czułości, a gdy po chwili odwrócił oczy i zobaczył ojca, spoważniał i sposepniał. Zdjął kurtkę, usiadł obok Omara.

- Muszę z tobą porozmawiać, tato.

Omar wyczuł ton niepokoju w głosie syna. Chyba wie coś o mnie, pomyślał. Usiłuję być detektywem, ale okazuje się, że to mnie wszyscy śledzą.

- Halloun mówił mi, że zamierzasz rozwinąć firmę. - Omar spróbował podjąć bezpieczny temat. - Cieszę się, że dobrze ci idzie.

Ramiz otworzył usta, jakby chciał odpowiedzieć, ale potrząsnął tylko głową.

- Rano byli u mnie ludzie z Brygad Męczenników - rzekł po chwili.

Omar aż wyprostował się z wrażenia.

- Widzę, że domyślasz się, o co chodzi. Dotarło do nich, że starasz się oczyścić George'a Sabę. Chcą cię więc ostrzec, żebyś się do tego nie mieszał, a skoro tak, to znaczy, że maczali palce w zabójstwie, o które oskarżają George'a. Ale jest druga strona medalu. Skoro takie typy jak oni żądają, żebyś dał spokój tej sprawie, to nie masz wyjścia, musisz posłuchać. - Ramiz położył dłoń na ramieniu ojca. - Tato, ci ludzie nie cofną się przed niczym.

Omar nie mógł wydobyć z siebie słowa. Serce mu biło jak szalone.

- Co mówili? - wykrztusił z trudem.

- Powiem ci najpierw, że przyszedł z nimi ich szef Husajn Tamari. Groził, że spalą sklep, że dobiorą się do domu i - nie powiedział tego wprost, ale dał do zrozumienia - że tobie też mogą coś zrobić.

- Zabiją mnie? Tak powiedział?

- Nie, ale że cię pobiją. Tato, to groźne. Zrobią ci krzywdę, możesz się długo leczyć i nie wiadomo, z jakim skutkiem.

- Bo jestem stary, to chcesz powiedzieć?

- Nie, ale sam wiesz, że nie jesteś w najlepszej formie. Martwię się o ciebie.

- Skoro się o mnie martwisz, to dlaczego najpierw wspomniałeś o sklepie, że mogą go spalić?

- Bo cię znam i wiem, jaki jesteś uparty. Gdybym powiedział tylko, że grozili tobie, to uznałbyś, że nie ma o czym mówić. Ale groźby pod adresem całej rodziny to co innego. Tego nie zlekceważysz.

- Inaczej mówiąc, jesteś po ich stronie.

- Jak to?!

- Owszem, jesteś. Chcesz mnie przekonać, żebym ustąpił, położył uszy po sobie. To ich metoda. Tak właśnie robią. Przychodzą i grożą. Przyszli do ciebie, napędzili ci strachu, a ty biegniesz do domu i błagasz, żebym dał sobie spokój ze śledztwem.

- Tato, nie wmawiaj mi, że jestem tchórzem. Nie jestem, ale jestem realistą.

- Realistą?

- Tak, staram się postępować odpowiedzialnie. To prawda, że należymy do dużego klanu i możemy się czuć bezpieczniej niż wielu innych. Dlatego Tamari nie przyszedł bezpośrednio do ciebie i nic ci dotąd nie zrobił. Zdaje sobie sprawę, że wywołałby wojnę z Sirhanami z Hamasu, Al-Fatahu i w ogóle ze wszystkimi. Ale opieka ze strony klanu ma swoje granice, a poza tym, jeśli dalej będziesz się bawił w detektywa, to Tamari może mimo wszystko przejść od gróźb do czynów.

Omar Jussef spojrział na swoje dłonie. Zwarł pięści z całej siły. Nie sprawiał wrażenia silnego człowieka, przeciwnie wydawał się słaby, nawet zbyt słaby jak na swój wiek. Ale wbrew temu czuł w sobie siłę, której nikt w nim nie podejrzewał, nawet syn, który znał go najlepiej. Wyprostował się.

- Widziałem dziś rano George'a Sabę - oznajmił.

- W więzieniu? Jak się tam dostałeś?

- Nieważne. George nie mieni się realistą, bo nie ma swobody wyboru.

- Ale my mamy. Mam problem, dlatego przyszedłem do ciebie. Możemy wszystko stracić i w ogóle grozi nam niebezpieczeństwo, a największe tobie, tato. - Głos Ramiza załamał się. - Nie wiem, jak mógłbym żyć bez ciebie, tato.

Omar położył rękę na ramieniu syna. Ramiz ukrył twarz w dłoniach. Ramiona mu drżały. Po chwili wytarł łzę i uśmiechnął się niepewnie. Był tęższy od ojca. Z rysów podobny do matki Omara. Miał wystające kości policzkowe i łagodne, leniwe spojrzenie, za którym jednak kryła się nieprzeciętna inteligencja. To, co mówił, znamionowało normalnego, przyzwoitego człowieka. Martwi się o dzieci, o pracę, o ojca, snuł rozważania. Ramiz myśli o przyszłości, chce rozwijać firmę i nie chce ryzykować życia po to, by ludzie go zapamiętali. Ja zaś chcę ujawnić, kto zabił Dimę Abdel Rahman, i chcę uratować George'a Sabę. Dima nie żyje, już jej nie ma, Saby też jakby nie było. A jak mnie ludzie będą wspominać? Jako tego, który wychował dzieci na wartościowych ludzi, czy jako tego, który sprowadził nieszczęście na swoją rodzinę.

Tak zawsze było i tak jest. Świata nie zmieni, choćby nawet mógł. Wystarczy spojrzeć na luksusowe auta, którymi rozjeżdżali się najgłupszy z jego dawnych uczniów, aby dojść do smutnego wniosku, że wiedza i honor nie mają żadnego znaczenia w dzisiejszym świecie. Ale miały znaczenie dla niego. Jeśli mam duszę, pomyślał, to jej wnętrzu wypełnia miłość do synów, żony i wnuków, otoczkę zaś stanowią zasady moralne, których nie ima się błoto Betlejem. Jeśli Ramiz nie rozumie tego teraz, to zrozumie później.

Wstał, zdjął z wieszaka w przedpokoju beżową kurtkę i włożył.

- Tato, gdzie się wybierasz?

- Zamierzam z kimś porozmawiać - rzucił Omar od drzwi i wyszedł. Skierował się w stronę suku. Był wściekły, a zarazem opanowany. Ci bandyci z Brygad Męczenników zaczęli mu grozić. Nie śmieli jednak stanąć z nim twarzą w twarz. Poszli do syna. Dlaczego wszyscy zawsze knują za jego plecami? Bandyci urabiają Ramiza, Steadman spiskuje z inspektorem oświaty. Trzeba temu położyć kres, ujawnić wszystko. Tylko kto to ma zrobić? Chyba tylko on sam - Omar Jussef - bo nikt mu nie pomoże.

Przepęlniał go gniew, ale jednocześnie spływał na niego spokój. Wynikało to z przekonania, że jest u siebie, że należy do tego miasta bardziej niż ci bandyci. Jego ojciec był znaną osobistością i najznamienitsze rody w Jerozolimie darzyły go szacunkiem, podczas gdy klan Husajna Tamariego koczował w plugawych namiotach na skraju pustyni. W świecie ojca Omara panowało prawo i porządek, a na pustyni rządziły obyczaje równie okrutne i ostre jak palące słońce. Dziś ludzie z klanu Tamariego osiedlili się we wsi Teqoa, na południe od

Betlejem. Ale niewiele się różnili od przodków koczujących na pustyni. Byli tak samo brutalni i okrutni jak oni.

- Pokój z tobą, *ustaz*.

- I z tobą - odpowiedział machinalnie Omar. Rozpoznał jednego z byłych uczniów. Pamiętał, że został architektem, ale nazwisko młodego człowieka, mającego około dwudziestu pięciu lat umknęło mu z pamięci.

- Jak zdrowie?

- Jeszcze dopisuje. A co u ciebie? Jak leci?

- Nie najlepiej. Złe czasy dla architektów. Mało się buduje, choć wiele budynków legło w gruzach. I straciłem pracownię w Jerozolimie. Przejścia zamknięte, a przepustki nie mam.

Zamienili jeszcze parę słów i się rozstali. Dopiero wtedy Omar przypomniał sobie, że młody człowiek nazywa się Chalid Szukri. Jego ojciec zginął przed dwoma laty w strzelaninie, która wybuchła przed jednym ze szpitali. Omar żałował, że nie przypomniał sobie nazwiska wcześniej. Zapytałby go o matkę, słyszał bowiem, że po śmierci ojca popadła w depresję.

Gdy rozmyślał o przypadkowym spotkaniu z dawnym wychowankiem, znów ogarnęła go złość na bandytów, którzy miasto zamienili w piekło. Chalid był bardzo zdolnym uczniem. Zdobył wykształcenie, skończył studia. Marzył o tym, aby coś zrobić dla rodzinnego miasta - w miejsce slumsów wznieść nowe, funkcjonalne domy, a osmańskie kamienice w centrum przebudować na hotele i restauracje. Strzelaniny, godziny policyjne, ograniczenia w poruszaniu się przekreśliły marzenia młodego człowieka, zrujnowały karierę, zabrały życie jego ojcu, a matkę przywiodły na skraj samobójstwa. Miastem rządzą bandyci i nie ma w nim miejsca dla przyzwoitych ludzi. Gdyby jednak przywrócić ład i honor, wtedy dla bandytów nie byłoby miejsca. Tymczasem wydaje się, że miasto należy do bandytów, a tacy jak Omar Jussef są tu wyrzutkami dopuszczającymi się zbrodni przemycania zasad uczciwości i moralności.

Dochodził już do placu Żłóbka. Na uliczkach suku zrobiło się tłoczno. Kobiety wyszły na codzienne zakupy, aby wieczorem przygotować iftar. Po zaciętej stronie ulicy rozłożyły się piersiaste wieśniaczki z plastikowymi koszami pełnymi kolendry i pomidorów. Ubrane były w czarne szaty ze szkarłatnym haftem, charakterystycznym dla okolic Betlejem. Twarze miały ogorzałe od słońca i kurzu, policzki obwisłe jak u buldoga. Należały do tego miasta, stanowiły część jego historii i tradycji, przydawały mu autentyzmu, który Omar tak bardzo lubił i cenił. Przychodziły tu zawsze, by zarobić parę szekli. Potem znanymi sobie

ścieżkami wracały do swoich wsi, omijając posterunki. Powodzeniem i dobrobytem w tym mieście mogą cieszyć się ci, którzy lekceważą tradycje, gardzą mozołem i ciężką pracą. Husajn Tamari i jego kompani traktują to miasto jak pustynię, z której się wywodzą. I jak na pustyni rządzą się prawem silniejszego. Oazy należą do tych, którzy je zdobędą, a inni nie mają tam wstępu.

Przeszedł już plac Żłóbka i mijał właśnie komendę policji, gdzie urzędował Chamis Zejdan, gdy obok przeszła kobieta z dzieckiem na ręku. Przypomniał sobie, że Mariam opowiadała mu ostatnio o Chalidzie Szukrin. Właśnie został ojcem. To dlatego był taki radosny. Omar zastanawiał się tylko, dlaczego były uczeń nie wspomniał o dziecku. Mariam mówiła, że urodziło się przed miesiącem. Może Chalid uznał, że to już nie nowina.

Doszedł do schodów przy Bazylice Narodzenia Pańskiego. Oparł się ręką o kamienny mur - strome schody zawsze przyprawiały go o zawrót głowy. Zaczął schodzić. Postanowił, że odwiedzi Chalida i zapyta o dziecko. Przypuszczał, że zastanie młodego tatusia upapranego tym, co się niemowlęciu ułalo, zbyt szczęśliwego z powodu narodzin potomka, aby martwić się, jak wyżywi rodzinę w zrujnowanym mieście, które nie potrzebuje architektów.

Przy krawężniku zobaczył rząd luksusowych samochodów. Należały do ludzi z Brygad Męczenników. Był więc na miejscu.

I znów pomyślał o Chalidzie. Pierwsze dziecko, pełna radość. Tatuś cieszy się, kiedy dziecku się uleje. A dziecko też uśmiecha się błogo, czując ulgę w brzuszku. Właśnie! Może właśnie tak powinniśmy reagować na otaczający nas świat, pomyślał. Bez fałszywych zahamowań, zgodnie z naturą, rzygać, kiedy mamy na to ochotę. Tymczasem hamujemy naturalne odruchy, bo tak nas nauczono. Wpojono nam przekonanie, że rzyganie jest obrzydliwe. Więc tłumimy je w sobie, miast wydalać, a wtedy toksyny przenikają do krwi, do mózgu i do serca. Stają się częścią naszego organizmu. Najwyższy czas oczyścić się, wydalić z siebie całą nienawiść, frustrację i wstręt. I znów pomyślał o maleństwie Chalida. Dziecko jak dziecko. Wymiotuje i wrzeszczy. Naturalne odruchy, prawdziwe, autentyczne i nietłumione. Właśnie, postanowił - czas, żebym i ja zaczął krzyczeć.

Wszedł do budynku, przed którym stał rząd samochodów. Z półpiętra łypnęło na niego dwóch uzbrojonych wartowników. Szyld na ścianie, z orłem i trójkolorową flagą, informował, że tu mieszczą się biura jednego z ministerstw. Omar wiedział jednak, że właśnie tu gromadzą się bojówkarze z Brygad.

- Do kogo? - spytał obcesowo starszy z dwóch wartowników. Wyglądał na trzydzieści kilka lat, w ręku trzymał kałasznikowa.

- Chcę się zobaczyć z Abu Walidem.

Młodszy przechylił się przez balustradę i spojrzał ponuro na Omara, który przypomniawszy sobie jego twarz. Był to ten sam młody człowiek, który poprzedniego dnia zabronił mu parkowania samochodu w pobliżu domu George'a Saby.

- Ach, detektyw! - zawołał młody człowiek. - Masz zamiar przesłuchać Abu Walida?

Pytanie zabrzmiało szyderczo. Omarowi przemknęło przez myśl, że młody człowiek mógł go tymczasem sprawdzić i już wie, że nie ma do czynienia z detektywem, tylko z belfrem. Ale pewności nie miał.

- No cóż - odparł, wskazując plakietkę na ścianie - powiem tylko tyle, że nie interesują mnie żadne papiery Ministerstwa Planowania i Współpracy Międzynarodowej.

Wszedł na schody.

- Pozwoli pan dokumenty - zażądał zaskakująco uprzejmie starszy. Był chyba poruszony grubiaństwem kolegi.

- Czyżbym trafił na izraelski posterunek? - zaśmiał się Omar. - Abu Walid mnie zna.

Wartownicy pozwolili mu przejść.

Jeszcze parę kroków i Omar znalazł się w pomieszczeniu, gdzie kiedyś znajdowała się ministerialna recepcja. Na fotelach i kanapach siedziało kilkunastu mężczyzn. Niektórzy drzemali - pewnie po nieprzespanej nocy. Było zimno, więc mieli na sobie oliwkowe kurtki. Broń leżała na stolikach i na podłodze. Śmierdziało papierosami.

W odległym kącie siedział Husajn Tamari. Rozmawiał półgłosem z Dżihadem Awdehem. Omar rozpoznał go po karakułowej papasze, bo twarzy nie widział. Awdeh ze spuszczoną głową drapał się w dłoń.

Omar ruszył w ich kierunku, bacząc, żeby nie potrącić żadnego z drzemających i nie potknąć się o porzucane na podłodze kałasznikowy.

- Bądź pozdrowiony, wujku - odezwał się Husajn Tamari, podnosząc wzrok.

- Bądź podwójnie pozdrowiony - odpowiedział Omar tradycyjnym zwrotem.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Omar Jussef. Jestem nauczycielem historii w ONZ-owskiej szkole dla dziewcząt i ojcem Ramiza Sirhana. Byłeś dziś u niego w sklepie z telefonami komórkowymi.

Husajn Tamari uniósł brwi, szczeka mu opadła. Był tak zaskoczony, że aż usiadł prosto i zaczął się drapać w głowę.

Dopiero teraz, gdy Tamari się wyprostował, Omar spostrzegł, że MAG leży na kanapie za właścicielem. Wcześniej nie mógł go zobaczyć, bo był zasłonięty przez potężny tors Tamariego. Omar poczuł suchość w gardle.

- Przyszedłem tu, aby oznajmić, że jeśli masz sprawę do mnie, to jestem do dyspozycji w każdej chwili. Nie musisz chodzić do syna. Możesz zawsze znaleźć mnie w domu lub w szkole.

Dżihad Awdeh podniósł głowę. Nagłe wejście Omara nie speszyło go tak jak Tamariego.

- W szkole? Słyszałem, że przeszedłeś na emeryturę. Cholerny Steadman, pomyślał.

- Informacje o moim odejściu ze szkoły są równie prawdziwe, jak to, co powiedzieliście mojemu synowi dziś rano.

Tamari położył rękę na ramieniu Dżihada, dając mu znak, żeby milczał.

- Nie gniewaj się, bracie - zwrócił się do Omara. - Chcieliśmy tylko, żeby wszyscy jasno zrozumieli sytuację. Usiądź, proszę. Chętnie zaproponowałbym ci filiżankę kawy, Abu Ramizie, ale przecież mamy ramadan... Mam nadzieję, że porozmawiamy jak przyjaciele. - Tamari wstał i wyciągnął rękę na powitanie.

Chciałby mnie zabić, ale nie może tego zrobić przy świadkach, nawet jeśli są to jego ludzie, pomyślał. Sprawa wyszłaby na jaw i naraziłby się na wojnę z Sirhanami. Ale wyciąga do mnie rękę. Co to ma znaczyć? Zwyczajny gest wobec gościa, nawet jeśli uważa się go za wroga? A może chce mnie przeciągnąć na swoją stronę?

Omar uznał, że na razie nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Wejście do jaskini lwa okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał. Jednocześnie przemknęło mu przez myśl, że ręka wyciągnięta do uścisku mogła zadać śmierć Dimie Rahman. Pod brudnymi paznokciami Husajna być może są ślady jej krwi. Nie mógł jednak odmówić uściśnięcia tej dłoni, bo jeszcze pogorszyłby sprawę. Podał więc rękę Tamariemu. Zdumiał się, że ten uściśnął jego dłoń miękko, nie manifestując siły.

Tamari usadził go obok siebie na kanapie i nie wypuszczając jego dłoni, zaczął wypytywać o szkołę i o to, jak uczniowie i nauczyciele radzą sobie z godziną policyjną.

Podczas gdy rozmawiali, Omar kątem oka zauważył, że Dżihad Awdeh pilnie nasłuchuje, półleżąc na sofie. Łokieć położył na oparciu, a palcami gładził swoją papachę, zasłaniając twarz.

Omar poczuł się spokojniejszy. Napięcie, jakie towarzyszyło mu od wejścia, opadało, podobnie jak złość. Husajn Tamari był człowiekiem głupim i okrutnym, ale Omara ujęło to, że zachowywał się uprzejmie, zgodnie z obyczajem i tradycją. Prorok nakazuje przecież, aby obcym, przybywającym do namiotu na pustyni, okazać gościnność.

Tamari nawiązał do pogłoski o rzekomym odejściu Omara ze szkoły i wyraził nadzieję, że to tylko plotka.

- Palestyńczycy powinni dbać o należyte wykształcenie młodzieży - powiedział - a dobrych nauczycieli jest mało. - To prawda - wyjaśnił Omar - że wspomniałem dyrektorowi o ewentualnym przejściu na emeryturę, ale ostatecznej decyzji jeszcze nie podjąłem.

- To po co w ogóle mu o tym mówiłeś? - wtrącił Dżihad Awdeh. Ręką nadal zasłaniał twarz, co sprawiało wrażenie, że słowa wydobywają się z czeluści. Tylko oczy spoglądały złowrogo spoza jego palców.

Pytanie zbiło Omara z tropu. Uprzejmość Tamariego uśpiła jego czujność. Gorączkowo szukał odpowiedzi. Nie może przecież powiedzieć, że potrzebuje czasu, żeby oczyścić George Sabę z zarzutu kolaboracji i morderstwa.

- To nie ma znaczenia - odrzekł wreszcie. - Kiedy jest się nauczycielem tak długo jak ja, to ciągnie się ten wózek aż do śmierci.

- Skoro więc masz zamiar odejść ze szkoły, to może planujesz także zejście z tego świata - rzucił Awdeh szydlerczo.

Husajn Tamari skarcił go wzrokiem.

- Chciałem powiedzieć tylko to, że jak raz zacznie się uczyć, to do końca życia jest się nauczycielem. - Następne zdanie Omar wypowiedział ostrym tonem. - Tak samo jak ten, kto raz zabił, zawsze będzie mordercą.

Dżihad Awdeh opuścił rękę, ukazując twarz. Oczy miał zmrużone, na ustach złowrogi uśmiech.

- Masz na myśli, że i uczenie, i zabijanie to sposób na życie? Ze jedno i drugie robi się dla pieniędzy?

- Zabijasz dla pieniędzy? - spytał Omar.

Husajn Tamari na w pół podniósł się z miejsca, jakby chciał przerwać, ale Dżihad Awdeh nie zamierzał tracić okazji do popisania się.

- Owszem, zabijam dla pieniędzy, ale tylko wtedy, gdy sprawa dotyczy obcych. - Podniósł się nieco, wymierzył palce w pierś Omara. - Ale ty jesteś mi bratem, więc ciebie zabiję za darmo.

Husajn Tamari odepchnął wyciągniętą rękę Awdeha i wzrokiem nakazał mu milczenie.

Omar wiedział, że nie może dać się zastraszyć. Gdy okaże słabość, wkrótce będzie po nim. Z tego zwarcia musiał więc wyjść z ciosem, mimo atmosfery gościnności i uprzejmości roztaczanej przez Tamariego.

- Chciałbym - rzekł stanowczo - abyście doprowadzili do uwolnienia George'a Saby. Wiecie przecież, że nie jest kolaborantem. Jest moim przyjacielem i przybyłem tu, aby prosić was o jego uwolnienie.

- To sprawa sądu - odrzekł Tamari.

- Bądźmy realistami, Abu Walidzie. George Saba stanął przeciwko wam: tobie i Awdehowi. Mówię o incydencie na dachu jego domu. Dwa dni później został aresztowany. Między pierwszym a drugim wydarzeniem istnieje związek, o którym wolałbym na razie nie mówić. Proszę was tylko, żebyście użyli swoich wpływów. Użyliście ich, żeby go uwięzić, więc skorzystajcie z nich, aby go uwolnić.

Ku zaskoczeniu Omara Husajna Tamari zamilczał, nie zareagował na jawne oskarżenie, jakby wcale się nie przejął. Być może uznał sprawę Saby za niegodną uwagi - drobiazg w porównaniu z innymi. Nawet się nie rozgniewał.

- Skąd możesz wiedzieć, że nie jest kolaborantem? Chyba że sam wysługujesz się Izraelczykom - rzucił Awdeh.

- A wy skąd wiecie, że jest kolaborantem? Chyba że sami współpracujecie z Izraelczykami - odparł bez wahania Omar. Czuł w sobie tę samą moc, którą poczuł, gdy zwarł pięści na zakończenie rozmowy z Ramizem. - Chodzi o życie niewinnego człowieka, czasu jest niewiele, więc nie marnuj go na bzdurne oskarżenia.

- Racja, nie warto tracić czasu. Sprawa rozstrzygnie się jeszcze dziś - odrzekł Dżihad Awdeh.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tylko tyle, że twój przyjaciel George Saba stanie przed sądem jeszcze dziś, o jedenastej wieczorem.

- Kiedy o tym zdecydowano?

- Spytaj sędziego. Widocznie chce to załatwić jak najszybciej.

Husajn Tamari znów położył dłoń na ramieniu Omara. Tym razem jednak uścisk był mocny, rozkazujący. - No i sam widzisz, że nie mamy na to wpływu.

Omar Jussef wstał. Był zdruzgotany. Niby czuł w sobie siłę, ale w gruncie rzeczy był bezradny. Nawet jeśli wierzył, że ma za sobą wewnętrzną rację moralną, cóż z tego? George'owi to nie pomoże.

Kiedy szedł do wyjścia, czuł na sobie palący wzrok bandytów.

ROZDZIAŁ 15

Wejście do kancelarii mecenasa Marwana Natsza zdobiły iluminowane sentencje z Koranu w bogatych ramach i kopie dyplomów. Omar Jussef przystanął w połowie drogi, aby

rzucić okiem na jedne i drugie, a przede wszystkim, żeby odetchnąć po pokonaniu dwóch pięter. Dyplomy, pisane gotykiem, pochodziły z uniwersytetu w Hebronie. Zaświadczały, że właściciel ukończył studia i zdał wszystkie egzaminy w połowie lat osiemdziesiątych. Inskrypcje sporządzono ozdobnym pismem kufickim, wyróżniając szczególnie imię Proroka i jego uczniów, tak że wyglądały jak haftowane ozdobne poduszki. Patrząc na cytaty ze świętej księgi, Omar pomyślał, że adwokat musi być człowiekiem bogobojnym, może nawet zwolennikiem Hamasu. To napełniło go nadzieją. Sam nie był wierzący, ale obserwując swoich rodaków, zauważył, że im kto bardziej kieruje się zasadami wiary, tym rzadziej akceptuje łamanie i obchodzenie litery prawa. Może więc mecenas Marwan Natsza podejmie się obrony George'a.

Zmierzchało już i w poczekalni adwokata panował mrok i chłód. Omar zapalił światło. Na ścianach wisiały dalsze inskrypcje z Koranu, natomiast skórzana kanapa była tak zniszczona, że wyglądała, jakby spędził na niej upojną noc ktoś odziany w piżamę z papieru ściernego. Za przeszklonymi drzwiami gabinetu paliła się tylko lampa na biurku. Omar otworzył drzwi. Wysoki szczupły mężczyzna podniósł wzrok znad papierów. Gabinet wypełniała gęsta chmura dymu tytoniowego. Cytaty z Koranu okazały się jedynie dekoracją, niczym więcej. Hamas zabraniał palenia podczas ramadanu. Omar zostawił drzwi do poczekalni otwarte, żeby się nie udusić.

Marwan Natsza podniósł się z fotela. Poruszał się jak ktoś, kto zwlekł się z łóżka po przepitej nocy. Pytającym gestem wskazał na zapalonego papierosa. Omar również gestem odparł, że mu nie przeszkadza, co adwokat przyjął z wyraźną ulgą. Padł na fotel, odsunął papiery.

- Nazywam się Omar Jussef, jestem przyjacielem George'a Saby.

Marwan Natsza skurczył się w sobie, spuścił wzrok, a jego twarz melancholika przybrała jeszcze bardziej posępny wyraz.

- Rozumiem, że pan będzie dziś go bronił w sądzie. Mam informacje, które mogą być przydatne.

- O Boże. Omar zmilczał.

Marwan Natsza spojrzał na niego i westchnął.

- Wujku, ty chyba nic nie rozumiesz - odezwał się wreszcie. Mówił z trudem, jakby bolało go gardło od mówienia, tak jak bolały nogi po długim marszu.

- A co tu rozumieć? Sabie grozi kara śmierci, a ja chcę go ocalić.

- Nic go już nie ocali.

Omar przysunął krzesło bliżej biurka adwokata. Ten odsunął się, jakby lękał się swego rozmówcy.

- Znam George'a od dziecka. Byłem z nim tego wieczora, kiedy starł się na dachu swego domu z ludźmi z Brygad Męczenników. George zmusił ich do odejścia. Zagrozili, że wrócą. I wrócili, oskarżając go o kolaborację. Oskarżenie to zemsta z ich strony.

Marwan Natsza patrzył obojętnie. Nic na jego poszarzałym obliczu nie wskazywało, aby słowa Omara wywarły na nim jakiegokolwiek wrażenie, poza tym, że wyglądał na głęboko niezadowolonego.

- Zdobyłem informacje, że Husajn Tamari brał udział w zabójstwie Louaia Abdel Rahmana. Jestem przekonany, że Tamari wrócił później do domu Rahmanów i zabił żonę Louaia, ponieważ dowiedział się, że to ona przekazała mi wiadomości o okolicznościach zabójstwa męża. Tamari rzucił także fałszywe oskarżenie na George'a Sabę. Marwan Natsza milczał.

- Nie interesuje to pana? Nie ma pan żadnych pytań? Mamy mało czasu.

- Mamy czas do jedenastej.

- To tylko sześć godzin.

- Sześć godzin, sześć dni, co za różnica? I tak zostanie uznany za winnego.

Omara ogarnęła złość.

- Nie tak prędko! W pobliżu miejsca, gdzie zginął Louai, znalazłem łuskę pochodzącą z karabinu Tamariego.

Marwan Natsza zapalił kolejnego papierosa. Ręka mu drżała, ale nic nie powiedział.

- To oznacza, że Tamari był na miejscu przestępstwa.

- Ale wcale nie znaczy, że zastrzelił Louaia Abdel Rahmana. - Marwan Natsza pochylił się nad biurkiem, tak powoli, jakby musiał zbadać wszystkie kręgi swojego kręgosłupa, po czym ze sterty papierów wyciągnął fotokopię jakiegoś dokumentu. - Oto wynik ekspertyzy balistycznej w sprawie zabójstwa Louaia Abdel Rahmana. Wedle specjalistów denat zginął w wyniku dwóch strzałów. Pociski pochodziły z karabinu snajperskiego produkcji amerykańskiej, będącego na wyposażeniu armii izraelskiej. Nie znam się na tym, ale ekspertyza stwierdza, że chodzi o M-24. Jak pan chce, może pan sobie sam przeczytać. Jest tu dużo szczegółów technicznych i - powtarzam - nie znam się na tym, ale nie wygląda mi na to, aby takiej broni używał Tamari.

- To prawda.

- I wystarczy.

- Niezupełnie. Pozostaje kwestia motywów. Dlaczego George miałby kolaborować z Izraelczykami i przykładać rękę do zabójstwa Louaia? Nie miał żadnego motywu, ale Tamari miał. Chciał pozbyć się Louaia, aby dostać się do majątku Rahmanów. Dopóki Louai żył, frakcja ruchu oporu, do której należał, chroniła jego rodzinę. Gdy zginął, natychmiast brat Tamariego przejął warsztaty samochodowe Abdel Rahmana.

- A Izraelczycy nie mieli motywu? Z tego, co wiem, Louai zabił niedawno izraelskiego osadnika.

- Oczywiście że Izraelczycy mieli motyw. Tylko jaki motyw miałby skłonić George'a Sabę do kolaboracji? Tamari miał motyw, żeby pomóc Izraelczykom, Saba żadnego.

Marwan Natsza chrząknął.

- Jeśli pan wyobraża sobie, że stanę przed ławą przysięgłych i oświadczę, że szef ruchu oporu w Betlejem jest izraelskim kolaborantem, to niech się pan lepiej zastanowi, Abu...

- Ramiz.

- ...Abu Ramizie.

Omar poczuł, że robi mu się gorąco.

- Jest jeszcze sprawa śmierci żony Louaia. Zabito ją już po uwięzieniu George'a Saby, co wyklucza jego współudział w tej zbrodni.

- A kto mówi, że Saba ma coś wspólnego ze śmiercią tej kobiety?

- Nikt, po prostu jestem przekonany, że obu morderstw dokonała ta sama osoba.

- Dlaczego pan tak myśli?

- A pan sądzi, że dwóch różnych zabójców czyhało na życie członków rodziny Rahmanów? Dwie nieznaną sobie osoby miałyby zamordować dwie osoby z rodziny Rahmanów akurat w tym samym czasie? To nieprawdopodobne. Te dwa zabójstwa łączą się ze sobą. Załóżmy przez chwilę, że George Saba maczał palce w pierwszym zabójstwie, ale wiemy jednocześnie, że nie mógł brać udziału w drugim, bo siedział już w więzieniu. Jeśli zgadzamy się, że obu zabójstw dokonała ta sama osoba, nie mógł to być George. Przeto nie on jest winien śmierci Louaia, ale ktoś inny.

- Słyszałem, że ta kobieta została zgwałcona. Mówiąc brutalnie, znalazłoby się w tym mieście wielu mężczyzn zdolnych i chętnych do takiego czynu, zwłaszcza wobec wdowy, a więc kobiety, za którą nikt się nie ujmie. Szukał pan motywu, oto motyw. Najprostszy ze wszystkich. Tak czy owak, to osobna sprawa i nie mogę jej podnosić na dzisiejszej rozprawie. Każdy sędzia uznałby to za niedopuszczalne. - Marwan Natsza znów pogrzebał w stercie papierów na biurku.

- Czyta pan po hebrajsku, Abu Ramizie?

- Nie.

- Szkoda. - Marwan Natsza spojrział na Omara z politowaniem. - Mam tutaj odbitkę artykułu z „Jediot Aharonot”. To izraelska gazeta. Tekst opublikowano dwa dni po śmierci Louaia Abdel Rahmana i jest w nim mowa o tym, że Szin Bet posłużyła się palestyńskim konfidentem, który wskazał ich agentom Louaia. Jest tu także sporo o działalności Louaia w podziemiu. Nazywają go - cytuję - jednym z najbardziej niebezpiecznych terrorystów w rejonie Betlejem. Piszą też o roli owego konfidenta w „identyfikacji celu”. Prawdopodobnie to podstawowa sprawa w tego typu operacjach. Konfident rozpoznał Louaia Abdel Rahmana, upewnił się, że to on, a resztę wykonali izraelscy snajperzy. Rozumie pan?

- Rozumiem.

- Chyba jednak nie do końca. Chodzi o to, żeby wskazać winnego, owego kolaboranta czy konfidenta. Nawet izraelska gazeta pisze, że był ktoś taki. Nasza policja albo nie potrafi, albo nie chce ustalić, kim on był. Jedno, moim zdaniem, jest pewne. Gdyby ślady miały prowadzić do Husajna Tamariego, to policja wycofa się rakiem. Tamari jest zbyt niebezpieczny. W takiej sytuacji potrzebują kozła ofiarnego, a tym kozłem - Marwan Natsza wymownie rozłożył ręce - będzie George Saba.

- A więc pan też nie wierzy, że George jest winny?

- Powiedzmy, że nie ma mocnych dowodów przeciwko niemu.

- Więc jako obrońca ma pan ułatwione zadanie.

- Owszem, ale nie w takim sensie, jak pan mówi. To, czy przeciwko Sabe zgromadzono słabe, czy mocne dowody, nie ma najmniejszego znaczenia. Adwokat występujący w sprawie toczącej się przed Sądem Bezpieczeństwa Państwa ma ustawowy obowiązek dbać przede wszystkim o interes kraju. Kolaboranci nie mogą pozostawać bezkarni, bo to ułatwiałoby Izraelczykom ich werbowanie. Każdy wyrok skazujący za kolaborację utrudnia Izraelowi werbunek ludzi gotowych zdradzić swoich rodaków.

- Więc skazuje się nawet takich, którzy wcale nie dopuścili się kolaboracji? Saba ma umrzeć, bo napiętnowano go jako kolaboranta, a prawdziwy kolaborant pozostanie na wolności, bo nasze siły bezpieczeństwa nie potrafiły go ujawnić, tak? To absurd.

Marwan Natsza wzruszył tylko ramionami. Omar zdjął beret, przygładził włosy.

- Pan nie pochodzi stąd, prawda?

- Nie, jestem z Hebronu. - Natsza uśmiechnął się na wspomnienie rodzinnego miasta. Uznał z ulgą, że poważna rozmowa zmieniła się w towarzyską pogawędkę. Mylił się.

- Więc niech pan sobie wyobrazi, że banda złoczyńców opanowała Hebron. Czy w takiej sytuacji nie postąpiłby pan tak jak George Saba?

- Ależ, drogi przyjacielu, u nas stało się dokładnie to samo. Tak się dzieje w całej Palestynie, Abu Ramizie. Nie ma na to rady.

- A zatem wszyscy jesteśmy w takiej samej sytuacji. Powinniśmy się zjednoczyć, stworzyć wspólny front walki przeciwko bandytom.

- A sądzi pan, że Palestyńczycy są do tego zdolni? Owszem jednoczymy się we wspólnym froncie przeciwko Izraelowi, ale to powierzchowne. Poza tym nie potrafimy się zjednoczyć. Opuściłem Hebron, bo nie byłem w stanie znieść tego, co bandyci wyprawiali w moim mieście. Dlaczego teraz w Betlejem miałbym raptem stawić im czoło?

Omar poczuł litość dla tego człowieka. Zastanawiał się, dlaczego Natsza uciekł z rodzinnego miasta. Jaki gwałt dokonany przez Brygady Męczenników sprawił, że zupełnie stracił wolę działania?

- Przykro mi, wuju, ale muszę już zamknąć kancelarię. Czas na iftar. - Natsza uznał, że rozmowa dobiegła końca.

- Czy pomodli się pan przed posiłkiem za George'a Sabę?

- Nie. Jestem głodny, zajmę się wyłącznie jedzeniem i nie będę myślał o tym, że wieczorem muszę stanąć przed tym przeklętym sądem. Za Sabę niech pan sam się modli, jeśli pan chce.

- Będę się modlił za pana.

Marwan Natsza spojrział na Omara, jakby rozważał w myślach, czy rzeczywiście bardziej zasługuje na wstawiennictwo u Boga niż skazaniec. Po chwili chrząknął, wstał, zebrał papiery z biurka, zgasił niedopałek i ruszył do wyjścia, nie bacząc na Omara, który żadną miarą nie mógł nadążyć za długonogim prawnikiem. Zbiegł szybko ze schodów, zostawiając Omara w ciemności.

Omar przystanął na chwilę, zdjął ze ściany jeden z oprawionych w bogate ramy dyplomów Marwan a Natszy i cisnął nim o schody. Posypało się szkło. Marwan Natsza przystanął u wyjścia, ale nie zawrócił, ruszył dalej, pokaszując.

Po chwili kroki ucichły. Omar zszedł na półpiętro, podniósł połamaną od uderzenia ramę z dyplomem i zaniósł do gabinetu Natszy. Stał przy oknie, dysząc z wysiłku. Zrobiło mu się przykro, że na pergaminie dyplomu wykwitła brudna plama. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Od bramy domu, w którym mieściła się kancelaria, rozciągał się widok na podmiejskie zabudowania i pola uprawne, a dalej - na jałowe pagórki Pustyni Judzkiej

schodzące ku Morzu Martwemu. Zmierzch malował pustynię jasnym błękitem, przez co jawiła się jak pełna kraterów powierzchnia Księżyca. Omar miał wrażenie, jakby unosił się w przestrzeni, na orbicie odleglejszej niż martwy satelita Ziemi i z kosmicznych wyżyn patrzył na oszalałą i cyniczną rzeczywistość Ziemi. Zastanawiał się, czy gdzieś na świecie można znaleźć miejsce równie odpychające. Nad tłumem wypełniającym salę Sądu Bezpieczeństwa Państwa rozlegał się pełen oczekiwania gwar jak w teatrze przed premierą. I takie też wrażenie odniósł Omar Jussef, gdy rozglądał się za wolnym miejscem. Oto za chwilę rozpocznie się starannie przygotowane przedstawienie - tragedia, która na zawsze zapisze się w jego znękaną głowie. Sala była ogromna, z szarymi ścianami i niskim sufitem. Bładoniebieskie światło świetlówek z trudem przebijało się przez gęsty obłok dymu z papierosów, nadając siną barwę ludziom wypełniającym rzędy plastikowych krzeseł. Omar ocenił, że przyszło około tysiąca osób. Ci, dla których zabrakło miejsc siedzących, stali w przejściach i pod ścianami. Kilkunastu policjantów strzegło sądu od frontu. Za nimi przechadzał się Chamis Zejdan, półgłosem wydając rozkazy. Omar rozpoznał wiele znajomych twarzy. Jedni uśmiechali się do niego, inni machali na powitanie ponad głowami podnieconej widowni.

Tylko dwie osoby spośród całego tłumu stały w milczeniu - Muhammad i Junis Abdel Rahman. Ojciec i brat Louaia - ofiary morderstwa, w którym o współudział oskarżono George Sabę - stali pod kwadratową kolumną z boku sali. Ojciec był smutny, natomiast na szczupłej twarzy Junisa malowało się wzburzenie. Nie odrywał wzroku od pustych jeszcze foteli dla sędziów i ani razu nie spojrzał na ojca, choć ten raz po raz spoglądał na niego wzrokiem, w którym Omar odczytywał jakby wstyd, zagubienie i rozpacz.

Okna były zamknięte, ale Omar czuł, jak mróz przechodzi mu po krzyżu. Miał wrażenie, że obecnych przepelnia tak ogromna wrogość wobec oskarżonego, którego wkrótce miano wprowadzić, iż nikt nie jest w stanie wykrzesać z siebie nawet odrobiny współczucia. Spojrzał na zegarek. Do rozpoczęcia rozprawy zostało pięć minut. Omarowi udało się znaleźć wolne miejsce. Siedzący w rzędach z niechęcią patrzyli na tych, którzy przyszli w ostatniej chwili i napierali od drzwi. Było późno, ludzie byli podnieceni i zmęczeni zarazem, jak dzieci, których nie odesłano w porę do łóżka.

Ze wszystkich stron do uszu Omara dobiegały głupie uwagi o George'u Sabie i jego rzekomej zbrodni. Jedyne, co mógł zrobić, to udawać, że niczego nie słyszy. Nie było bowiem sensu wdawać się w dyskusję i próbować bronić przyjaciela przed tymi ludźmi. Brzydziło go, że tak wielu spośród jego bliższych i dalszych sąsiadów oczekuje wyroku śmierci, bo nikt tu nie wierzył w uniewinnienie. Ogarnął go smutek. Jego miasto było tak upodlane i pełne

nienawiści, że jedyną przyjemność potrafiło czerpać już tylko z kary śmierci dla kogoś postrzeganego jako cząstka aparatu opresji. Rozglądał się za Habibem, ale nigdzie go nie dostrzegł.

Tymczasem do sali weszli oskarżyciel i obrońca. Zajęli miejsca naprzeciwko stołu sędziowskiego. Kilku ludzi z pierwszych rzędów wyciągało ręce przez kordon policjantów, aby uścisnąć dłoń prokuratora i złożyć mu gratulacje. Oskarżyciel przyjmował hołdy i uśmiechał się szeroko, jakby sprawa już została rozstrzygnięta, oczywiście po jego myśli. Omar słyszał o fingowanych procesach, jakie urządzano rzekomym kolaborantom w Gazie, był jednak przekonany, że Betlejem nigdy do czegoś takiego się nie zniży. Marwan Natsza siedział sam przy stole przeznaczonym dla obrony. W sinym świetle jarzeniówek wydawał się jeszcze bardziej zszarzały niż u siebie w kancelarii. Z racji wzrostu powinien górować nad otoczeniem, ale był na to zbyt chudy i wąty. Sprawiał wrażenie, jakby lada chwila miał się przełamać na pół jak zwiędły kwiat na długiej lodydze.

Nie przyniósł żadnych dokumentów, nie zabrał nawet teczki, którą Omar widział na jego biurku w kancelarii. Na stole przed sobą położył tylko paczkę rothmanów i blaszaną popielniczkę, którą pracowicie zapełniał niedopałkami.

Chamis Zejdan wychynął zza pleców policjantów i przerwał gratulacje i uśmiechy. Rzucił coś krótko do prokuratora, co sprawiło, że ten przestał się śmiać i przybrał minę półzawstydzoną, półobrażoną. Omar Jussef obserwował swego dawnego przyjaciela, jak spogląda karcącym wzrokiem na tłumek śpieszący z gratulacjami dla oskarżyciela. W każdym razie szef policji przypominał tym ludziom, że sąd to nie przedstawienie i że w tej sali ważyć się będzie ludzkie życie. Chamis miał zaciśnięte szczęki, a w oczach wyraz cierpienia. O tej porze zwykle bywał już mocno pijany, niewykluczone więc, że napięcie i ból na jego twarzy świadczyły tylko o wysiłku, jaki musiał podjąć, aby zachować trzeźwość. Omar miał jednak nadzieję, że wyraz twarzy Chamisa oznacza sprzeciw wobec zamiany wymiaru sprawiedliwości w cyrk. W tym momencie przyszło mu do głowy jeszcze coś innego: że komendant policji zna całą prawdę o zabójstwie Louaia, wie, kto jest prawdziwym kolaborantem, podczas gdy Omar może się tylko domyślać.

Raz jeszcze zaczął analizować swoje podejrzenia wobec Chamisa. Czy rzeczywiście to Chamis Zejdan dał znać mordercy Louaia, że Dima Rahman wie, iż na miejscu był Abu Walid? Jeśli Zejdan wiedział, komu przekazać informację o tym, co Dima powiedziała Omarowi, staje się logiczne, że musiał wiedzieć, kto jest zabójcą. Skoro tak, to powstaje pytanie, dlaczego go nie aresztował. Odpowiedź jest oczywista - policja nie działa automatycznie, zwłaszcza w dzisiejszych czasach i głównie wtedy, gdy mordercą jest sam

szeF Brygad MęCzenników. Nasuwa się jeszcze inne pytanie, a mianowicie dlaczego, chroniąc zabójcę, komendant naraził życie niewinnej osoby? I tu możliwe są różne odpowiedzi. Być może Zejdan nie znał Husajna Tamariego na tyle, by przypuszczać, że zabije on Dimę. Może sądził, że tylko ją ostrzeże, żeby milczała, zastraszy ją, a w najgorszym wypadku pobije. Jednocześnie Zejdan musiał zdawać sobie sprawę, z kim ma do czynienia, nie mógł więc mieć wątpliwości, że Husajn Tamari zechce zamknąć usta Dimy na zawsze.

Omar zastanawiał się także, ile z tego, co opowiedział Zejdanowi, ten powtórzył Tamariemu. Wielki wódz Brygad MęCzenników przesłał Omarowi ostrzeżenie za pośrednictwem syna Ramiza. Prawdopodobnie nie chciał zadzierać z klanem Sirhanów. Groźba wyrażona bezpośrednio pod adresem Omara albo zaczepka wywołałyby wojnę. Może jednak Tamari po prostu nie wiedział, że Dima Rahman właśnie Omarowi powiedziała o Abu Walidzie. Jeśli Tamari uznał, że Omar zabiega o uwolnienie George'a Saby tylko ze względu na ich przyjaźń, to nie miał powodu czuć się zagrożony. Zejdan mógł przecież powtórzyć Tamariemu, co Dima mówiła, bez ujawniania źródła informacji. To tłumaczyłoby stosunkowo łagodną formę ostrzeżenia. A skoro Tamari nie wie, że Omar może być dla niego niebezpieczny, to nie ma powodu, by go zabić. Przynajmniej na razie.

Omar nie mógł uwierzyć, żeby Chamis Zejdan wydał Dimę, a poza tym nie mógł wykluczyć, że dziewczynę zabito z zupełnie innych powodów, a zabójcą wcale nie musiał być Abu Walid. Mogła przecież mieć kochanka, o którym nikt nic nie wiedział, i to on mógł tego wieczoru wywabić ją na spotkanie i zadać jej śmierć. Była wreszcie hipoteza Chamisa Zejdana, że Rahmanowie dowiedzieli się o romansie i uśmiercili Dimę w imię ratowania honoru rodziny. A może po prostu Omar szukał usprawiedliwień dla Chamisa w imię starej przyjaźni. Tu, na sali sądowej, Chamis zdawał się zachowywać przyzwoicie, ale zarazem używał swojej władzy i autorytetu w złej sprawie, bo przecież na tej sali miał się dokonać przerażający gwałt na wymiarze sprawiedliwości. Ktoś, kto mobilizuje podległych sobie policjantów do ochrony sądu mającego uprawomocnić akt morderstwa na niewinnym człowieku, zdolny jest do wszystkiego.

O 23.05 do sali wkroczył Husajn Tamari na czele hordy uzbrojonych mężczyzn. Tłum usunął się z drogi, a ludzie z pierwszych rzędów spieszenie zaczęli opuszczać swoje miejsca. Tych, którzy robili to zbyt wolno, gwardziści Tamariego ponaglali szturchańcami. Tamari uśmiechał się łaskawie jak monarcha, odpowiadając na powitania. Kiedy usiadł, do sali wszedł Dżihad Awdeh i zajął miejsce pod ścianą. Na głowie miał papachę w stylu Saddama Husajna, twarz kamienną, nie reagował na żadne powitania i pozdrowienia. Uśmiechnął się tylko szydyczko, przechodząc obok Muhammada Abdel Rahmana. Starzec nie podniósł

wzroku, stał z oczami wbitymi w podłogę, ale Junis obrzucił Awdeha spojrzeniem pełnym wrogości, co ten przyjął z wyraźnym rozbawieniem. Wyglądało na to, że czekano specjalnie na Tamariego i jego ludzi, bo gdy tylko zajęli miejsca, jeden z policjantów ogłosił, że sąd idzie, i kazał wszystkim wstać. Trzech sędziów usiadło za stołem.

Grobowa cisza zapadła na sali. Tysiąc osób stało w milczeniu, czekając, aż przewodniczący uderzeniem młotka da znak, że oto rozpoczyna się rozprawa. Sędzia przewodniczący był korpulentnym mężczyzną o skórze koloru kawy z mlekiem, z grzywą siwych włosów zaczesanych do tyłu. Przypominał francuskiego pieśniarza. Usta miał gniewnie zaciśnięte, ale w oczach czaił się lęk. Omar miał okazję poznać sędziego osobiście kilka miesięcy temu na jakiejś ONZ-owskiej imprezie i wiedział, że jest on wielce krytyczny wobec władzy. Sędzia opowiedział mu wiele historii mówiących o bezsile wymiaru sprawiedliwości wobec bandytów z Brygad Męczenników i ich protektorów zasiadających w rządzie. Omarowi zaświtała w duszy nadzieja, że może sędzia zechce dać dowód, iż nie pozwoli dłużej sobą dyrygować. Gdy jednak zobaczył, że ten lękliwie odwraca wzrok od siedzących w pierwszym rzędzie ludzi z Brygad, zdał sobie sprawę, że jego nadzieja jest płonna.

Sędzia ogłosił otwarcie posiedzenia Sądu Bezpieczeństwa Państwa i polecił wprowadzić oskarżonego. Gdy George Saba stanął w drzwiach - tych samych, którymi przed chwilą weszli sędziowie - tłum od razu wydał wyrok skazujący. Rozległy się wrzaski i krzyki: „Śmierć dla oskarżonego! Śmierć w imię Allaha!”. George Saba wyglądał, jakby już był martwy. Zdawał się nie słyszeć wybuchów nienawiści, towarzyszących jego wejściu. Nosił płaszcz tweedowy, który Omar mu zostawił i który wydawał się jeszcze ciaśniejszy niż rankiem w celi. Ręce miał skute, włosy zmierzwione. Omar dostrzegł też ze zdumieniem podbite oko i świeżą ranę na policzku przyjaciela - nie było tych obrażeń piętnaście godzin temu, gdy odwiedził go w więzieniu. Dwóch policjantów doprowadziło George'a przed stół sędziowski. Stanął tam z opuszczonymi ramionami i wzrokiem wbitym w ziemię.

Omar poczuł, że oczy zaszyły mu łzami. Przetarł je koniuszkami palców. Usiłował nie słuchać wrogich okrzyków rozlegających się wśród publiczności. Nie rozróżniał słów, ale słyszał ów zwierzęcy, krwiożerczy ton. Pochylił się, ukrył twarz w dłoniach, podczas gdy wrzaski nie ustawały.

Sędzia wreszcie zdołał uciszyć salę, energicznie stukając młotkiem, i odczytał wokandę - rząd przeciwko samotnemu, z maltretowanemu człowiekowi w płaszczu Omara Jussefa. Następnie oddał głos prokuratorowi, aby przedstawił akt oskarżenia.

Prokurator powiódł wzrokiem po sali i stanął tak, aby to, co powie, dotarło nawet do ostatnich rzędów. Dramatycznym gestem zarzucił togę na ramię, co Omarowi przywiodło na myśl złego czarnoksiężnika, który może sprawić, że trup George'a Saby na oczach wszystkich zniknie z ławy oskarżonych.

- Wysoki Sądzie - zaczął wreszcie - sprawa jest prosta. Oskarżony doprowadził oddział izraelskich sił specjalnych do policjanta Louaia Abdel Rahmana, o którym wiedział, że jest przez okupantów poszukiwany. Zdradziecko i bezlitośnie wskazał go żołnierzom sił okupacyjnych, którzy natychmiast zadali Louaiowi Abdel Rahmanowi męczeńską śmierć. Oskarżony przyznał się do winy. Wielokrotnie powtórzył swoje zeznanie. Oskarżenie żąda dla niego kary śmierci, bo taką karę należy wymierzać tym, którzy dopuszczają się współpracy z siłami okupacyjnymi, zwłaszcza zaś tym, których zdrada prowadzi do aktów morderstwa na męczennikach walczących o wolność Palestyny. To wszystko, Wysoki Sądzie. Dziękuję.

Prokurator opuścił ramię. George Saba nie znikł, stał jak przedtem, choć byłoby dlań chyba o wiele lepiej, gdyby zapadł się pod ziemię, tłum bowiem znów zaczął wznosić wrogie okrzyki, zmieszane z aplauzem dla wystąpienia prokuratora, który odwrócił się do publiczności i z poważną twarzą podziękował za uznanie.

Sędzia udzielił teraz głosu obronie. Marwan Natsza zgasił niedopalonego papierosa, uniósł się z krzesła i piskliwym głosem wyrzucił z siebie jedno tylko zdanie: „Wysoki Sądzie, oskarżony przyznaje się do winy”. Zaraz potem usiadł i zapalił kolejnego papierosa.

Nawet wrogi tłum zdawał się zaskoczony brakiem jakiegokolwiek próby obrony. Sędzia obserwował Marwana Natszę przez chwilę. Omarowi przemknęło przez myśl, że oto moralność nabiera wielki haust powietrza, nim zanurzy się w morzu nikczemności, w którym Betlejem zdaje się pławić. Sędzia patrzył na Marwana Natszę w milczeniu - widać nabierał powietrza. Po sekundzie przeniósł wzrok na George'a Sabę.

- Sąd uznaje oskarżonego za winnego wszystkich zarzucanych mu czynów...

Sala zawyła z zachwyty.

- ... i skazuje go na karę śmierci przez rozstrzelanie. Data egzekucji zostanie określona przez prezydenta.

Radość wybuchła z taką siłą, że ludzie podrywali się z miejsc. Omar Jussef też wstał. Patrzył z daleka, jak dwóch strażników wyprowadza George'a. Sędziowie czekali zakłopotani, aż oskarżony przejdzie, jakby chodziło o kalekę lub emeryta, któremu wypada umożliwić przejście do zatłoczonego autobusu. W drzwiach nogi George'a odmówiły posłuszeństwa. Sędzia przewodniczący cofnął się gwałtownie, aby uniknąć kontaktu ze

skazanym. Twarz sędziego była równie blada jak twarz George'a. Pewnie nadal wstrzymuje oddech, pomyślał Omar. Nabierze powietrza dopiero, gdy spotka kogoś takiego jak ja na jakiejś ONZ-owskiej imprezie, kogoś, kogo uzna za godnego zaufania na tyle, by mu powiedzieć o wstępie, jaki czuł na myśl, że musi brać udział w takiej farsie. Do siebie nie będzie miał żadnych pretensji, winić będzie wyłącznie system. Mam nadzieję, że go spotkam. A wtedy powiem mu, że byłem na tej rozprawie, powiem mu, że ma krew na rękach i że to jego palce pociągały za spust karabinów plutonu egzekucyjnego.

Omar padł na krzesło kompletnie wyczerpany. Była 23.15. Proces nie zabrał wiele czasu. Widzowie opuszczali salę, komentując to, czego byli świadkami, tak jak komentuje się mecz albo inne widowisko sportowe. Większość wyrażała swoje rozczarowanie. Spodziewano się, że obrona wystąpi z jakąś filipiką, co dałoby okazję prokuratorowi do wyjawienia dalszych szczegółów zdradzieckiej działalności George'a Saby, aby podkreślić, że w tej sprawie nie może być żadnych wątpliwości. Mimo to widzowie byli zadowoleni, że przynajmniej zapadł wyrok śmierci.

Kiedy sala opustoszała, Omar Jussef wstał, szykując się do wyjścia. W ostatnim rzędzie pod drzwiami zobaczył mężczyznę szlochającego na ramieniu księdza w czarnej sutannie. Rozpoznał Habiba Sabę i Eliasa Biszarę. Przeszedł do nich przez płataninę krzesel i usiadł obok starca.

- Musiałem poczekać, aż wszyscy wyjdą, Abu Ramizie - rzekł Habib. - Musiałem, bo zobaczyliby mnie i rozpoznali.

- A niechby zobaczyli. Powinni. Powinni widzieć, że George ma ojca, który go oplakuje. Potraktowali go, jakby nie był człowiekiem, Abu George.

- Już po nim, Abu Ramizie. Zabiją go.

- Minie trochę czasu, zanim prezydent podpisze wyrok. W tym czasie oczyścimy go z zarzutów. - Omar wyjął z kieszeni chusteczkę ozdobioną monogramem i podał starcowi. - Wiemy, że czas ucieka, i podwoimy starania.

- To na nic, Abu Ramizie. Nic się nie da zrobić. Nie mieli przeciwko niemu żadnych dowodów, bo wcale ich nie potrzebowali. Skoro nie ma dowodów, nie można wykazać, że były fałszywe. Został uznany za winnego tylko dlatego, że jest chrześcijaninem, obcym.

- Nie mogę się z tym zgodzić.

Habib podniósł wzrok. Oczy miał zaczerwienione i pełne lęku. Patrzył na zmianę na Omara i Biszarę.

- Abu Ramizie, czy chcesz ściągnąć na nas jeszcze więcej kłopotów? - Więcej kłopotów? Chcę tylko uratować twojego syna - odrzekł Omar.

Lata przyjaźni sprawiły, że nie zbulwersowały go słowa Habiba. Rozumiał jego rozpacz i widział, że starzec czuje się absolutnie bezbronny i bezsilny.

- Nawet nie próbuj, Abu Ramizie. Zabiją George'a, a potem zabiją jego rodzinę i mnie. Zamordują nas, zrujną nasz dom. Jeśli zmusisz ich do zatarcia śladów, zniszczą wszystko i wszystkich.

- A więc wolisz, żeby George zginął? Ma zostać męczennikiem, byle uratować dom?!

- Abu Ramizie, proszę - Elias Biszara uniósł brwi, jakby chciał ostrzec dawnego nauczyciela. - Wszyscy jesteśmy zbyt poruszeni.

Omar pożałował ostrych słów. Przed oczami stanęła mu Dima Rahman. Martwa, leżąca twarzą ku ziemi, z ranami na plecach. Habib Saba miał rację. Dima najpewniej padła ofiarą działań Omara. Zginęła, bo on, Omar, chciał ujawnić prawdę o śmierci jej męża i oczyścić George'a z zarzutu kolaboracji. Poczul strach, jakby Brygady Męczenników już na niego czekały, aby dodać jego nazwisko do listy martwych. Potoczył wzrokiem po sali. Była pusta, tylko jeden policjant stał jeszcze przy drzwiach.

Habib Saba położył głowę na ramieniu Omara.

- Ja wiem, że go kochałeś, Abu Ramizie. Byłeś dla niego lepszym opiekunem niż własny ojciec. Ja byłem samolubny i słaby, i taki jestem. Nie zasługuję na takiego syna jak on. Niech mnie zastrzelą zamiast niego. Niech zastrzelą... - zaszlochał głośno.

Omar wziął starca pod ramię i podniósł z miejsca, co przyszło mu z trudem, ale Elias Biszara pośpieszył z pomocą. We dwóch poprowadzili Habiba do wyjścia. Stojący tam policjant ruszył im naprzeciw.

- Abu Ramizie - rzekł tonem pełnym wahania i szacunku - mam córkę w pańskiej klasie. To Chadidza Zubejda.

Omar przystanął.

- Pan jest Mahmud. Chadidza mówiła mi o panu.

Przypomniał sobie, jak dziewczynka, pełna nienawiści, opowiadała w klasie usłyszaną od ojca historię aresztowania George'a Saby. W pierwszym odruchu chciał rzucić policjantowi w twarz, że wziął udział w obrzydliwym spektaklu i wpaja córce nikczemność. Czuł jednak na ramieniu głowę Habiba Saby, słyszał łkanie starca, który rozpaczał, że zawiódł własnego syna.

- Chadidza to bardzo zdolna dziewczynka - rzekł Omar.

- Dziękuję, *ustaz* - policjant rozpromienił się w uśmiechu. Wyszli. Policjant zgasił światło.

ROZDZIAŁ 17

Pięć godzin po ogłoszeniu wyroku skazującego George'a Sabę na śmierć pod dom Omara Jussefa zajechał buldożer. Omar słyszał, jak nadjeżdża. Nie spał, całą noc nie zmrużył oka. Siedział w salonie, patrząc pustym wzrokiem na kredens, w którym trzymał butelkę Johnny Walkera dla Chamisa Zejdana. Kusilo go, żeby się napić, poczuć w gardle palący smak whisky. Wiedział, że nie powinien, ale było mu wszystko jedno. Trwał tak od pięciu godzin, sam, gnębiony ciszą i targany własnymi myślami. Patrzył w ciemność za oknem i dziwił się, że wszędzie jest cicho i pusto, że ludzie nie wylegli na ulice. A przecież w mieście powinien się kłębić gniewny tłum, do którego on mógłby się dołączyć i wołać ze wszystkimi, że niewinny człowiek został skazany na śmierć.

O czwartej nad ranem wyłączono prąd, ale Omar nawet się nie ruszył. Był zadowolony z ciemności, bo dzięki niej mógł zapomnieć o domu, o mieście i o kraju, w którym przyszło mu żyć. Otulił się marynarką, bo nocą w domu zapanował chłód. W kieszeni wyczuł rozgrzane od ciała łuski od MAG-a. Jak to możliwe, myślał, że narzędzia śmierci rozgrzewają się od ciała człowieka, choć on sam dygocze z zimna? Wstał, żeby podejść do kredensu. Chyba jednak się napije. Zawadził o stolik, uderzając się boleśnie w goleń. Zaklął w duchu. Podszedł do kredensu, ale ból w nodze odebrał mu ochotę na whisky. Właśnie. Musi być trzeźwy, a nie otepiały od alkoholu. Musi być czujny i zdecydowany. Nie wolno mu rezygnować ani poddawać się, ani litować nad sobą jak Habib Saba. Powinien być silny. Co z tego, że siedzi sam w ciemności i chłodzie, skoro George Saba cierpi stokroć gorsze męki w celi, mając za całą ochronę przed lodowatym wiatrem wdzierającym się przez wybite okno tylko jego przymałe paletko? A Dima Rahman? W grobie jest jeszcze zimniej. Myśl o jej strasznej śmierci, o zbezczeszczonym ciele, o gwałcie, jaki jej zadano, nappełniła go żądzą zemsty, a zarazem pragnieniem zachowania szacunku dla siebie. Zawrócił od kredensu.

Usiadł i krzywiąc się, zaczął rozcierać obolałą nogę. Dawniej taki uraz wygoiłby się szybko, a teraz będzie miał siniak przez tydzień albo i dwa. Każde nieostrożne stąpienie sprawi mu ból. Ale może i dobrze się stało. Skoro cierpi, to znaczy, że żyje.

Wtedy nadeszli Izraelczycy. Od wzgórza nad Dehajszą dobiegł głuchy łoskot. Omar domyślił się, że żołnierze wyłączyli prąd w mieście, aby nie widziano, co robią. Przemknęło mu przez myśl, żeby obudzić Mariam, Ramiza i dzieci. Na razie jednak podszedł tylko do okna i zaczął wypatrywać, co się dzieje.

Drogą posuwał się czołg, a za nim opancerzony transporter. Stalowe gaśienice orały nawierzchnię. Za czołgiem i transporterem jechała wielka koparka, dwa razy większa od czołgu. Czołg i transporter zatrzymały się przy skrzyżowaniu, dwanaście metrów od domu

Omara, a koparka stanęła między nimi, nieco z tyłu. Potężna łyżka zaczęła z łoskotem kruszyć nawierzchnię i wbijać się w kamieniste podłoże.

- Omar? - Z sypialni dobiegi zaspany głos, a po chwili Mariam zeszła do salonu. Dopinała wełniany szlafrok i odgarniała potargane od snu włosy z czoła.

- Nie podchodź do okna - uprzedził Omar półgłosem. - Czołgi są na ulicy.

- Co tu robisz? - machinalnie ruszyła w stronę okna.

- Mówiłem, nie podchodź do okna. Zostań tam, gdzie jesteś, albo wracaj do łóżka.

- Oszalałeś? Mam wracać do łóżka, gdy wojsko stoi na progu mojego domu? - No to zostań, tylko nie zbliżaj się do okna.

- Ale co oni tam robią?

Omar zerknął przez okno. Koparka przekopała już połowę ulicy.

- Kopiają rów w poprzek drogi.

Wyjrzał jeszcze raz. Wyglądało na to, że rów ma co najmniej dwa metry głębokości i tyleż szerokości.

- A po co?

- Chyba po to, aby zamknąć ruch samochodowy między Dehajszą a Betlejem.

- Dlaczego?

Zapewne po to, aby na obszarze, gdzie działają Brygady i oddziały Hamasu, utrudnić transport broni i amunicji. Bojownicy będą musieli przenosić broń i materiały wybuchowe przez przeszkodę. I wtedy łatwiej da się ich namierzyć, osaczyć i zlikwidować. Strzałami snajperów, ogniem ze śmigłowców czy z czołgów. Ale wszystko to będzie się działo na progu domu Omara. I może się zdarzyć, że strzały snajperów, ogień ze śmigłowców czy z czołgów rozpoczną się, gdy on lub jego wnuki będą przechodzić przez ulicę. Nie chciał, aby Mariam zdała sobie z tego sprawę.

- Dlaczego? - powtórzył jej pytanie. - A kto im zabroni? Robią, co chcą, bękarty.

Nawet w ciemności widział, że Mariam mu nie wierzy. Zawsze jej mówił, że ślepa nienawiść sprawia, że nie rozumie się przyczyn i skutków. Żołnierzy postrzega się jak krwiożercze bestie, a od tego tylko krok, żeby samemu stać się bestią.

- Nigdy tak o nich nie mówiłeś, Omarze.

- Niech będzie, że nie mówiłem. Więc nie wiem, po co to robią. Marzę tylko, żeby się stąd wynieśli, żebyśmy mogli zasypać ten przeklęty rów.

Mariam podeszła do niego. Jej wzrok już się oswoił z ciemnością, a poza tym lepiej niż on znała położenie każdego mebla, bo przecież stale sprzątała mieszkanie. Położyła dłoń na ramieniu męża.

- Myślałam, że przyszedli po Dżihada Awdeha.

Na dźwięk tego nazwiska Omar Jussef zadrżał, a wyobraźnia podsunęła mu obraz Awdeha wyłaniającego się z mrocznego kąta ze złowieszczym uśmiechem. Dlaczego Mariam w ogóle o nim wspomniała? Pomyślał, że może chciała mu dać do zrozumienia, iż Izraelczycy dowiedzieli się o jego dochodzeniu, o podejrzeniach wobec Brygad Męczenników. Mogli przypuszczać, że Awdeh zechce się na niego zacząć, i przysłali żołnierzy, aby go schwytać.

- A czemu mieliby szukać Awdeha u nas?

- Nie u nas, naprzeciwno. Właśnie zamieszkał po drugiej stronie ulicy.

- W którym domu?

- Tym, w którym mieszkają Amdżad i Lejla.

Omar wyjrzał przez okno. Trzypiętrowy apartamentowiec, kilkanaście mieszkań, na dachu zbiorcza antena telewizyjna w kształcie wieży Eiffla. Przebiegł wzrokiem ciemne okna, czy nie zobaczy w którymś karakułowej czapy Awdeha.

- Nic o tym nie wiedziałem.

- Lejla mówiła mi wczoraj, że wprowadził się dwa dni temu. Bała się bardzo, że zaraz zjawią się żołnierze i wysadzą budynek w powietrze albo zaczną strzelać. Mówiła mi też, że prosiła Dżihada, żeby nie pozwalał swoim ludziom siedzieć w holu z bronią, kiedy kręcą się dzieci.

- A co on na to?

- Podobno zachował się bardzo uprzejmie i obiecał, że broń będą trzymali w mieszkaniu.

- To ładnie z jego strony.

- Zamieszkał ze swoją rodziną. Lejla powiedziała, że sprowadził żonę i dwoje dzieci.

Omarowi nigdy do głowy nie przyszło, że Dżihad Awdeh jest mężem i ojcem. Nie pomyślał też, że Dżihad może obejmować żonę i bawić się z dziećmi. Nie pasowało to do obrazu, jaki sobie stworzył. Mógł sobie ewentualnie wyobrazić, jak krzepki i żywiołowy Tamari dla zabawy mocuje się z synem, ale Awdeh bawiący się z dziećmi, Awdeh przy zwykłych, niewinnych zajęciach domowych - to mu się nie mieściło w głowie.

Zastanawiał się, czy Dżihad wie, że mieszka naprzeciwno nauczyciela ONZ-owskiej szkoły, który nie dalej jak wczoraj rzucił wyzwanie jego szefowi. Gdyby Mariam powiedziała, że Tamari zamieszkał w pobliżu, Omar też oczywiście by się tym przejął, ale nie tak bardzo jak wieścią o Dżihadzie Awdehu. Niezależnie od wszystkiego, co wiedział na temat udziału Tamariego w zabójstwie Louaia, wierzył, że wódz Brygad kieruje się jakimiś

zasadami, choćby plemiennym kodeksem honorowym. Natomiast Awdeh był całkowicie nieprzewidywalny. Było w nim coś pierwotnego, zwierzęcego, co przerażało Omara. Kiedy wchodził do kwatery Tamariego, miał poczucie bezpieczeństwa. Wiedział, że nic może mu się stać nic złego, bo Tamari nie splamiłby honoru rodziny i klanu, podnosząc rękę na gościa. A gdyby na miejscu Tamariego był Dżihad Awdeh - zadał sobie pytanie. Zastanowił się chwilę i uznał, że najpewniej postąpiłby tak samo, to znaczy poszedłby do niego. Ale chyba nie wyszedłby stamtąd żywy.

Koparka dotarła już do skraju drogi. Omar odsunął się od okna. Ciekawe, pomyślał, czy operator ma zamiar kopać dalej, przez cały dom.

- Omarze, twój pistolet! Żołnierze mogą wejść i go znajdą - powiedziała Mariam.

- Pistolet nie jest mój, a poza tym nie wygląda na to, aby chcieli przeszukiwać dom. Przecież nie będą tego robić koparką.

W tym momencie łyżka koparki wychynęła z rowu, a spod ziemi trysnęła fontanna wody.

- Uszkodzili rurę! - zawołała Mariam.

Strumień wody wystrzelił w ciemność, rozblyskując odbitym światłem księżyca, które z trudem przedzierało się przez gęste chmury. Wystrzelił i opadł. Łyżka jeszcze tylko raz zagłębiła się w rowie, po czym koparka zawróciła i zaczęła odjeżdżać w ciemność. Za nią ruszył transporter, a na końcu czołg. Maszyny skierowały się drogą na wzgórze, na tyły Dehajszy, do koszar w Bejt Sahur.

Mariam trzymała Omara za ramię, dopóki nie ucichł warkot silników, dopiero wtedy cofnęła się, a Omar pogładził jej dłoń. Trwali tak przez chwilę w ciszy i ciemności, aż nagle Mariam znów mocno chwyciła Omara za ramię.

- Co tak śmierdzi? - zawołała.

Rzeczywiście, w chłodnym nocnym powietrzu czuć było drażniący, wilgotny odór. W tej samej chwili, z dołu, z mieszkania Ramiza, dobiegł hałas. Dzieci płakały, Ramiz mówił coś do żony podniesionym głosem. Drzwi się otworzyły, dzieci pobiegły na górę. Omar wyszedł im naprzeciw. Najmłodsza wnuczka szlochała, Nadia objęła ramionami szyję siostrzyczki. Omar pogłaskał ją po policzku. Ramiz wszedł na schody z małym Omarem na rękę. Chłopczyk, na wpół rozbudzony, popłakiwał z cicha. Ramiz ułożył go na fotelu.

- Zalewa nas - rzucił do rodziców i pobiegł na dół.

Omar ruszył za synem. W piwnicy było co najmniej pół metra wody, dwa ostatnie stopnie schodów zostały już zalane. Odór nie pozostawiał wątpliwości - do sutereny dostały się ścieki z kanalizacji. Cała zawartość rury, którą uszkodziła koparka, spłynęła do piwnicy

Jussefów. Omar ściągnął pantofle i skarpetki, zwinął je w kłębek i razem z butami umieścił na piątym stopniu schodów. Zaczął brodzić w ciemnej brei. Ramiz i Sara ratowali, co się da. Wynieśli na górę materace dzieci i laptop Ramiza.

Omar otworzył drzwi na podwórze, znalazł jakąś patelnię i zaczął wygarniać wodę na zewnątrz. Plecy bolały go od wysiłku, gołe nogi zaczęły drętwieć w lodowatym błocie, od smrodu ścisnęło go w żołądku i miał wrażenie, że lada chwila zwymiotuje. Ale nie rezygnował. I nie widział nic absurdalnego w tym, że usiłuje wygarnąć błoto z domu za pomocą tak niewystarczającego narzędzia. Przecież od aresztowania George'a Saby nic innego nie robił. Od chwili gdy mała Zubejda przyszła do szkoły z wieścią o napadzie na dom George'a, przepelniał go gniew, lęk i frustracja. A teraz nieczystości z całego miasta spłynęły tu, do jego domu, i lepiły mu się do nóg, przyprawiając go o mdłości.

Przerwał, wyprostował się i spojrzał w ciemność. Jutro naprawią rurę, wszystko wyczyści się i posprząta, dzieci wrócą do siebie. Ale smród pozostanie, a gdy przymknie oczy, będzie miał wrażenie, że szlam lepi mu się do skóry. Omar Jussef był chory. Zbyt długo stał w lodowatej wodzie. Zanim przyjechała ekipa i zlikwidowała wyciek, zdołał wygarnąć wodę z piwnicy. Jedną patelnią, bo tylko to miał pod ręką. Nóg nie czuł, zeszywniałe kolana rwały go przy najmniejszym dotknięciu, plecy też miał obolałe, był trupio blady, a serce łomotało mu tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Mariam posłała męża na górę, żeby odpoczął, a sama zawołała sąsiadów, by pomogli. Wspólnie wygarnęli resztę ścieków i wyszorowali posadzkę, żeby choć częściowo usunąć smród. Omar położył się na łóżku. W plecach czuł taki ból, jakby jakiś mały człowieczek kopał go bez przerwy w takt pulsu. Będzie musiał przerwać dochodzenie na dzień lub dwa. Trzeba wezwać majstrów, naprawić szkody, a przede wszystkim wykurować się po tej nocy spędzonej w lodowatej wodzie. Tylko że miał mało czasu, a George Saba jeszcze mniej. Próbował się podnieść, żeby przynajmniej usiąść na łóżku, ale ból w plecach nie pozwalał. Opadł na poduszki, dygocząc z zimna, choć Mariam nastawiła gazowy grzejnik na cały regulator. W sypialni zrobiło się gorąco. Omar rozpiął koszulę aż po pępek. Pot spływał mu po piersi, a mimo to się trząsł. Właśnie. Marznie, gdy powinno mu być gorąco. Jest słaby, gdy powinien być silny i mocny, żeby bronić George'a. Pomyślał o przyjacielu siedzącym w lodowatej celi w podziemiach komendy policji i zadał sobie pytanie, co George powiedziałby, widząc go leżącego w rozpiętej koszuli przy rozpalonym grzejniku.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Lejla Salman, jego sąsiadka. Dorodna kobieta, zarabiała na życie jako sekretarka rektora miejscowego uniwersytetu. Omar lubił jej towarzystwo, a cenił ją zwłaszcza za to, że jako jedna z nielicznych jego znajomych bardziej

interesowała się historią sztuki, przepisami na pierożki kubbeh i archeologią niż intifadą. Dobiegała czterdziestki, a po ostatnim dziecku, cztery lata temu, przytyła, co też się Omarowi podobało. Podziwiał jej bujne, macierzyńskie kształty i myślał często, że chętnie by ją objął. Marzył, że Lejla przychodzi do niego do sypialni, tylko że w marzeniach nie miał gorączki, nie trząsał się z zimna i nie bolały go plecy. Lejla weszła, ubrana w stary, szary dres i różowe robocze rękawiczki. Niosła filiżankę kawy.

- Zaparzyłam, tak jak lubisz, kahwa sa'ada.

Omar znów spróbował usiąść, ale nie zdołał i opadł na poduszki. Lejla postawiła filiżankę na nocnym stoliku, wsparła się kolanem o łóżko, chwyciła Omara pod ramię i jednym ruchem podciągnęła do pozycji siedzącej. Omar krzyknął z bólu, ale obfity biust Lejli skutecznie stłumił głos. Wyzwał siebie w duchu od najgorszych, że tak żałośnie prezentuje się wobec obiektu swoich marzeń. Lejla przysiadła na brzegu łóżka, podała mu kawę.

- Umm Ramiz poprosiła mnie o pomoc. Straszny bałagan na dole.

Na dźwięk imienia żony Omarowi zrobiło się głupio. Zawstydził się nieprzystojnych myśli o sąsiadce. Napił się kawy i westchnął.

- Dziękuję, Lejla, dziękuję za wszystko.

- Nie ma co dziękować, Abu Ramizie, jesteśmy przecież sąsiadami.

Kawa była świetna, mocna, taka jak lubił. Wypił do końca, oddał filiżankę Lejli.

- Skoro mowa o sąsiadach... Słyszałem, że macie nowego lokatora w budynku. - Nie dość że w budynku, to na naszym piętrze! Jak pomyślę, że tuż za ścianą sypialni moich dzieci jest pełno broni i siedzą te typy, dostaję gęziej skórki.

- Typy? Słyszałem, że to Dżihad Awdeh z rodziną.

- To prawda, jest z żoną i dwojgiem dzieci. Tylko że cały czas kręci się tam mnóstwo ludzi, wszyscy uzbrojeni po zęby. Kiedy wczoraj zajechał tu czołg, myślałam, że to po nich albo żeby wysadzić nasz dom w powietrze. Jestem pewna, że się tak stanie.

- Jestem pewien, że do tego nie dojdzie.

- Chyba tylko ty tak uważasz, bo nawet ci ludzie z Brygad Męczenników przygotowują się na przyjście Izraelczyków.

- Jak to przygotowują? Fortyfikują mieszkanie?

- Nie, ale planują, gdzie uciec i gdzie się ukryć. Poszłam wczoraj do Awdeha, prosząc, żeby broń trzymali w mieszkaniu, a nie w korytarzu, gdzie dzieci się bawią. Odpowiedział bardzo uprzejmie, że mam rację, że zabiorą broń, żeby dzieci nie widziały. Zapytałam go wtedy, czy się nie boi, że Izraelczycy mogą w każdej chwili go aresztować.

- I co odpowiedział?

- Powiedział tak: „Lękasz się, siostrze, że sprowadzę wam Żydów na kark, prawda? Otóż nie martw się. Gdy tylko zjawią się w mieście, ja zniknę, żeby nie narażać domu. Przecież moja rodzina też tu mieszka, a zależy mi na jej bezpieczeństwie. Zamierzam ukryć się w Bazylice Narodzenia Pańskiego. Żydzi nie ośmielą się tam wejść, więc będę tam bezpieczny”.

- Ukryje się w bazylice? Nie ma szacunku dla niczego.

- To nie jest kwestia szacunku, Abu Ramizie. On prowadzi walkę na śmierć i życie i nie cofnie się przed niczym. Zejdzie do samej Groty Narodzenia, żeby tylko wymknąć się Żydom.

- I mnisi mu na to pozwolą?

- A co zrobią, gdy zagrozi im bronią? Nie każdy chce być męczennikiem. - Lejla wstała i zabrała filiżankę po kawie. - A poza tym jest jeszcze inna kwestia, którą zakonnicy muszą wziąć pod uwagę. Jeśli zamkną przed nim drzwi, to będzie wyglądało, że wszyscy chrześcijanie w mieście są przeciwko ruchowi oporu. Już teraz ludzie nazywają chrześcijan kolaborantami, a zamknięte drzwi świątyni uznają za dowód, że tak jest naprawdę.

Lejla wyszła. Omar słyszał, że poszła najpierw do kuchni, a potem na dół pomagać w sprzątaniu.

A więc Awdeh chce uciec do Bazyliki Narodzenia Pańskiego, gdy Izraelczycy przyjdą po niego. Jeśli zostanie ostrzeżony choćby kilka minut wcześniej, zniknie w wąskich uliczkach suku, a stamtąd będzie miał tylko krok przez plac Żłóbka do jednej z najważniejszych świątyń na świecie. Jeśli księża nie zdążą zamknąć bramy, znajdzie się w środku i będzie bezpieczny. Żołnierze na pewno tam za nim nie wejdą. Omar Jussef wyobraził sobie, jak świat potępiłby Izraelczyków, gdyby wszczęli strzelaninę w bazylice albo zabili Dżihada na krętych schodach wiodących w dół do Groty Narodzenia.

Ten plan mógł ocalić Awdeha, ale dla Betlejem oznaczało to klęskę. Jeśli Izraelczycy zdecydują się na szturm, zginie wielu księży. Jeśli zaś księża wyrzucą Awdeha z bazyliki, muzułmanie ruszą na chrześcijan. Omar zastanawiał się, czy nie powinien ostrzec księży, któregoś z hierarchów, poradzić, żeby trzymali bramy zamknięte. Postanowił, że pójdzie do Eliasa Biszary, kiedy tylko poczuje się lepiej.

Chciał się wyciągnąć - Lejla zostawiła go w pozycji siedzącej. Powoli osunął się z poduszki, ale plecy rozboleły go jeszcze bardziej. Z trudem przekręcił się na bok i leżał tak, dysząc ciężko z wysiłku i bólu.

W takiej pozycji znalazł go Chamis Zejdan. Zbliżał się wieczór, kiedy z dołu dobiegł tubalny głos policjanta i śmiech Mariam. Dzięki sąsiadom doprowadziła już dom do

porządku. Przeszła jej złość na żołnierzy, cieszyła się, że ma życzliwych przyjaciół. Omar wiedział, że Zejdan za chwilę przyjdzie na górę i próbował przekręcić się na plecy, ale bez skutku. Pocił się z wysiłku, kiedy komendant stanął przy jego łóżku.

- Marnie wyglądasz, Abu Ramizie. - Zejdan przysunął sobie krzesło do łóżka. Nie usiadł jednak, postanowił pomóc choremu przyjąć wygodniejszą pozycję. - Dam sobie radę - zaprotestował Omar.

- Nie gadaj. - Chamis podniósł przyjaciela, posadził na łóżku, podsunął poduszkę pod plecy.

- Zostaw mnie - obruszył się Omar.

Chamis był w dobrym humorze. Rozmowa z Mariam i kobietami w kuchni wprawiła go w miły nastrój.

- Przypomina mi się - zaczął, wymachując protezą - jak postrzelili mnie w plecy w Damaszku, gdy uciekałem z Jordanii podczas Czarnego Września. Opowiadałem ci już o tym? Nie? Sam król Jordanii chciał mnie aresztować. Przekraczałem granicę syryjską z Abu Bakrem, moim przyjacielem z Majdalu. Teraz pracuje w wywiadzie w Gazie. No więc, uciekaliśmy razem. Wiedzieliśmy, że depczą nam po piętach. Mnie dopadli przed samą granicą. Lekarze mówili później, że miałem dużo szczęścia, że kula nie trafiła w kręgosłup. Gdyby trafiła, byłbym teraz w gorszym stanie niż ty. Bo tak sobie myślę, że tylko ktoś z kulą w kręgosłupie wyglądałby gorzej niż ty - zaśmiał się.

- A co, ktoś chce mi wpakować kulę w plecy?

- Niewykluczone. - Chamis nagle spowaźniał.

- Przysłano cię do mnie z ostrzeżeniem?

- Nie jestem chłopcem na posyłki - odparł Chamis ze złością.

- Coś jednak komuś przekazałeś, skoro zabili Dimę Rahman.

- Ciągłe tak ci się wydaje? Naprawdę myślisz, że to, co mi powiedziałeś, powtórzyłem ludziom zdolnym do popełnienia morderstwa? Nigdy w życiu nie puściłbym pary z ust, a zresztą nie wiem, kto zabił Dimę Rahman.

- Jak to nie wiesz?

- Nie wiem. Gdybym wiedział i gdybym miał dowód, to aresztowałbym winnych. Mówiłem ci już, że podejrzewam zabójstwo w obronie honoru. Teść i szwagier mogli dojść do wniosku, że Dima ma kochankę, i zabili ją dla ratowania honoru jej zmarłego męża. Mogło być jeszcze inaczej: Dima wyszła z domu, żeby się z kimś spotkać, ów ktoś zaczął się do niej dobierać, a potem sprawy wymknęły się spod kontroli. Ale nie mam żadnych dowodów. Na razie.

- Kiedy pojechaliśmy oglądać ciało, powiedziałaś, że ta sprawa jest bardziej skomplikowana, niż mi się wydaje. Ukrywasz coś przede mną?

- Tylko dla twojego dobra.

- Wynoś się! Jeśli nie masz zamiaru rozmawiać ze mną szczerze, to wynoś się z mojego domu.

Chamis Zejdan popatrzył w milczeniu na chorego nauczyciela.

- Przyszedłem tu - odezwał się po chwili - żeby ci powiedzieć, że prezydent zatwierdził wyrok na George'a Sabę. Wyznaczono już datę egzekucji.

Omar zaniemówił.

- George zostanie stracony pojutrze w południe.

- Nie zdążę - wyrwało się Omarowi.

- Nie zdążysz? Nie zdążysz oczyścić jego imienia? Jemu nic już nie pomoże, Abu Ramizie. - Chamis położył zdrową rękę na nodze Omara. - Pomyśl lepiej o sobie i swojej rodzinie. Dla George'a nic już nie możesz zrobić.

Jeśli George ma zginąć w tak niegodny sposób, to niech i mnie założą opaskę na oczy i postawią przed plutonem egzekucyjnym, pomyślał Omar. Bo jak on zginie, to we mnie też coś umrze.

- Wyzdrowiej i wracaj do szkoły, Abu Ramizie.

- Jak to? - zdumiał się Omar. - Nie słyszałaś, że wybieram się na emeryturę?

- Twój amerykański szef, Steadman, opowiada teraz na prawo i lewo, że cię nie puści. Gada o tym bez przerwy. Dziś rano przyszedł nawet do nas, do komendy, żeby nam to oznajmić. Nie mam pojęcia, co mu powiedziałaś, ale wygląda na to, że zrobi wszystko, żebyś tylko został w szkole. Wystarczy snobowi wspomnieć o wrażliwości na odmienności kulturowe, a efekt murowany, pomyślał Omar. Gdyby czuł się trochę lepiej, z przyjemnością opowiedziałby Chamisowi, jak zakpił sobie z dyrektora. Gorączka jednak dawała mu się we znaki, a wizja rychłej egzekucji George'a sprawiła, że nie miał ochoty do żartów.

- Steadman powiedział także, że zwolnił zastępczynię i sam będzie prowadził twoją klasę, póki nie wrócisz. - Chamis wstał, poklepał Omara po udzie. - Muszę już iść. Niech Allah przywróci ci zdrowie. Wracaj szybko do szkoły, Abu Ramizie.

- Wróć. Zaraz jutro, z samego rana. Chamis uśmiechnął się na pożegnanie i wyszedł.

Omar marzył tylko o jednym: żeby plecy przestały go boleć. Miał niecałe dwa dni na ratowanie George'a. Może uda się przekonać sędziego, żeby zmienił wyrok? Weźmie webleya, weźmie łuski od MAG-a i pójdzie do niego. Może sędzia będzie pamiętał o spotkaniu na ONZ-owskiej imprezie?

Prezydent zatwierdził już wyrok. Poza Omarem nikomu nie zależy na wstrzymaniu egzekucji. Musi więc zrobić wszystko, co będzie mógł.

Zrobiło się ciemno i zimno. Cyfrowy budzik na stoliku przy łóżku wskazywał siódmą wieczór. Za czterdzieści jeden godzin George Saba stanie przed plutonem egzekucyjnym. Zostało naprawdę niewiele czasu. Omar przeciągnął palcami po twarzy. Znów spojrzął na zegar. Siódma jeden. Minęła zaledwie minuta, a Omar oczami duszy widział już pluton szykujący się do egzekucji. Siódma dwie - zbiera się tłum. Siódma trzy - rozlegają się werble. Siódma cztery... koniec. Omar miał gorzką świadomość, że w ciągu dwóch dni, jakie pozostały, z każdą upływającą minutą będzie na nowo przeżywał sądowy mord na przyjacielu. Chyba że uda mu się zatrzymać czas...

Zastanawiał się, w jakim kierunku prowadzić swoje dochodzenie. Może w samym akcie aresztowania George'a było coś, co świadczyłoby, że za sprawą stoi Tamari? Podobno George przyznał się do zarzutów. Ale czy naprawdę? Do tej pory cała wiedza Omara na temat aresztowania George'a ograniczała się do tego, co opowiedziała mu Chadidza Zubejda. A jak to naprawdę wyglądało? Co się działo, gdy policja weszła do domu Sabów? Ojciec Chadidzy był tam, na miejscu. Zaraz rano musi zapytać Chadidzę, gdzie może znaleźć jej ojca. Musi z nim porozmawiać. Poprosi, żeby mu opowiedział ze szczegółami o przebiegu aresztowania. Musi też ustalić, kto dowodził tą akcją. Był mroczny poranek. Deszcz wisiał w powietrzu. Omar Jussef czuł na twarzy lodowate podmuchy, gdy o świcie szedł do szkoły. Wieczorem zasnął wcześniej, nie zjadł nawet kolacji, tak był wyczerpany walką z powodzią w piwnicy i poprzednią bezsennością. Wstał też wcześniej, wziął prysznic, wygrzał obolałe plecy pod strumieniem gorącej wody. Ku własnemu zaskoczeniu czuł się znacznie lepiej i nawet mroźny wiatr i mrok deszczowego poranka nie robiły na nim wrażenia. Czasu na ocalenie George'a Saby zostało niewiele i po raz pierwszy od wielu dni Omar czuł się silny i zdecydowany. Jakby odmłodził.

Dochodziła siódma. Za kwadrans zaczną się schodzić uczennice. Jeśli Chamis Zejdan miał rzetelne informacje, to Steadman powinien o tej porze siedzieć w gabinecie historycznym, powtarzać słówka arabskie i przygotowywać się do lekcji. Biedny głupiec wystawi się na kpiny, usiłując mówić po arabsku, a odpowiedzi uczennic i tak nie zrozumie, bo młodzież mówiła swoją gwarą. Widać głęboko zapadł mu w pamięć wykład Omara o kulturowej niewrażliwości, ale jego wysiłki pójdą na marne. Dowie się o tym pod koniec miesiąca, kiedy Omar oznajmi, że nie rezygnuje, przeciwnie, zamierza pracować jeszcze długie lata. Będzie uczył dziewczęta z Dehajszy historii i odkrywał przed nimi bogactwo kultury ojczystej jeszcze długo potem, gdy Steadman wyjedzie na kolejną placówkę ONZ-

owską, na somalijską wieś albo do Bośni, uczyć arabskiego miejscowych muzułmanów. Omar uśmiechnął się do własnych myśli - Steadman będzie uczył arabskiego i będzie się uważał za wybitnego specjalistę w tej dziedzinie.

Omar Jussef dochodził już do szkoły. Kamienna mapa Palestyny tak się wtopiła w ołowiane niebo, że przez moment wydawało mu się, że jej nie ma, i zaczął podejrzewać, że Izraelczycy wywieźli ją nocą. Doznał rozczarowania, gdy stwierdził jednak, że kamień nadal stoi, i wbrew sobie przystanął, jak niemal zawsze, by odszukać wzrokiem wioskę, w której się urodził. Kamień postawiono tu właśnie po to, aby umacniać marzenia o powrocie do dawnych miejsc, do wiosek, które przestały istnieć i zachowały się tylko w sentymentalnych wspomnieniach wzruszających starców, a młodym wiszą jak kamień u szyi. Omar Jussef nienawidził tej rzeźby.

Wybuch uderzył Omara jak potężna pięść. Rzucił go na chodnik przed szkołą. Usiadł oszołomiony i zaczął się rozglądać. Chmura czarnego dymu buchała od wejścia do szkoły, niosąc woń spalenizny. Oprzytomniał. Wydawało mu się zrazu, że znalazł się w samym centrum eksplozji - tak silny był podmuch. Miał wrażenie, jakby potężna fala uderzyła go prosto w klatkę piersiową. Ale serce biło normalnie. Uświadomił sobie, że eksplozja nastąpiła nie na zewnątrz, ale w samej szkole. Kto mógł już być o tej porze? Wafa? Chyba nie, zwykle przychodzi później. Woźny? Pewnie sprząta, bo nie widać go przy wejściu.

Wyteżył wzrok. Plastikowe krzesło, na którym siadywał woźny, stało puste. I w tym momencie usłyszał kasłanie. Woźny wypełził z chmury czarnego dymu. Omar pochylił się nad nim, nie zwracając uwagi na dotkliwy ból w plecach. Woźny miał osmaloną twarz, z nosa ciekła mu krew.

- Abu Ramizie, pan tutaj? - zawołał zaskoczony.

- Co się stało?

- Bomba wybuchła w pańskiej klasie, Abu Ramizie. Pan Christopher tam został - odpowiedział woźny i znów zaniósł się kaszlem. Omar wyciągnął go na ulicę i zostawił pod opieką dwóch dziewcząt, które właśnie nadeszły.

- Niech któraś z was skoczy do piekarni naprzeciwko i zadzwoni po pogotowie - polecił, a sam wszedł do szkoły.

Skierował się w stronę swojej klasy. Okna wybite od wybuchu, ściana po lewej stronie korytarza zrujnowana. Pod stopami Omara chrzęściło szkło, dym gryzł w gardło. Wyjął chusteczkę z kieszeni, zasłonił usta i nos. Woń spalenizny okazała się silniejsza od zapachu wody kolońskiej, którą co rano skrapiał chustkę. Zaczął kaszleć.

Drzwi do gabinetu historycznego wisiały na jednym zawiasie, grożąc zerwaniem. Omar popchnął je i zajrzał do środka. Półki z książkami płonęły, ławki przewracane. Z jego nauczycielskiego biurka zostały tylko drzazgi. Tuż za biurkiem Omar ujrzał rękę. Palce były zaciśnięte, jakby właściciel ręki rozpaczliwie usiłował wbić paznokcie w linoleum przykrywające podłogę. Omar, zaszokowany, opuścił rękę. Zaniósł się kaszlem, gdy gryzący dym wdarł się do płuc. Przyłożył chusteczkę do ust. Patrzył na oderwaną od ciała rękę na podłodze. Musiała należeć do Steadmana. Woźny mówił, że dyrektor był w tej właśnie sali. Przygotowywał się do wykładu.

Omar przestąpił resztki biurka. Chmura dymu unosząca się za ręką zrzędła i dostrzegł zwłoki Steadmana. Koszula Amerykanina spaliła się od wybuchu, odsłaniając bladą, ale mocno osmaloną i pokrwawioną skórę na piersiach i brzuchu. Ciało leżało wsparte o półkę z książkami, głowa odrzucona była do tyłu, usta na pół otwarte. Wyglądało, jakby Steadman drzemał, pochrapując z cicha. Omarowi przemknęło przez myśl, że Amerykanin jeszcze żyje. Musiał odsunąć ciało od płonących książek, zanim zajmą się włosy, a dym wypełni płuca. Złapał Steadmana za tułów i zaczął ciągnąć ku drzwiom. Amerykanin był ciężki. W pewnej chwili jego głowa odchyliła się i wtedy Omar zobaczył, że Steadman nie ma lewej strony twarzy. Rękę też urwało z lewej strony. Niebieskie oczy były otwarte. Omar niemal upuścił ciało, gdy zobaczył martwy, pusty jak u cielęcia wyraz oczu. Zdał sobie sprawę, że Amerykanin nie żyje, jednakże wyciągnął ciało na korytarz. Pot zmieszany z gryzącym dymem piekł go w oczy.

Trzech chłopców przybiegło od wejścia. Pomogli Omarowi przeciągnąć zwłoki przez korytarz ku drzwiom.

- Co się stało, *ustaz*? - pytali jeden przez drugiego. - Dyrektor nie żyje?

Ułożyli ciało Christophera Steadmana na podeście schodów wiodących do budynku szkolnego. Omar dla świętego spokoju sprawdził puls, a potem zdjął płaszcz i przykrył nagi tors, oskalpowaną czaszkę i bark bez ręki, żeby zaoszczędzić tego widoku uczniom, którzy właśnie zaczęli się schodzić. To już drugi płaszcz, z którym się rozstawał w ciągu dwóch dni. Pierwszy dostał się człowiekowi żywemu, ale skazanemu na śmierć, drugi - zwłokom. Gdy ochłonął po wysiłku, Omar znów poczuł zimno. Zbyt dużo śmierci jak na jego garderobę. Dwa płaszcze stały się całunami. Ciekawe, czy ostatnie, trzecie okrycie, które wisi w domu na wieszaku, posłuży za całun dla jego ciała. Była to czarna kurtka, a więc odpowiednia na taką okazję.

Zajechała karetka na sygnale. Trzech medyków utorowało sobie drogę przez gęstniejący tłum dzieciaków. Chcieli zdjąć płaszcz z ciała, ale Omar ich powstrzymał.

- Później, w karetce. Okażmy szacunek zmarłemu. Zgodzili się. Umieścili ciało na pomarańczowych noszach, dwóch przeniosło zwłoki do karetki, a trzeci zajął się woźnym. Omar myślał o zmarłym. Za życia Steadman był wyniosły, na co Omar reagował kpina. Teraz tylko on zatroszczył się o szacunek dla zmarłego dyrektora.

Przybyły wozy straży pożarnej. Strażacy rozwinęli węże, zaczęli wygaszać pożar na korytarzu i w gabinecie historycznym.

Gromadka uczniów i uczennic rosła. Kilkoro płakało, większość jednak patrzyła tylko ze smutkiem, zachowując milczenie. Omar wszedł na schody i zwrócił się do młodzieży.

- Dyrektor Steadman nie żyje. Nie wiadomo jeszcze, co się tu stało, ale jak sami widzicie, zajęć nie będzie. Idźcie do domu i zawiadomcie uczniów z drugiej zmiany, żeby dziś nie przychodzili. Dzieci zaczęły się rozchodzić i wtedy przed szkołę zajechały dwa policyjne dżipy - Chamis Zejdan ze swoimi ludźmi. Komendant zdawał się zaskoczony, że to Omar stoi w drzwiach szkoły, wydając dzieciom polecenia. Wtedy Omarowi otworzyły się oczy. Ładunek wybuchowy w gabinecie historycznym nie był przeznaczony dla Steadmana. Nikomu przecież nie zależało na jego śmierci. Celem zamachu był on, Omar Jussef.

- Abu Ramizie, co się tu stało? - zapytał Chamis.

- Podłożono bombę. Wybuchła w gabinecie historycznym, w którym akurat przebywał Steadman. Przygotowywał się do wykładu. Zginął na miejscu. Kilka minut temu ciało zabrała karetka.

- A dlaczego Amerykanin miał prowadzić lekcję w twojej klasie?

Omar odniósł wrażenie, że w głosie dawnego przyjaciela zabrzmiała nuta rozczarowania. Przypomniawszy sobie, że nie dalej jak wczoraj wieczorem zapewniał go, iż rano stawi się w szkole i poprowadzi lekcje. Czy to znaczy, że bombę podłożył Chamis? A może dał komuś znać, tak jak w sprawie śmierci Dimy Abdel Rahman? Omar poczuł nagle, że się dusi, zaczął kasłać, aż łzy napłynęły mu do oczu. Zejdan z troską podtrzymał go pod ramię, ale Omar strząsnął rękę komendanta.

- Postanowił mnie zastąpić, ponieważ tłumaczyłem mu, że zatrudnienie kogoś z zewnątrz na zastępstwo całej klasy potraktuje jako zamierzony nietakt wobec mojej osoby.

- Wziął więc twoją klasę na twoją prośbę?

- Niezupełnie, ale tak wyszło.

- Tak wyszło... - Chamis spojrzał z ukosa na Omara. Jego wzrok nie wróżył niczego dobrego.

- Sugerujesz, że to ja zorganizowałem zamach? - spytał Omar ze złością.

- Steadman chciał się ciebie pozbyć, prawda? Niezależnie od tego, co ostatnio mówił, chciał cię zmusić do rezygnacji z pracy w szkole.

- Chyba oszalałeś.

- Wiem jedno, Abu Ramizie. Wdałeś się ostatnio w różne dziwne sprawy. Nie wiem, z kim spiskujesz, nie wiem, czy ktoś cię do czegoś nakłania, ale wiem, że dwa dni temu byłeś u Husajna Tamariego.

- Kazałeś mnie śledzić.

- Niech ci wystarczy, że mam oko na to, kto bywa u Tamariego. Co tam robiłeś?

- Doskonale wiesz, że chciałem pomóc George'owi Sabie. Chyba nie sądzisz, że poszedłem do Tamariego, żeby załatwić Amerykanina? A w ogóle to czemu nie aresztujesz winnych zabójstwa Louaia i Dimy Rahmanów? Ci sami ludzie wrobili Sabę, a teraz podłożyli bombę w szkole. Czy ty nie rozumiesz, że to mnie chcieli zabić? Sądzili, że o tej porze będę już w klasie. Między nami mówiąc, właśnie ty o tym wiedziałeś.

- Niby o czym?

- Ze przyjdę do szkoły. Mówiłem ci wczoraj, że wracam do pracy i od rana zaczynam lekcje.

- Nie wziąłem tego poważnie. Nie sądziłem, że w ogóle zwleczesz się z łóżka, ale widać jesteś silniejszy, niż mi się wydawało. - Zejdan odwrócił się i zatrzymał przechodzącego strażaka.

- Pożar opanowany?

- Tak, można tam już wejść.

- Posłuchaj, Abu Ramizie, co ci powiem. Skończmy z tymi wzajemnymi podejrzeniami - rzekł Chamis cichym głosem. - Przestańmy się kłócić. Ty zajmij się personelem szkoły, zarządzaj sprzątanie, ja pójde obejrzeć miejsce wybuchu.

Chamis wszedł do szkoły z połową swoich ludzi. Reszta ustawiła się półkolem, zabezpieczając wejście. Za ich plecami kręciło się kilkoro uczniów i uczennic. Wśród policjantów Omar dostrzegł ojca Chadidży Zubejdy. Wczoraj postanowił, że odszuka policjanta, i oto los mu go zesłał. Podeszedł i wyciągnął rękę na powitanie.

- Radosnego poranka, *ustaz* - powiedział przyjaźnie policjant.

- Niech ci słońce świeci, Mahmudzie. Możemy porozmawiać? Weszli do szkoły, przeszli obok zrujnowanej klasy, gdzie koledzy Mahmuda badali miejsce wybuchu. Dla niego to nic nowego, pomyślał Omar. Pewnie nieraz widział coś podobnego. Nawet nie drgnie, choć to przecież klasa jego córki.

Weszli do gabinetu Steadmana. Omar zamknął drzwi i gestem zaprosił Mahmuda, żeby usiadł. Policjant nie wiedział, co zrobić z kałasznikowem. Próbował umieścić broń na kolanach, ale przeszkadzały poręcze fotela, więc w końcu położył karabin na podłodze i niepewnym gestem przyglądził czarne wąsy. Potem zdjął beret i zaczął go miąć w rękach jak chłop pańszczyźniany stojący przed dziedzicem. Omar nie usiadł. Stał za biurkiem.

- Najpierw, Mahmudzie, chciałbym ci podziękować, że pozwoliłeś mi zostać na sali sądowej po rozprawie...

- Nie ma o czym mówić, *ustaz*. A ten starzec, z którym pan rozmawiał, to ojciec tego kolaboranta, prawda? Widziałem, jak płakał.

- Tak, to mój przyjaciel.

- Nawet jeśli syn okazał się kolaborantem, to trzeba uszanować uczucia ojca. Allah uczy, że nie należy winić ojców za czyny dzieci.

- Właśnie - zawtórował Omar. - Chciałbym, Mahmudzie, żebyś mi opowiedział o aresztowaniu George'a Saby. Wiem od Chadidży, że byłeś na miejscu, więc opowiedz, co tam się działo, bardzo jestem ciekaw.

- Dlaczego? Czemu pan się tym interesuje, *ustaz*?

- Posłuchaj mnie, Mahmudzie. Stało się dziś coś strasznego, i to w klasie, do której chodzi twoja córka. Rozumiesz chyba, że nie mogę ci wszystkiego powiedzieć. To, co wiem, muszę przedstawić najpierw komendantowi Zejdanowi. Mam jednak powody przypuszczać, że śmierć Steadmana może mieć związek ze sprawą George'a Saby.

- Co pan mówi? Cóż kolaborant miałby mieć wspólnego z zamachem na dyrektora szkoły?

- To skomplikowana sprawa, Mahmudzie. Ale w interesie własnej córki opowiedz mi o aresztowaniu.

Mahmud Zubejda spojrział niepewnie. Denerwował się, nie wiedząc, czy posłuchać Omara. Prostak, pomyślał Omar, boi się, że rozmawiając ze mną, narazi się Chamisowi albo nawet Tamariemu. Jednocześnie, jak to prosty człowiek, czuje respekt przed kimś, kto stoi za biurkiem i zwraca się do niego rozkazującym tonem.

- A więc - zaczął Zubejda - pojechaliśmy do Bejt Dżala o świcie. Trzy dzipy ludzi. Wysadziliśmy drzwi. Nie pukaliśmy, bo dowódca mówił, że ten George Saba jest bardzo niebezpieczny, że może zacząć się ostrzeliwać albo popełnić samobójstwo, łykając kapsułkę z cyjankiem. Żydzi dają truciznę swoim agentom, żeby ją zażyli w razie wpadki.

- Kto wami dowodził?

- Major Awdeh.

- Dżihad Awdeh?
- Tak, major Dżihad.
- Jest majorem?
- W służbie prewencyjnej. Tego dnia pracowaliśmy wspólnie z nimi.
- Weszliście do środka i co dalej?
- Postawiliśmy chrześcijanina pod ścianą.
- Stawiał opór?
- A skąd, to tchórz, był wystraszony.
- Przyznał się?
- Z miejsca. Powiedział: „Wiem, o co chodzi”.
- Czy major Dżihad przedstawił mu zarzuty?
- Tak. Że pomógł siłom okupacyjnym w zabójstwie Louaia Abdel Rahmana.
- I George Saba się przyznał?
- Tak.
- A więc Dżihad Awdeh przedstawił zarzuty, a George Saba powiedział na to: „Wiem, o co chodzi”. Dobrze rozumiem, tak to było?
- No, niezupełnie - odparł Mahmud Zubejda z wahaniem. - Przyznał się, zanim major go oskarżył.
- Mógł więc mieć coś innego na myśli.
- Nie rozumiem, *ustaz*.
- Powiedział, że wie, dlaczego go aresztują, tylko że powód, o którym myślał, był zupełnie inny. Powiedz mi, czy Saba robił wrażenie zaskoczonego, gdy major Dżihad przedstawił zarzuty.
- Nie pamiętam, przykro mi, *ustaz*.
- Czy major Dżihad mówił coś jeszcze?
- Nie przypominam sobie, ale chyba nie.
- Wzięliście Sabę do dżipa.
- Tak, ja sam zawiozłem go do więzienia.
- Był spokojny?
- Siedział jak tchórz i był bardzo wylękniony. - Zubejda zaśmiał się na wspomnienie aresztowania, odsłaniając poząłkłe od betelu zęby. - Major Dżihad go wystraszył.
- Jak?

- Gdy wyprowadzaliśmy go z domu, major pokazał mu tak. - Policjant przeciągnął palcem po szyi w geście oznaczającym podcinanie gardła i znów zaśmiał się, szczerząc zęby jak kretyn. - Chrześcijanin zbladł jak kreda.

Omar przypomniał sobie, co George mówił mu w więzieniu. Taki sam gest Dżihad uczynił owej nocy, gdy Saba przepędzał jego i Tamariego z dachu swego domu. Przypomniał też sobie, jaki lęk ogarnął go, gdy Dżihad wdał się z nim w utarczkę słowną u Tamariego. Mógł sobie wyobrazić przerażenie George'a, gdy Awdeh dał mu do zrozumienia, że zemsta będzie krwawa.

- Dziękuję ci, Mahmudzie. - Omar usiadł na fotelu Steadmiana na znak, że rozmowa skończona. - Wracaj na służbę, zanim brygadier Zejdan zacznie o ciebie pytać.

- Tak jest, *ustaz*. Dziękuję. - Policjant wstał, naciągnął beret na czoło.

Gdy tylko zniknął za drzwiami, do gabinetu weszła sekretarka.

- Bądź pozdrowiony, Abu Ramizie.

- Podwójne pozdrowienia dla ciebie, Wafu.

- Zajmiesz się remontem szkoły?

Omar położył ręce na biurku. Nie mógł tracić czasu na najmowanie robotników i zawiadamianie nauczycieli. Do zapowiedzianej egzekucji George'a Saby zostało już tylko dwadzieścia osiem godzin. Ale nie wiedział, co naprawdę począć. Potrzebna mu była pomoc policji, ale Chamis Zejdan niechętnie odnosi się do jego starań, a może nawet chroni przestępców. A z nikim innym nie było sensu rozmawiać. Przedstawiciele władz w mieście i tak odeślą go do Zejdana albo poradzą, żeby dał sobie spokój, bo narazi się Brygadam Męczenników. Tylko że Brygadam już się naraził, czego najlepszym dowodem jest zrujnowana klasa i śmierć Amerykanina. W tej sytuacji, pomyślał, najrozsądniej będzie zostać w szkole, gdzie są policjanci. Nawet jeśli - jak podejrzewał - Chamis Zejdan działa ręką w rękę z zabójcami, to nikt nie odważy się na morderstwo tu, w szkole, gdzie pełno jest śledczych, robotników i nauczycieli. Postanowił więc zostać na miejscu i jeszcze raz przemyśleć wszystko od początku do końca.

- Wafa, powiedz nauczycielom, żeby sprawdzili swoje klasy i zgłosili ewentualne uszkodzenia. Ja tymczasem zadzwonię do przedstawicielstwa UNRWA w Jerozolimie, żeby przysłali ekipę remontową.

- A jak myślisz, czy przyślą nam znów jakiegoś Amerykanina na dyrektora?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

- Sądzę, że teraz nie musisz już myśleć o emeryturze - zaśmiała się.

- Wafa, jesteś okropna. Zaśmiała się jeszcze raz i wyszła.

Omar został sam. Ciszę zakłócały tylko dobiegające z korytarza przytłumione głosy policjantów dokumentujących miejsce wybuchu. Wafa ma rację, myślał, nie ma już dyrektora, który chce się go pozbyć. Dupek z wydziału oświaty będzie musiał zacząć wszystko od początku - urabiać nowego dyrektora. Tylko że tym razem Omar Jussef będzie przygotowany, nie da się wyrzucić. Jak za dotknięciem różdżki roztoczyła się przed nim perspektywa dalszej pracy. Po raz pierwszy od czasu, gdy Steadman zaczął naciskać, by zrezygnował, miał poczucie bezpieczeństwa zawodowego. Ale, przemknęło mu przez myśl, może je stracić, jeśli nadal będzie próbował oczyścić George'a z zarzutów. Zawstydził się natychmiast, gdy o tym pomyślał, ale świadomość, że tak właśnie jest, pozostała.

Włączył radio, które Steadman trzymał na półce za biurkiem. Nastawił na lokalną stację rządową. Może ogłoszą, że George Saba został ułaskawiony, a nawet jeśli będą złe wiadomości, warto posłuchać. Może powiedzą coś o zamachu w szkole. A w ogóle to musi się zastanowić, co robić dalej. Na razie podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer przedstawicielstwa ONZ w Jerozolimie.

ROZDZIAŁ 20

W Radiu Betlejem przerwano poranny program dyskusyjny, aby nadać pilną wiadomość o nowym męczenniku. Ów męczennik - oznajmił spiker - poświęcił swoje życie, wysadzając się w powietrze w Jerozolimie. Miejscem męczeństwa była ulica tuż przy bazarze Mahaneh Jehuda. Więcej szczegółów na razie nie podano, ale spiker zapowiedział rychły powrót na antenę, gdy znane będzie nazwisko męczennika oraz liczba „okupantów” zabitych w samobójczym zamachu. Mówił poważnym tonem, ale w jego głosie pobrzmiwały nuty podniecenia.

Omar czekał w gabinecie Christophera Steadmana na telefon z siedziby ONZ w Jerozolimie z informacją, kiedy zjawi się ekipa remontowa, aby naprawić zniszczenia po porannym wybuchu. Policja już skończyła swoje czynności, młodzież wróciła do domów, w budynku panowała cisza.

Na antenie tymczasem wznowiono program dyskusyjny. Spekulowano na temat pochodzenia męczennika z Jerozolimy. Jeden z komentatorów wyraził pogląd, że obecnie najłatwiej przeniknąć do Jerozolimy z Ram Allah, więc jego zdaniem zamachowiec samobójca musiał pochodzić właśnie stamtąd. Z Betlejem raczej nie, ponieważ wokół miasta znajdują się liczne posterunki izraelskie. Izraelczycy obserwują zwłaszcza skraj Bejt Dżala, skąd bojownicy prowadzą ostrzał żydowskich pozycji na wzgórzach po przeciwnej stronie doliny. W tej sytuacji trudno z tej strony przedrzeć się w głąb terytorium wroga. I znów przerwano dyskusję, a spiker podał, że w porannym zamachu zginęło co najmniej ośmiu

okupantów. Omar skrzywił się. Jacy okupanci? Zwyczajni ludzie, którzy robili zakupy na tanim bazarze.

Omar był kiedyś na tym bazarze. Nie podobał mu się brud, hałas i tłum, który zdawał się nienawidzić Arabów bardziej niż zwykle. Było to wiele lat temu. Ale ludzie, których zabił zamachowiec, mieli pewnie takie same twarze jak tamci sprzed lat i wiedli takie samo zwyczajne życie. Bez względu na to, co mówiły władze, nie widział w nich „okupantów”. Nie znosił propagandowych frazesów. Używano takich słów świadomie, aby słuchacze nie myśleli o zwykłym ludzkim dramacie, o tym, że zginął czyjś mąż, czyjaś żona, czyjś dziadek. Kiedy podadzą nazwisko zamachowca, w jego rodzinnym domu zaczną się uroczystości - trzeba przecież uczcić męczeńską śmierć. Zaraz też, myślał Omar, zjawią się ci, którzy młodego człowieka posłali na śmierć, i zaczną strzelać w powietrze z kałasznikowów. A rodzina co ma czcić? Stratę syna? Perspektywę straty domu? Bo przecież niebawem zjawi się wojsko i zburzy dom w odwecie za zamach.

Ścianę naprzeciwko biurka, przy którym siedział Omar, wypełniały cztery regały pełne akt. Kiedy tu przychodził za życia Steadmana, siadał zazwyczaj plecami do regałów i nie zwracał na nie uwagi. Teraz zaś, patrząc na szuflady pełne dokumentów, pomyślał, że pozbawione właściciela mogą jakby w proteście wysypać się na biurko, pogrążając je w powodzi gromadzonych przez lata, bezużytecznych papierów.

Jął wodzić palcem po wywieszkach informujących o zawartości poszczególnych regałów. W dwóch pierwszych znajdowały się arkusze ocen uczniów, w trzeciej - szkolne rachunki i faktury. Wywieszka na czwartym i ostatnim głosiła: „Akta osobowe”. Ukląkł i otworzył szufladę na samym dole. Wyszukał teczkę z napisem: SIRFJAN OMAR JUSSEF SUBHI.

Zawahał się, bo Wafa mogła w każdej chwili wejść do gabinetu i zobaczyć, że grzebie w poufnych dokumentach. Machnął jednak ręką. Wafa nie wyglądała na zasmuconą śmierci Steadmana, a gdyby do gabinetu wszedł ktoś obcy, to i tak nie zorientuje się, co jest w szufladzie.

Wyjął swoją teczkę. Była wyjątkowo gruba, na oko dziesięć centymetrów. Musiał użyć obu rąk, żeby ją wydobyć. Brzegi dokumentów wpiętych w teczkę były brudne od wielu palców, które ich dotykały. Omar odniósł wrażenie, że po jego teczkę sięgano znacznie częściej niż po akta innych nauczycieli. Zamknął szufladę nogą, a teczkę położył na biurku.

Usiadł i zaczął ją przeglądać. Pierwsze kartki to było jego podanie o przyjęcie do pracy w szkole UNRWA oraz opinie z poprzedniej placówki - szkoły braci lasalianów. Do podania przypięte było zardzewiałym spinaczem jego zdjęcie, czarno-białe, ale i tak nie

pozostawiało wątpliwości, że wówczas, kiedy je zrobiono, wąsy miał szpakowate, a nie całkiem siwe jak obecnie. Było to zaledwie dziesięć lat temu. Przesunął palcami po wąsach na zdjęciu, a następnie dotknął siwego zarostu pod nosem. Może powinien je zgolić? Z siwymi wąsami wyglądał na starszego, niż był. Resztką włosów na głowie też jaśniała siwizną. Kto wie, może Steadman nalegał na jego rezygnację z pracy właśnie dlatego, że wyglądał na emeryta? Jeśli zgoli wąsy i ufarbuje włosy, to na nowym dyrektorze nie zrobi wrażenia starca, którego trzeba się pozbyć, aby zwolnić miejsce dla kogoś młodszego. Wziął ołówek i zamazał wąsy na zdjęciu. Piórem zmienił kolor włosów. Oceniał rezultat. Bez wąsów i z ciemnymi włosami wyglądał na mniej więcej czterdzieści pięć lat. Nieźle. I wtedy uprzytomnił sobie, że gdy robił to zdjęcie, miał właśnie tyle - czterdzieści pięć lat. Z satysfakcją wspominał, że również wtedy zaczął porządkować swoje życie. Opuszkami palców przesunął pod oczami i wyczuł zwiotczałą skórę. Pochylił się nad zdjęciem i obejrzał je uważnie. Dziesięć lat temu miał jednak głębsze wory pod oczami. I nic dziwnego. Sypiał wtedy mało, a często gęsto, gdy wlał w siebie za dużo whisky, w ogóle się nie kładł. Poprosi Mariam, żeby mu kupiła farbę do włosów, a wąsy zgoli.

Zaczął teraz czytać opinię, jaką wystawili mu lasalianie. Dyrektor, stary Brahim, z którym wspólnie przepracowali dwadzieścia lat, napisał, że powodem zwolnienia Omara Jussefa były cięcia budżetowe. Omar podziękował mu w duchu, że nie wspominał w piśmie, iż musiał go wyrzucić, bo domagał się tego Abu Sway - inspektor z wydziału oświaty.

Następna kartka to opinia wystawiona przez pierwszego dyrektora szkoły UNRWA, Irlandczyka o nazwisku Fergus. Omar bardzo go lubił, a Fergus ocenił go bardzo wysoko. Na dłużej zatrzymał się przy następnej ocenie wystawionej przez następczynię Fergusa, a jednocześnie poprzedniczkę Steadmana, Hiszpankę Pilar. Omar dość miło wspominał jej czteroletnią kadencję. Była od niego nieco młodsza i pamiętał, że często opowiadali sobie dowcipy, a nawet trochę flirtowali ze sobą. Śmiała się jak nastolatka, gdy prawił jej komplementy, że wspaniale wygląda w apaszcze od Gucciego i okularach Fendiego. Była niezamężna i często przychodziła do Omarów na kolację. Tymczasem ocena, jaką mu wystawiła, była wręcz druzgocząca. Pisała, że jest zbyt stary, aby nauczyć się nowoczesnych metod pedagogicznych, że nie wdraża nowego programu wprowadzonego przez prezydenta, gdy władze palestyńskie przejęły sprawy oświaty od izraelskiej administracji cywilnej.

Zaczął kartkować dalej. Znalazł jeszcze jedną, równie negatywną ocenę sporządzoną przez Pilar i list, który skierowała do Steadmana, gdy rok temu przekazywała mu dyrekcję szkoły. Pisała w nim, że Omar Jussef jest trudnym pracownikiem i że rozpoczęła starania w wydziale oświaty, aby go zwolnić. Niewykluczone - pomyślał Omar - że Abu Sway posłużył

się tym listem, aby wymóc na Steadmanie decyzję o jego zwolnieniu. Amerykanin tymczasem zrobił wszystko, co w jego mocy, aby umożliwić Omarowi honorowe odejście. Następnie do teczki wpięto liczne listy od rodziców skarżących się, że Omar wypowiada się w sposób negatywny o życiu politycznym w Betlejem i że często każe dzieciom zostawać po lekcjach w szkole. Jednej tylko rzeczy w teczce nie było, a mianowicie opinii Steadmana.

Omar zamknął teczkę. Był wstrząśnięty. Mylił się co do Steadmana. Żałował teraz gorzko niesprawiedliwych słów pod jego adresem i żartów, jak ten o niemyciu się w ramadanie.

Głośno poprosił Amerykanina o wybaczenie. Ale ten człowiek już nie żył i nie było możliwości, aby teraz okazać mu szacunek. Każde niechętnie słowo i zdanie, które wypowiedział pod jego adresem, zdawało się teraz wracać i razić jak celnie wymierzony policzek. Zaczął rozważać, czy nie przeszukać osobistych papierów Steadmana. Mógłby odszukać numer telefonu jego rodziców w Stanach Zjednoczonych i zadzwonić do nich z wiadomością o śmierci syna. Zrezygnował jednak, uświadamiając sobie, że tym zajmie się ktoś z przedstawicielstwa UNRWA w Jerozolimie.

Smutek, że tak bardzo mylił się co do Steadmana, potęgował złość na Hiszpankę. Jak mogła być tak dwulicowa? Do tej pory uważał, że tylko tacy ludzie jak Chamis Zejdan czy Husajn Tamari są zdolni do prowadzenia podwójnej gry. Ale ona? Przecież była tylko nauczycielką. Dlaczego miałby się jej strzec? A właśnie ona go zdradziła i to napawało go obrzydzeniem. Czy nie dość, że dochodzenie w sprawie George'a Saby zawiodło go w mroczne zaułki, gdzie zewsząd czyhało nań niebezpieczeństwo? Przez chwilę rozważał, czy nie napisać do Hiszpanki listu, aby wyrazić oburzenie, ale zdał sobie sprawę, że przecież papiery, które czytał, miały charakter poufny i nie były przeznaczone dla niego. Jakże więc polemizować z tym, co zawierały? Poza tym jeśli te dokumenty ujawniały prawdziwą naturę Pilar, to nie ma wątpliwości, że posłużyłaby się takim listem, aby spowodować jego zwolnienie pod zarzutem naruszenia tajemnicy służbowej. A może jej negatywna ocena miała inną przyczynę? Może irytowały ją próby flirtu? A może przeciwnie - poczuła się urażona, że nigdy nie posunął się dalej? To też możliwe. Kobiety z Europy często zachowywały się tak swobodnie, że wielu jego rodaków, nawet tolerancyjnych, czuło się wręcz zaszokowanych. Mając tak wspaniałą żonę jak Mariam, Omar nigdy nie miał do czynienia z głęboko ukrywanym gniewem i potrzeby wnikania w tajone pragnienia samotnej damy.

Nie zastanawiając się dłużej, wyjął z teczki wszystkie arkusiki niebieskiego papieru, na którym Hiszpanka pisała swoje opinie i list do Steadmana. Każdy arkusz przedarł na osiem części, a potem wszystko razem zgniótł w garści, uformował papierową kulę i wrzucił do

kosza. Patrzył przez chwilę na swoje dzieło, po czym dobył kulę z kosza, raz jeszcze zgniół i znów wrzucił do śmieci. Poczul się lepiej.

Wziął teczkę z biurka, ukląkł przy regale i wcisnął swoje akta na miejsce. Wstał i w zamyśleniu pokiwał głową.

W radiu znów przerwano program, zapowiadając połączenie z reporterem, który ma nowe wiadomości dotyczące zamachu w Jerozolimie. Omar zaczął nasłuchiwać. „...W komunikacie rozesłanym do mediów - donosił reporter - Brygady Męczenników Al-Aksa ujawniły, że wykonawcą męczeńskiej misji na bazarze Mahaneh Jehuda w Jerozolimie był Junis Abdel Rahman z miejscowości Irtas w okręgu Betlejem. Męczennik miał dziewiętnaście lat. Brygady Męczenników gratulują rodzinie i całej miejscowości...”.

Omarowi zaparło dech, aż musiał się oprzeć o biurko. Prowadzący program dyskusyjny powtórzył informację, a komentator - ten, który twierdził, że zamachowiec musiał pochodzić z Ram Allah - wyraził opinię, że w tej sytuacji wojska izraelskie wkroczą do Betlejem. Nowa polityka - dodał - zgodnie z którą władze okupacyjne zrównują z ziemią domy ujawnionych męczenników, dotknie oczywiście Rahmanów, ale ludzie będą ich wspierać. Omar wyłączył odbiornik.

Dlaczego Junis Rahman poświęcił życie? Omar przywołał w pamięci rozmowę z chłopcem w dniu, w którym znaleziono ciało Dimy. Junis zachowywał się wtedy gniewnie i wrogo. A przecież ci sami ludzie z Brygad Męczenników, dla których podjął się samobójczej misji, przejęli podstępnie rodzinną firmę natychmiast po śmierci jego starszego brata mającego duże wpływy. Omar Jussef był głęboko przekonany, że Junis wiedział, iż winę za śmierć brata i bratowej ponosi nie kto inny jak Tamari. Pamiętał spojrzenie, jakim młody człowiek obrzucił szefa Brygad, gdy ten zjawił się na sali sądowej tuż przed rozpoczęciem rozprawy przeciwko George'owi Sabie. Omar nie potrafił pojąć, jak w ogóle można oddać życie, rzucając bombę, ale czyn Junisa wydawał mu się jeszcze dziwniejszy niż inne zamachy samobójcze. Młodych ludzi z Dehajszy, którzy ginęli w taki właśnie sposób, łączyła pewna wspólna cecha. Zwykle swoim czynem chcieli udowodnić coś sobie i światu. Niektórzy byli niezrównoważeni psychicznie, co najczęściej wynikało z faktu, że ktoś bliski zginął na ich oczach z rąk Izraelczyków. Większość jednak pragnęła swoim czynem pokazać, że nie są tacy, za jakich uważają ich inni ludzie, że są dzielni, odważni i honorowi. Zwykle niczego w życiu nie osiągnęli, byli ofiarami przemian lub własnej nieudolności, a męczeńską śmierć postrzegali jako rodzaj rehabilitacji i jedyny sposób przywrócenia sobie i rodzinie dobrego imienia. Ale Junis Abdel Rahman - cóż takiego chciał udowodnić? Może po prostu stracił rozum po tragicznej śmierci brata i bratowej? Tylko że gdy Omar rozmawiał z nim dwa dni

temu, odniósł wrażenie, że chłopca przepelniało raczej pragnienie zemsty niż rozpacz. Potem przypomniał sobie wyraz wstydu na twarzy Junisa. Czyżby więc Junis zamordował Dimę, a potem wybrał samobójczą śmierć, bo czuł się winny? A może spiskował z Tamarim i przyłożył rękę do zabójstwa brata?

Wiele myśli przychodziło mu do głowy i Omar uznał, że musi się nad tym wszystkim zastanowić. Spodnie miał ubłocone po upadku przed szkołą, gdy wybuchła bomba. Uznał więc, że najrozsądniej będzie pójść do domu, aby się przebrać. Usiądzie wygodnie w salonie, żeby przemyśleć ostatnie wydarzenia. Przypomniał sobie jednak to, co usłyszał w radiu, że za męczeńską śmiercią Junisa Rahmana stał betlejemski oddział Brygad Męczenników. Oznaczało to, że Izraelczycy mogą rychło wkroczyć do miasta, aby wziąć odwet na terrorystach. Kiedy wejdą, Dżihad Awdeh zechce wcielić w życie swój plan ukrycia się w Bazylice Narodzenia Pańskiego. Omar uznał więc, że najpierw musi wstąpić do świątyni i ostrzec Eliasa Biszarę przed tym, co knuje Awdeh. Reszta należy do Biszary. Sam będzie musiał wymyślić, jak zapobiec wtargnięciu Awdeha do bazyliki.

Włożył marynarkę i beret. Z kosza wyjął kulę zgniecionego niebieskiego papieru. Ścisnął ją mocno, jakby to był kark Pilar. To jej kartki, ona na nich pisała, ale nie ma już zdradzieckich donosów w jego teczce. Wszystko więc da się wymazać i wszystko się zmienia. Junis Abdel Rahman pałał gniewem, gdy Omar z nim rozmawiał. A teraz? Po wybuchu nie zostały z niego nawet szczątki. Chłopak opasał się ładunkami wybuchowymi, ale tak naprawdę wybuch nastąpił w jego duszy.

Wafa podniosła wzrok, gdy Omar wyrzwał z gabinetu Steadmana. Rozmawiała przez telefon. Zasłoniła mikrofon ręką.

- Dzwonią z działu technicznego przedstawicielstwa, ekipa przyjedzie w ciągu godziny. Chcesz z nimi rozmawiać?

Omar przecząco pokręcił głową. Machnął ręką na pożegnanie i wyszedł na korytarz. Szkło zachrząściło pod stopami. Przy drzwiach wejściowych na plastikowym krześle siedział Mahmud Zubejda, kałasznikowa postawił pod ścianą. Uniósł się z szacunkiem na widok Omara.

- Pokój z tobą, *ustaz*.

- I z tobą. Niech Bóg da ci długie życie - odparł Omar, podnosząc kołnierz marynarki.

Wyszedłszy z dusznego gabinetu Steadmana, poczuł chłód powietrza i porywisty wiatr. Przeszedł przez zabłoconą ulicę. Zza chmur dobiegł basowy warkot izraelskiego śmigłowca. Omar rozejrzył się, szukając wzrokiem Najifa, ale ulica wyglądała jak wymarła, tylko w śmietniku buszowała łąciata koza. Sięgnął do kieszeni, wyjął papierową kulę i rzucił

z całej siły daleko przed siebie. Wiatr porwał ją i wylądowała w samym środku kałuży połyskującej za wysypiskiem śmieci.

ROZDZIAŁ 21

Grekokatolicki ksiądz stał wsparty o ołtarz, pilnując wejścia do groty, w której narodził się Jezus. Gładził palcami długą, czarną brodę jak dziewczynka szcztokująca koński ogon i łypał na Omara Jussefa, który przemierzał właśnie główną nawę. Głęboko osadzone oczy księdza połyskiwały czernią równie intensywną jak sutanna. Twarz miał nieruchomą, wzrok niechętny.

- Bądź pozdrowiony, ojczy - rzekł Omar, podchodząc do niego.

Ksiądz odburknął coś pod nosem tak cicho, że chyba sam nie usłyszał.

Omar opanował irytację. Ksiądz był Grekiem. Inne wyznania dopuszczały do święceń i do posług w świątyni chętnych spośród miejscowej ludności, ale Kościół grekokatolicki miał inną politykę - przysyłał księży z Aten, aby prowadzili działalność duszpasterską wśród ludzi, o których nie mieli najmniejszego pojęcia. Skutek był taki, że przybysze popadali we frustrację i mieli pretensje do całego świata, jak ten grubianin, przed którym stanął właśnie Omar. Nie było turystów, na których ksiądz mógł się wyżyć, był więc w wyjątkowo złym nastroju.

- Szukam ojca Eliasa Biszary.

Ksiądz obrzucił szyderczym wzrokiem ubłocone spodnie Omara, uniósł ospale rękę i szponiastym palcem wskazał niewielkie drzwi w poprzecznej nawie. Zaraz potem znów zaczął gładzić brodę na znak, że posłuchanie skończone.

Drzwi wiodły do kościoła św. Katarzyny przylegającego do bazyliki. Zbudowali go franciszkanie w XIX wieku. W wyłożonym białym marmurem wnętrzu panowała cisza, Omar przeszedł na dziedziniec klasztorny. Granit średniowiecznych kolumn, odnowionych i przywróconych do dawnej świetności, mienił się szarością w równie szarym świetle pochmurnego dnia. Także i tu było pusto i dopiero po chwili, za pomnikiem starca w zakonnym habicie, stojącym w centrum dziedzińca, Omar dostrzegł modlącego się mnicha. Po przerzedzonych czarnych kręconych włosach poznał Eliasa Biszarę.

Ten na widok Omara wstał z klęczek.

- Abu Ramizie, witam.

- Jak się masz, ojczy.

- Och, nie nazywaj mnie „ojcem”. Brzmi to dziwnie w ustach człowieka, który był moim nauczycielem, chyba że chcesz, żebym mówił do ciebie „synu”?

- Nie marzniesz tutaj? - zatroskał się Omar.

- Marzę, ale tak powinno być. Łatwiej się skupić przy modlitwie. Ten stary drań też pomaga. - Gestem wskazał postać na pomniku.

Omar spojrział na wyrzeźbione w kamieniu brodate oblicze. Nic specjalnego. Postać wyprana z wszelkiego wyrazu jak cukrowe figurki z supermarketu.

- Święty Hieronim?

- Zgadłeś, nasz lokalny święty i męczennik. Rozmyślałem o George'u Sabie, zanim przyszedłeś. Zdałem sobie sprawę, że zaczynam nienawidzić wszystkich muzułmanów w naszym mieście za to, co zrobili George'owi. Niecierpię ich za bezmyślny fundamentalizm i za idiotyczne uwielbienie męczeństwa. Przyszedłem tu, pod pomnik starego Hieronima, aby powtórzyć sobie, że my, chrześcijanie, też mieliśmy nawiedzonych fanatyków, którzy potępiali każdego, kto ośmielił się myśleć albo modlić inaczej.

- Nie mówiąc o takich, którzy czcili męczenników bardziej niż samego Boga - dodał Omar.

- Święta racja, Abu Ramizie. Łacińska wersja Biblii, którą ten kolega Hieronim sporządził, obowiązywała w Kościele rzymskokatolickim przez tysiąc sześćset lat. Spore osiągnięcie jak na kogoś, kto prowadził pustelnicze życie w Betlejem. Tylko że on rujnował życie i pracę wielu teologów, którzy ośmielali się podważać jego ortodoksyjne poglądy, a na grobach męczenników palił tyle świeczek, że ludzie mawiali nawet, iż jest poganinem i czci światło zamiast Boga.

Elias strzepnął kurz, który osiadł na habicie, gdy klęczał, i spojrział na spodnie Omara.

- Przewróciłeś się, *ustaz*? - zainteresował się.

Błoto zdążyło już zaschnąć i grudki oblepiały nogawki Omara, wewnątrz jednak czuł wilgoć.

- To nic takiego - odpowiedział wymijająco.

- Wejdźmy do środka. Nie ma potrzeby, żebyś marzył jak ja.

- Nic mi nie będzie.

Przeszli jednak do kaplicy. Ksiądz łąpał na nich od drzwi Bazyliki Narodzenia Pańskiego. Nadal gładził się po brodzie. Elias wziął Omara pod ramię. Usiedli w ostatniej ławce.

- Eliasiu, przyszedłem specjalnie, żeby cię ostrzec o niebezpieczeństwie zagrażającym waszej bazylice - zaczął Omar. - Dziś rano doszło do samobójczego zamachu w Jerozolimie.

- Słyszałem.

- Za zamachem stoją Brygady Męczenników Al-Aksa z Betlejem. Obawiam się, że jeszcze dziś w nocy do miasta wejdą Izraelczycy, żeby schwytać albo zlikwidować przywódców. Będą chcieli się zemścić za masakrę na bazarze.

- Rozumiem, ale co to ma wspólnego z bazyliką?

- Dżihad Awdeh, jeden z przywódców Brygad, zamieszkał niedawno w moim sąsiedztwie. Zwierzał się komuś, kogo znam, że jeśli Izraelczycy będą chcieli go schwytać, schroni się właśnie w bazylice.

Elias zaniemówił z wrażenia.

- Rozumiesz, że jeśli tu wtargnie, to wtargną tu także Izraelczycy. Może dojść do strzelaniny i kto wie, czym się to skończy. Tak czy owak, stanie się źle, źle dla miasta, źle dla chrześcijan. Jeśli wedrą się tu terroryści, bazylika może ucierpieć albo wręcz legnie w gruzach. Jeśli mnisi odmówią im schronienia, muzułmanie w Betlejem powstaną przeciwko chrześcijanom, zarzucając im wydanie tak zwanych bohaterów ruchu oporu w ręce wroga.

Elias spojrział na księdza, który nadal łypał na nich od drzwi bazyliki.

- Abu Ramizie, aż trudno uwierzyć, że do tego doszło.

- A jak myślisz, dlaczego Brygady Męczenników urządziły sobie kryjówkę tak blisko? W minutę mogą dobiec tu. Dziś powinniście zamknąć drzwi.

- Sam nie mogę o tym decydować, a jeśli nawet przekonam łacińskiego patriarchę, że trzeba świątynię zamknąć, to Grecy odmówią zgody. Są podejrzliwi. Uznają, że coś knujemy i chcemy zawładnąć bazyliką, zmienić ten delikatny układ, który trwa od wieków. Jesteś historykiem, Abu Ramizie, więc wiesz, o czym mówię. Sto pięćdziesiąt lat temu Francuzi wydali wojnę Rosji tylko dlatego, że kapłani w bazylice pokłócili się o ozdobną tablicę w grocie, w której Jezus przyszedł na świat. Dziś też zdarza się, że grecki duchowny rzuca się z pięściami na katolickiego księdza tylko dlatego, że ten zamiótł schody, które wedle układu mają sprzątać Grecy. Wcześniejsze zamknięcie kościoła nie wchodzi w grę.

- Trzeba przynajmniej spróbować. Na pewno zrozumieją zagrożenie.

- Beznadziejna sprawa. Kapłani są tak uparci, że raczej wydadzą kościół na łup muzułmanów czy żydów, niż przyznają rację chrześcijanom innego wyznania.

- Więc nic nie możesz zrobić?

- Chyba jednak jest coś takiego. - Elias spojrział na ukrzyżowanego Chrystusa nad ołtarzem. - Zostanę tu i spróbuję ich zatrzymać.

- To szaleństwo. Zabiją cię. Sam nie dasz rady.

- Nie jestem bohaterem, Abu Ramizie. Boję się tych bandytów, ale mój strach przed nimi jest mniejszy niż miłość do tej bazyliki. Ta świątynia uosabia historię chrześcijaństwa w

Ziemi Świętej. Uczyłeś mnie, *ustaz*, że historia jest istotą życia, a nauki z niej płynące są kluczem do lepszej przyszłości. Nawet jeśli mury tego kościoła miałyby lec w gruzach, trzeba chronić ducha historii. To miejsce symbolizuje przeszłość, kiedy muzułmanie i chrześcijanie żyli obok siebie w pokoju, i zaświadcza, że tak może być również w przyszłości, kiedy ustanie szaleństwo, co nas otacza. Zostanę więc tutaj na noc, będę się modlił za kościół, a gdy wtargną Brygady Męczenników, będę się modlił za nich. - Elias położył dłoń na ramieniu Omara. - Dzięki ci, Abu Ramizie, dzięki za ostrzeżenie. Gdy przyjdą, będę przygotowany. Ale ty wracaj teraz do domu, przebierz się w suche ubranie, zanim przeziębisz się na śmierć.

- Zaczynam myśleć, że tak byłoby najlepiej.

- Chcesz zostać męczennikiem grypy? - zaśmiał się Elias. - Skoro tak, to w raju dostaniesz siedemdziesiąt dwa puchary gorącego jabłecznika.

Omar też się roześmiał. Gdy opuszczał świątynię, zobaczył, że Elias Biszara znów klęczy i modli się żarliwie przed krzyżem.

Omar Jussef leżał wyciągnięty płasko na łóżku. Czekał, kiedy Mariam da znać, że pora na iftar. Znów doskwierał mu pulsujący ból w plecach, którego nabawił się w nocy, gdy walczył z powodzią w piwnicy. Zmęczyła go wędrówka do kościoła i powrót do domu, a świadomość, że młody kapłan zamierza wystawić się na śmiertelne niebezpieczeństwo, wyczerpała go do cna. Ból powrócił, gdy w domu usiadł, aby napić się kawy. Właśnie wtedy poczuł, że znów zaczyna go łupać w krzyżu. Los znów z niego zakpił. Zamiast biegać po Betlejem, zbierając dowody i głosząc wszem wobec, że George Saba jest niewinny, spędził pięć jałowych godzin w łóżku. Miał wrażenie, że ponure niebo łypie nań z za okna z sadystyczną przyganą. Leżał, gapiąc się beznadziejnie w ołowiane chmury, a do egzekucji George'a Saby zostało już tylko osiemnaście godzin. Potem spadnie deszcz, a George'a Saby nie będzie już wśród żywych.

Czy to depresja? - zastanawiał się Omar. A może tylko stres po traumatycznym przeżyciu? Czytał kiedyś, że czegoś takiego doświadczają ludzie, którzy ocaleli po wybuchu bomby. Położył rękę na mostku. Nadal wyczuwał ból po tym, jak uderzenie fali eksplozji w szkole rzuciło go na ziemię. Traumatycznym przeżyciem był także widok zwłok Christophera Steadmana. Nie myślał o nim ani wtedy, gdy siedział w jego gabinecie, ani później, gdy wracał do domu. Miał wiele innych spraw na głowie. Ale po powrocie do domu urwana ręka Amerykanina stanęła mu przed oczami. Przez całe popołudnie badał własną rękę. Podnosił dłoń, układał palce tak, jak widział u Steadmana, jakby ręka w ostatnim odruchu próbowała dopełnić do zwęglonego ciała. Zastanawiał się, czy Chamis Zejdan często myśli o utraconej kończynie. Czy takie nieszczęście nie wepchnęłoby każdego w szpony nałogu? Utrata ręki,

okropności wojny, samotność człowieka, którego najbliżsi przyjaciele zginęli w walce. Omar Jussef z niemałym trudem poradził sobie z nałogiem picia i palenia, a przecież doświadczył jedynie frustracji życia pod okupacją. O ile cięższej było jego przyjacielowi. Tak, wciąż myślał o Chamisie jako przyjacielu. Poczł nagle głęboke współczucie, gdy wyobraził sobie Zejdana, jak leży gdzieś ranny w Libanie i nie bacząc na świszczące wokół kule, rozpaczliwie szuka odstrzelonej ręki, w płonnej nadziei, że uda się mu się ją przywrócić na miejsce i wreszcie zbiec z pola walki, zbiec na zawsze. Myśląc o tym, Omar doszedł do wniosku, że chyba właśnie wtedy młody idealista, jakiego znał na studiach, przeobraził się w zgorzkniałego, przygnębionego pijaka, który dziś dowodzi policją w Betlejem. Zastanawiał się jednak, czy mrok, jaki spowija wiele lat życia Chamisa Zejdana, kryje także inną tajemnicę. Tę mianowicie, że komendant policji nie potrafi już odróżnić dobra od zła. Być może przeżycia tak skaziły przyjaciela, że wydał Dimę Tamariemu. Omar nienawidził tej myśli, ale też nie mógł sobie inaczej wytłumaczyć, dlaczego Tamari uznał, że musi zlikwidować Dimę.

Nadia weszła do sypialni dziadka, niosąc kawę. Oczy miała podkrążone, cerę aż przezroczyłą ze zmęczenia. Niewiele spała minionej nocy, gdy zalało mieszkanie Ramizów w suterenie. Rodzice położyli ją w pokoju gościnnym na parterze, ale całą noc panował rozgardiasz i było zimno. Dzień też nie przyniósł ukojenia. Wszyscy wokół - rodzice, babka, krewni i sąsiedzi, którzy pośpieszyli z pomocą, na przemian lamentowali i przeklinali okupację za wszystkie nieszczęścia. Nadia zachowała spokój. Teraz też zjawiała się cicho jak myszka. Patrząc na nią z wysokości swojego łóżka, Omar pomyślał, że gdyby tylko trochę urosła i przytyła, wyglądałaby dokładnie jak jego matka. Przygaszony wzrok nadawał jej wyraz melancholii. Czarne włosy okalały bladą buzię bez żadnego rumieńca. Ojciec Omara zawsze mawiał, że jego żona wygląda i zachowuje się jak księżniczka wywodząca się z dawnych Turków z Kaukazu, jeszcze z czasów przed osmańskimi podbojami. Nadia nosiła się z taką samą godnością jak matka Omara, była tak samo wrażliwa i pełna dystansu do wszystkiego, jakby czuła, że świata nie wolno darzyć zaufaniem. Była mądra mądrością nieszczęśliwego dziecka.

Omar doskonale pamiętał pogrzeb matki w 1965 roku. Miał wtedy siedemnaście lat. Dzień wstał chłodny i zanosilo się na deszcz tak jak dziś. Ojciec, który nigdy nic złego nie mówił o swojej żonie, wziął pierworođnego na bok i powiedział tak:

„Opłakujesz, mój synu, matkę. Przyznaję, że była dobrą matką i masz wszelkie powody, aby ją opłakiwać. Nie jest mi łatwo o tym mówić, ale mam nadzieję, że mnie zrozumiesz. Chyba lepiej, że mama odeszła, bo nikt z nas nie był w stanie jej pomóc. Gdy

wypędzono nas z wioski - byłeś wtedy niemowlęciem - matka nigdy już nie była taka jak dawniej. Nie umiała być szczęśliwa. Nie znaczy to, że matka nie cieszyła się z takiego syna jak ty albo że twoje dzieciństwo było nieszczęśliwe. Nie o to chodzi. Chodzi o to, że odkąd opuściliśmy naszą wioskę, bez przerwy rozmyślała o dawnym życiu i o tym, że nowe jest znacznie cięższe. Nie mówiła o tym, żeby mnie nie urazić, żeby nie zaczął się wstydzić, że nie potrafiłem jej zapewnić takiego życia, jakiego oczekiwała, gdy się pobieraliśmy. Niepotrzebnie, bo - mówię to szczerze, bez goryczy - nie czułbym się ani urażony, ani zawstydzony. Pamiętaj, synu, że nie wolno dopuszczać do tego, by życie pozbawiało nas szczęścia. Pamiętaj o matce. Chcę wierzyć, synu, że twoje dzieci i wnuki wrócą kiedyś do naszej wioski. Jeśli jednak stanie się inaczej, niech o niej w ogóle nie myślą, niech przeszłość zostawiają za sobą. Nie pozwól, aby były rozdarte jak twoja matka między przeszłością a teraźniejszością, między rodzinną wioską a obozem dla uchodźców, bo wtedy nie będą żyli ani w jednym, ani w drugim miejscu”.

Gdyby kto inny przemówił w taki sposób, Omar uznałby go za żalostnego defetystę. Dziś daleko lepiej niż wtedy rozumiał ojca.

Widząc przed sobą wymizerowaną buzię Nadii, Omar odpędził myśli o Chamisie Zejdanie, George’u Sabie, Dimie Abdel Rahman i o Brygadach Męczenników. Najważniejsze jest to dziecko.

- Chodź tutaj, kochanie, usiądź przy dziadku.

Nadia postawiła filiżankę z kawą na nocnym stoliku i usiadła na skraju łóżka. Omar wziął ją za rączkę. Była zimna jak befsztyk z lodówki.

- Jesteś zmęczona? Nadia kiwnęła główką.

- Nie mamy łatwego życia, wnusiu, ale są ludzie na świecie, którym żyje się jeszcze gorzej.

- Tak, dziadku. - Nadia spuściła wzrok.

- Naprawdę, tak jest. Wyobraź sobie, że przyszłoby nam żyć w Rosji. Prawie całe stulecie strasznych cierpień pod komunizmem, a teraz mafie i choroby jak AIDS, z którymi nikt nie walczy. To fakt, że u nas jest źle, ale tam jest jeszcze gorzej. Nawet pogoda w Rosji jest gorsza niż tutaj.

Nadia zachichotała.

- Pomyśl tylko, gdybyśmy mieszkali w Rosji, to przez pół roku mielibyśmy ćwierć metra śniegu na podwórku. W porównaniu z tym ćwierć metra wody w piwnicy, i to tylko przez jedną noc, to pryszcz.

- Śnieg jest fajny, dziadku.

- Owszem, kiedy pada od wielkiego dzwonu, jak u nas, a nie kiedy pada miesiącami. A co do naszej powodzi, to pomyśl o tym, że zaraz przybiegli do nas sąsiedzi, żeby pomóc. To dowód, że mamy wspaniałych sąsiadów. A poza tym mieliśmy pyszną zabawę z wylewaniem wody. Pomagałaś mi.

- Pomagałam.

- Właśnie. Mogliśmy się poplaskać, nie wyjeżdżając na plażę. Plażę mieliśmy w domu.

- Tylko że strasznie śmierdziało - zaśmiała się Nadia. - Na prawdziwej plaży też nie pachnie. Nie masz pojęcia, ile świństwa spływa do morza w dzisiejszych czasach. Lepiej siedzieć w domu. Babcia coś nam ugotuje, a plażę możemy sobie urządzić w piwnicy albo na podwórku.

Nadia zaśmiała się i uściskała dziadka. Oczy jej zwilgotniały. Była taka drobna i szczupła. Omar przytulił ją mocno, poczekał, aż wyschną łzy, i dopiero wtedy wypuścił z objęć.

- Dzięki za kawę, słonko. Zadzwoił telefon w salonie.

- Idź i odbierz, Nadiu.

Wnuczka wybiegła z sypialni. Omar usiadł na łóżku. Ból zapulsował w krzyżu tak mocno, że musiał wstrzymać oddech. Wypił kawę. Nadia wróciła, niosąc słuchawkę bezprzewodowego aparatu.

- Do ciebie, dziadku. Abu-Adel.

Omar wziął słuchawkę. Nadia zabrała filiżankę i wyszła.

- Bądź pozdrowiony, Abu-Adelu.

- Podwójne pozdrowienia dla ciebie, Abu Ramizie. Jak się czujesz? - odezwał się Chamis Zejdan. W tle słychać było jakieś krzyki.

- Jako tako, dzięki Bogu.

- Jestem na Polu Pasterzy. Rakieta z izraelskiego śmigłowca trafiła w dżipa Husajna Tamariego. Zginął na miejscu.

- Tamari? Jesteś pewien?

- Absolutnie. Śledziłem go, więc wiem, że jechał tym dżipem.

- Śledziłeś? Dlaczego?

- Powiedzmy, że dla odmiany zabawiałem się w prawdziwego policjanta. Wygląda na to, że Izraelczycy dopadli go w odwecie za poranny zamach w Jerozolimie. Słyszałeś pewnie, że Junisa Rahmana wysłały Brygady Męczenników.

- Słyszałem, tylko nie rozumiem, dlaczego akurat jego.

- Nie mam pojęcia.

- Nieważne, ważne, że teraz George Saba będzie mógł wyjść na wolność.

W słuchawce zapadła cisza.

- Chodzi mi o to - wyjaśnił Omar - że teraz policja może przyznać, że to Tamari zabił Louaia Rahmana albo naprowadził na niego Izraelczyków i że zabił również Dimę Rahman.

- Po pierwsze, Abu Ramizie, nie wiesz tego na pewno.

- Wiem.

- Pewności nie masz - Chamis podniósł głos - zwłaszcza jeśli idzie o Dimę Rahman. A po drugie, Husajn Tamari jest teraz męczennikiem. Wielkim, wspaniałym, pieprzonym męczennikiem. I jak ty sobie wyobrażasz, że Betlejem poświęci wielkiego męczennika, żeby ocalić tylek jakiegoś nędznego kolaboranta? Na taki interes nie pójdzie nikt poza tobą, Abu Ramizie.

Współczucie, jakie Omar żywił dla Chamisa z powodu utraconej ręki, zniknęło. Ogarnęła go desperacja. Nie ma szansy na oczyszczenie George'a Saby z zarzutów, skoro komendant policji odmawia pomocy, i to teraz, gdy prawdziwy morderca nie żyje. Znów zaczął podejrzewać Chamisa o nieczystą grę. Zejdan śledził Tamariego. Jechał za nim, gdy w dżip trafiła rakietą. Więc może to on jest kolaborantem? Kolaborant. Namierzył Tamariego, dał znać swojemu oficerowi prowadzącemu w Szin Bet, Izraelczycy uderzyli. Podobnie mógł zadziałać w przypadku Louaia Abdel Rahmana. Proste i logiczne. Zejdan wysługuje się Izraelczykom. Jeśli tak, to właśnie on musiał zostawić łuskę od MAG-a na miejscu przestępstwa, wśród pinii za domem Rahmanów. Ale po co? Rzucenie podejrzania na Tamariego nic by mu nie dało. Musiał wybrać innego kozła ofiarnego. Kogoś słabszego, jak choćby George'a Sabę. Jedno jest pewne - gdy Omar zwierzył się Zejdanowi, że według niego Louaia zabił Tamari, komendant kazał mu o tym zapomnieć. Nie chciał obwiniać Tamariego o morderstwo, a tym bardziej nie chciał go w nic wrabiać.

- Zadzwoń, Abu Ramizie, żebyś zdał sobie sprawę, że w tej sytuacji nic już nie możesz zrobić dla George'a Saby - ciągnął tymczasem Chamis. - Gdy Tamari żył, trudno było obciążyć go winą za morderstwo na Rahmanie, a teraz to w ogóle niemożliwe.

- Przecież nie możesz dopuścić do egzekucji George'a. To byłoby ohydne. Plama na sumieniu całego miasta.

- Każdy dom ma wychodek, Abu Ramizie.

- Daruj sobie przysłowia. Musisz mi pomóc.

- Powtarzam jeszcze raz: Husajn Tamari jest nie do ruszenia. Ani ty nie dasz rady, ani ja. Jedno złe słowo pod jego adresem, a zlinczują cię. Już zbiera się tłum. Wszyscy są

rozwścieczeni. Niech ktoś spróbuje oskarżyć męczennika o kolaborację, to go ukamienują. Nie radzę ci dziś źle mówić o zmarłym.

- Zostało nam niewiele czasu, tylko do jutra do południa, żeby udowodnić winę Tamariego i ocalić George'a.

Chamis milczał.

- Mylisz się, Abu Ramizie - rzekł po chwili. - Tylko George Saba ma niewiele czasu, nas to nie dotyczy.

- A twój czas dawno się już skończył - rzucił ze złością Omar i się rozłączył.

Pośród nocnej ciszy Omar wyteżył słuch. Starał się uchwycić warkot izraelskiego śmigłowca. Złowrogi dźwięk unosił się nad miastem od tygodnia. Spływał jak deszcz na nieszczęsnego Najifa. Pulsował jak serce Omara, gdy po wyjściu ze szkoły wrzucał do kałuży za śmietnikiem dokumenty wyjęte ze swojej teczki. Śmigłowiec wisiał nad Betlejem jak gwiazda, która kiedyś wieściła narodzenie Chrystusa. Na pewno krąży znowu, a pod nim, na ziemi, dopala się wóz Husajna Tamariego. Naznacza piętnem śmierci każdego, kogo wyśledzi, tak jak starożytny proroczy znak wytyczał drogę do krzyża dziecięciu zrodzonemu w żłóbku. Ale nocnej ciszy nic nie zakłócało. Omar jednak wiedział, że śmigłowiec gdzieś tam jest. George Saba, nawet gdyby potrafił latać jak ptak, nie zdoła uniknąć przeznaczenia.

Omar postanowił się nie poddawać. Musi znaleźć kogoś, kto nie zgodzi się na to, aby niewinny człowiek zginął w imię zachowania dobrej pamięci o tym łotrze Tamarim. Nikt ani w policji, ani w sądzie, ani we władzach nie podejmie takiego ryzyka. Musi więc znaleźć kogoś, kto jest potężniejszy niż pamięć o Tamarim. Był tylko jeden człowiek, który mógłby się poważnie na odbrązowienie wizerunku Tamariego. Sprawa była ryzykowna. Chamis Zejdan słusznie ostrzegł, że taka próba może skończyć się linczem. Trudno. Umrze przed George'em Sabą i skończą się jego zmartwienia.

Omar Jussef postanowił pójść do Dżihada Awdeha. Wejścia do domu, w którym rezydował Dżihad Awdeh, pilnowało dwóch wartowników. Jeden z nich, który akurat palił, wetknął papierosa między zęby, żeby mieć wolne obie ręce, i mrużąc oczy od dymu, wprawnie obmacał Omara, czy nie ma ukrytej broni. Omar odwrócił wzrok i zerknął na swój dom po drugiej stronie ulicy. W oknie salonu dostrzegł sylwetkę Nadii. Stała bez ruchu, jakby wiedziała, że dziadek wystawia się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Jeszcze przed chwilą, gdy zmierzał tu, by stanąć oko w oko z nowym hersztem najgroźniejszej bandy zabójców w mieście, Omar myślał tylko o tym, że nie ma nic do stracenia. Teraz jednak na widok nieruchomej sylwetki w oknie ogarnęły go wątpliwości. Przemknęło mu przez myśl, żeby jednak wycofać się pod jakimś pretekstem. Może przecież powiedzieć wartownikom, że

czegoś zapomniał i że musi wrócić do siebie. Ale rewizja dobiegła końca. Wartownik zaciągnął się papierosem i kazał mu wejść do środka. Odwrót w tym momencie byłby podejrzany.

Wchodząc po schodach, uświadomił sobie jeszcze, że Izraelczycy mogą podjąć próbę likwidacji Dżihada Awdeha jeszcze tej nocy, tak jak zrobili to z Tamarim. Może właśnie wtedy, gdy Omar zasiądzie do rozmowy z nowym szefem Brygad Męczenników, izraelski śmigłowiec odpali raketę prosto w okno mieszkania Awdeha. Z okna Nadia zobaczy pomarańczowy błysk znaczący tor rakiety lecącej tam, gdzie jest jej dziadek, potem usłyszy trzask rozbijanej szyby i huk. Z okna buchnie dym, a wybuch rozniesie wszystko na pył - resztkę szyb, mury i ciało jej dziadka.

Chłopiec, który otworzył Omarowi, był mniej więcej w wieku Nadii. Przytrzymał lakierowane na wysoki połysk drzwi z wiśniowego drewna, cofnął się o krok i wpuścił gościa, obrzucając go spojrzeniem pełnym pogardy i wrogości. Dżihad Awdeh siedział w salonie na sofie, otoczony ludźmi z Brygad Męczenników. Było ich co najmniej dwunastu i pokój robił wrażenie zatłoczonego. Z pewnym zaskoczeniem Omar stwierdził, że Dżihad Awdeh zdawał się w dobrym humorze. Spodziewał się, że po śmierci Tamariego Awdeh będzie wściekły i żądny krwi. Tymczasem sprawiał wrażenie, jakby się cieszył ze swojej nowej pozycji szefa gangu. Właśnie zaśmiewał się głośno z jakiegoś dowcipu i wsuwał do ust kawałek bakławy, którą jego córka częstowała obecnych. Gdy przełknął, wziął sobie garść nasion słonecznika z miski stojącej na stoliku obok sofy.

Na widok Omara jego wzrok spochmurniał na chwilę, ale uśmiech nie opuścił twarzy. Dał znak, żeby gość podszedł bliżej. Jesteś moim bratem, więc ciebie zabiję za darmo, przemknęło Omarowi przez myśl i zastanowił się, czy ta wspaniałomyślna oferta jest nadal aktualna. Dżihad tymczasem szepnął coś do człowieka, który siedział obok niego, a ten natychmiast wstał, ustępując miejsca Omarowi.

- Cieszę się, że zechciałeś mnie odwiedzić. Witam cię z całego serca - rzekł Awdeh, przysuwając się do Omara, który usiadł na samym brzegu sofy.

- Jestem szczęśliwy, mogąc gościć w twoim domu - wybąkał Omar. Tradycyjne uprzejmości zabrzmiały dziwnie w tej sytuacji.

Dżihad Awdeh wziął kawałek ociekającej miodem bakławy z tacy trzymanej przez córkę i podał Omarowi. Słodki smak miał w sobie coś fałszywego i przewrotnego. Omar powtórzył sobie w duchu, że musi zachować czujność wobec nieoczekiwanej uprzejmości gospodarza.

Awdeh tymczasem wypluł w garść łupiny słonecznika, wrzucił je do kryształowej popielnicy na stole i sięgnął po następną porcję. Gryził z upodobaniem, wyłuskując pestki z łupin. Jego szczęki pracowały bez przerwy, przez co przylepiony uśmiech nabierał złowrogiego wyrazu jak odsłonięte kły u złego psa. Omar uznał, że na początek dobrze będzie zatrzeć pamięć o ostrej wymianie zdań u Tamariego dwa dni temu.

- Przyjmij, proszę, moje kondolencje z powodu śmierci brata Husajna. Niech Bóg będzie dla niego miłosierny.

Dżihad uśmiechnął się blado, ale po chwili przybrał poważny wyraz twarzy. Położył dłoń na kolanie Omara i nachylił się ku niemu.

- Nie lubiłeś go, Abu Ramizie, prawda? - szepnął. Omar zerknął na wielką dłoń spoczywającą na jego kolanie.

Paznokcie Awdeha były długie i żółte jak pazury dzikiego zwierza. Nic nie odpowiedział.

- Ja też nie - zaśmiał się nagle Awdeh. - Oj, nie lubiłem go, nie. Ale z czym przybywasz, Abu Ramizie? Mam mało czasu. Za pół godziny zaczyna się pogrzeb męczennika Husajna i jego towarzyszy.

Wyznanie, że nie lubił Husajna, zaskoczyło Omara, nie spodziewał się, że Dżihad powie coś takiego choćby szeptem. Przypomnił sobie jednak, co usłyszał kiedyś od Chamisa Zejdana, że w bandzie Tamariego do Dżihada odnoszono się z pogardą, należał bowiem do skromnego klanu. Husajn był zawsze pewny siebie, jak człowiek, który wie, że w razie jakiegokolwiek zagrożenia stanie za nim cała wioska. Klan Dżihada Awdeha nie miał żadnych wpływów, nie liczył się nawet w obozie dla uchodźców na północnych przedmieściach Betlejem, gdzie osiadła większość jego krewniaków. Omarowi przyszło więc do głowy, że brak agresji ze strony Awdeha, a nawet więcej - wyjątkowa uprzejmość - może wynikać z tego, że klan Tamariego stracił teraz na znaczeniu. Pomyślał też o Rahmanach, którzy wraz ze śmiercią Louaia zostali pozbawieni tarczy ochronnej. Dżihad Awdeh musiał oczywiście demonstrować żalobę, ponieważ większość jego oddziału Brygad Męczenników należała do klanu Tamariego, ale jednocześnie przejął władzę po zmarłym równie pewnie i bezwzględnie, jak Husajn Tamari przejął warsztaty samochodowe Rahmanów.

- Czy możemy porozmawiać w cztery oczy? - spytał Omar. Dżihad kiwnął głową, wziął Omara za rękę i poprowadził na niewielki balkon przylegający do salonu.

- Nie będę zapalał światła, Abu Ramizie, żeby nie ułatwiać zadania snajperom - uprzedził.

Omar Jussef spojrział w ciemność. Nerwy miał napięte. Sąsiedni dom stał wyżej na wzgórzu niż apartamentowiec Dżihada, a dzielące oba budynki zbocze było skaliste. W świetle księżyca białe złomy skalne zdawały się ruszać i Omar miał wrażenie, że łypią na niego podejrzliwie. Wiedział oczywiście, że to tylko zwidy i napięcie z powodu człowieka, który stał przed nim.

Awdeh tymczasem zapalił papierosa i wypluł łupiny słonecznika za balustradę. Gestem dał znać, że słucha.

- Dżihad, powiem krótko: wiem, że to Husajn współpracował z Izraelczykami w sprawie Louaia Abdel Rahmana - rzucił Omar i czekał na reakcję.

Awdeh zaciągnął się tylko papierosem i milczał. Omar pożałował, że nie pali. Papieros w tej sytuacji bardzo by się przydał. Tymczasem mówił dalej:

- Byłem w Irtas wkrótce po zabójstwie Louaia. Niedaleko miejsca, gdzie Louai zginął, znalazłem na ziemi łuskę od MAG-a. Trawa obok była wygnieciona, jakby ktoś tam leżał. Dima, żona Louaia, powiedziała mi, że jakiś człowiek czekał na jej męża. Louai go rozpoznał i zwrócił się do niego imieniem Abu Walid. Potem - mówiła Dima - zabłysło coś jak czerwony laser, promień zatrzymał się na Louaiu i padł strzał. Wiesz pewnie, że do Husajna mówiono: Abu Walid i że używał MAG-a. Tylko on w całym Betlejem miał taką broń.

Dżihad rzucił niedopałek między złomy skalne. Przez chwilę jeszcze widać było pomarańczowy ognik. Omar widział, jak gaśnie. Dżihad nadal milczał, wsparł się tylko łokciami o balustradę i patrzył w ciemność.

- Pamiętasz, jak Husajn się wściekł, że George Saba przepędził was obu z dachu swego domu, gdy nocą zaczęliście stamtąd ostrzeliwać izraelskie pozycje? - ciągnął Omar. - Uważam, że to Husajn naprowadził żołnierzy na Louaia, a potem napiętnował Sabę jako kolaboranta przez zemstę za tamtą noc. Oskarżenie miało także odwrócić wszelkie podejrzenia od niego. Później, kiedy dowiedział się, co usłyszałem od Dimy, ją też zabił.

- A skąd się dowiedział, że Dima rozmawiała z tobą? Omar uznał, że lepiej nie wspominać o Chamisie Zejdanie.

- Nie wiem.

- To znaczy, że Dimę mógł zamordować ktoś inny.

- To możliwe, ale nieprawdopodobne. Nie znam żadnego innego powodu, dla którego ktoś miałby zabić Dimę.

Omar obrócił się do Awdeha. Twarzy nie widział, Dżihad stał plecami do światła padającego z pokoju. Choć wszystko w nim wzbraniało się przed dotknięciem Awdeha, położył rękę na jego ramieniu.

- Proszę cię o pomoc, Dżihadzie. George Saba jest niewinny, a za siedemnaście godzin ma stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Gdybym nie przyszedł tu błagać o pomoc, miałbym jego krew na swoich rękach. W tym mieście nie liczy się prawo, jedynie siła. Tylko ty jeden możesz ocalić życie niewinnego człowieka.

- Czy może być niewinny ktoś, kto groził mnie i Husajnowi bronią, gdy walczyliśmy z okupantem?

Uwaga, pułapka, pomyślał Omar.

- George był zdesperowany. Doskonale wiedział, że wasza obecność na dachu sprowadzi na dom ogień Izraelczyków. Bał się o rodzinę. Nie wiedział nawet, że to ty i Husajn weszliście na jego dach.

Dżihad zapalił kolejnego papierosa.

- Nie sądzę, aby ktokolwiek uwierzył, że męczennik Husajn był w rzeczywistości przestępcą i kolaborantem. Nikt nawet tego nie będzie słuchał.

- Ale ty go nie lubiłeś.

- Co nie znaczy, że uwierzę, że Husajn był kolaborantem, a George Saba jest niewinny.

- Przedstawiłem ci dowody.

- Husajn Tamari wiele razy narażał życie, walcząc z Izraelczykami. Jeszcze dziś rano zorganizował męczeńską akcję na bazarze w Jerozolimie. Takie czyny mają większą wagę niż twoje dowody.

- No to zostaw Husajna, nie ogłaszaj, że jest mordercą, niech będzie czysty i niech zostanie bohaterem, ale uwolnij George'a Sabę.

- Ktoś musi zapłacić za zbrodnię, jeśli wykluczamy Husajna, pozostaje tylko ten chrześcijanin.

Omar przysunął się do Awdeha. Podeszedł tak blisko, że poczuł woń jego potu, trochę tylko stłumioną przez dym papierosa.

- Przyszedłem do ciebie, Dżihadzie, bo wiem, że nie jesteś taki jak oni. Zostałeś przywódcą Brygad nie dlatego, że wywodzisz się ze znakomitego rodu, ale dlatego, że jesteś mądry. Objąłeś przywództwo Brygad Męczenników, mimo że tamci traktowali cię jak intruza i obcego. Spójrz na nich. - Omar gestem wskazał mężczyźni kręcących się po salonie. - To krewni Husajna, krew z krwi, kość z kości, i dla nich Husajn będzie świętym i bohaterem. Ty jednak masz swój rozum i doskonale wiesz, kim Husajn był naprawdę. Błagam cię, nie pozwól, aby George zginął tylko dlatego, że trzeba chronić czyjś wizerunek. Jutro ma zginąć człowiek, rozumiesz - żywy człowiek, a nie reputacja.

Dżihad milczał.

- Sam musisz przyznać, że George Saba nie jest kolaborantem - argumentował dalej Omar. - Najlepszy dowód to śmierć Husajna. Saba siedzi w więzieniu, a Husajna Izraelczycy dopadli. Skoro siedzi, to nie mógł go dla nich namierzyć.

- Ale śmierć Husajna dowodzi, że nie był kolaborantem. Niby dlaczego Izraelczycy mieliby zabijać własnego agenta? Twoje oskarżenia nie mają sensu.

Wódz Brygad potoczył wzrokiem dookoła, upewniając się, czy nikt ich nie słyszy. Gdy spojrział na tłumek bojowników w salonie, na jego twarzy pojawił się wyraz rozgoryczenia - tak przynajmniej wydawało się Omarowi.

- Kiedy Husajn opuszczał siedzibę Brygad, aby udać się na iftar - rzekł cicho Dżihad - zjawiał się Chamis Zejdan. Husajn powiedział mu, gdzie się wybiera. Omar przypomniał sobie telefon od Chamisa. Zejdan dzwonił z komórki, stojąc - jak sam powiedział - tuż obok płonącego dżipa Tamariego. Na pytanie Omara, czy jest pewien, że Tamari był w wozie, odparł, że tak, ponieważ jechał za nim. Logika wydarzeń poraziła Omara. Wcześniej podejrzewał przyjaciela o wydanie Dimy Abdel Rahman. Oczywiście wiedział, że Chamis Zejdan z całej duszy nienawidził wodza Brygad Męczenników, gdyż ten stale go upokarzał i nie uznawał jego policyjnej władzy. Zastanawiało go jednak, jak to się stało, że Chamis był obecny przy zamachu na Husajna. To samo pytanie nurtowało też Dżihada Awdeha, który uznał rozmowę za zakończoną i właśnie otwierał drzwi do salonu. Tłum bojowników szykował się do wyjścia.

- Muszę już iść. Zaraz zaczyna się pogrzeb męczenników. - Wyciągnął rękę na pożegnanie.

Omar też podał mu rękę. Dłoń Awdeha była zimna, na balkonie panował chłód.

Omar utorował sobie drogę przez tłumek mężczyzn w przepoconych wojskowych bluzach moro, z kałasznikowami w rękach. Będą oczywiście strzelać w powietrze, aby uczcić to, co zostało z męczennika Husajna Tamariego.

Schodząc po schodach, Omar analizował podejrzenia dotyczące Chamisa Zejdana. Jeśli Dżihad Awdeh uważał go za winnego, to znaczyło, że życie komendanta policji jest w niebezpieczeństwie. Skoro tak, to trzeba go natychmiast ostrzec, przemknęło Omarowi przez myśl, ale zaraz pojawiła się inna. Czy Chamisa Zejdana może jeszcze zaliczać do swoich przyjaciół, skoro ten godzi się na egzekucję George'a za coś, czego ten nigdy nie uczynił? Czy takiego zdrajcę w ogóle warto chronić?

Kiedy przechodził przez ulicę, widział jeszcze sylwetkę Nadii w oknie, ale chwilę potem już jej nie było.

ROZDZIAŁ 24

Gdy Nadia odeszła od okna, Omar pragnął zatrzymać ją i pocieszyć. Lękała się o niego, dlatego tkwiła w oknie przez cały czas, gdy był u Dżihada Awdeha. Pragnienie, żeby przytulić wnuczkę, było tak silne, że nogi same poniosły go w stronę domu. Musiał jednak podjąć ostatnią już chyba próbę wydobycia George'a Saby z więzienia. Skręcił więc w prawo, ku głównej drodze, ale myślał wciąż o wnuczce, która chyba jaśniej od niego rozumiała sytuację i lepiej zdawała sobie sprawę z czyhających na niego niebezpieczeństw.

Skrótem przez suk zdążył na plac Żłóbka. Ulice były puste, czasami tylko mijały go dżipy wypełnione bojownikami z Brygad Męczenników, jadącymi na pogrzeb. Niektórzy wysuwali broń przez okna i ślali serie w powietrze. Za każdym razem Omar podskakiwał nerwowo. Miał wrażenie, że chcą, aby hołd składany męczeństwu Husajna dotknął go do głębi i zapadł mu w duszę. Dyszał ciężko, pokonując strome uliczki suku, a potem zszedł ku bazylice na Starym Mieście.

Na placu Żłóbka panowała cisza. Czerwone i białe kamienie, którymi wyłożono plac kilka lat temu przed wizytą papieża, kąpały się w zamglonym świetle księżycy i pseudoparyskich latarni gazowych zainstalowanych z tej samej okazji. Z dala ciągle dochodziły odgłosy strzałów. Husajna miano pochować w jego rodzinnej wiosce, kilka kilometrów na wschód od miasta, u stóp Herodionu. Omar był rad, że nurza się w ciszy z dala od tłumu rozwścieżonych żałobników, przepojonych zwierzęcą nienawiścią i żądzą zemsty. Przeszedł wzdłuż północnej pierzei placu w stronę komendy policji. Poza nim na placu nie było nikogo oprócz dwóch zakonników w franciszkańskich habitach, którzy wyjrżeli z Wrót Pokory Bazyliki Narodzenia Pańskiego i kryjąc się pod solidnym jak forteca murem, przeszli wzdłuż frontowej ściany kościoła.

Wartownik przy wejściu do komendy pozdrowił Omara. Twarz miał wychudzoną, oczy rozbiegane.

- Zastałem Abu Adela?

- Jest u siebie w gabinecie. Schodami w górę.

- Tak, wiem.

Omar zamierzał po raz ostatni zaapelować do Chamisa Zejdana. Może naprawdę dawny przyjaciel przekazał Tamariemu informację o Dimie Rahman i w ten sposób sprowadził na nią śmierć. Może naprawdę, jak dawał do zrozumienia Dżihad Awdeh, Chamis współpracuje z Izraelczykami i przyczynił się do śmierci Tamariego. Był jednak jedynym człowiekiem, do którego Omar mógł się zwrócić, a co ważniejsze, Chamis dzierżył klucze do

więzienia. Musiał istnieć jakiś sposób przekonania go, aby użył tych kluczy i przymknął oczy, gdy Omar będzie wywoził George'a z Betlejem.

W gabinecie Chamisa panował mrok. Paliła się tylko lampa na biurku. W niewielkim kręgu żółtego światła spoczywała przybrana w rękawiczkę proteza ręki szefa policji. Omar miał zrazu wrażenie, że Chamis ją odpiął i przez zapomnienie położył na biurku. Tuż obok leżał pistolet. Widząc mroczne wnętrza i broń na biurku, Omar przez chwilę pomyślał, że pijany i zdjęty odrazą do siebie komendant zamierza popełnić samobójstwo.

- Abu Adel? - spytał z wahaniem.

Ręką uzbrojoną w protezę Chamis skierował snop światła lampy prosto na twarz Omara.

- Abu Adelu, przyszedłem prosić o wybaczenie - rzekł Omar, zasłaniając oczy od światła.

Chamis nie odpowiedział. Odwrócił tylko lampę, oświetlając krzesło przed biurkiem. Omar usiadł na brzeżku.

- Chcę przeprosić za wybuch gniewu. Nie powinienem był rzucać oskarżeń, gdy zadzwoniłeś do mnie z wiadomością o śmierci Husajna Tamariego. Byłem zdesperowany z powodu George'a Saby.

- Czas, żebyś pomyślał o innych - odrzekł Chamis ochryłym głosem, w którym przebijały nuty goryczy i żalu nad sobą. Omar zdał sobie sprawę, że mrok w gabinecie nie był przypadkowy. Chamis wyłączył światło, aby jakiś podwładny, który mógłby wejść do gabinetu, nie zobaczył komendanta z butelką whisky w ręku.

- Masz rację, Abu Adelu. Wiem, że jesteś dobrym przyjacielem, a ja starałem się odwdzięczać tym samym. Ale zrozum mnie, proszę. Nie nawykłem do niebezpieczeństw, nie znam się na spiskach czy intrygach, jestem tylko belfrem.

- I niech tak zostanie. Już ci to mówiłem.

- To prawda, mówiłeś i miałeś absolutną rację.

- Właśnie, mówiłem, żebyś się trzymał belferki...

- Rozmawiałem niedawno z Dżihadem Awdehem - rzucił Omar nagle i mimo ciemności wyczuł, że Chamis Zejdan jakby wytrzeźwiał. Przestał pomrukiwać i zaczął słuchać.

Omar wstał z krzesła i podszedł bliżej do przyjaciela.

- Powiedziałem mu, że wiem, że to Husajn Tamari zabił Louaia i Dimę i zrobił George'a. Dżihad przyznał mi rację.

Żaluzje zasłaniające okno uniosły się i światło księżyca wlało się do gabinetu. Chamis siedział wyprostowany w fotelu, zdrową ręką trzymając sznur od zasłony. Wzrok miał czujny, w oczach pojawiły się złe błyski.

- Posłuchaj mnie, Abu Ramizie - zaczął. Zaniósł się kaszlem. Widać było, że jest kompletnie pijany, ale usilnie próbuje zapanować nad sobą. - Nie wierz w ani jedno słowo tego draba. Dżihad to oszust i kłamca. Więc nie wierz w ani jedno słowo, ani jedno.

- Ale on jest moją ostatnią nadzieją.

- Przegrasz z kretesem, już przegrałeś.

- Wolałbym liczyć na ciebie.

- Ja nic nie mogę dla ciebie zrobić.

- Skoro nie możesz, to nie zabraniaj mi rozmawiać z Dżihadem. Masz klucz do celi. Chodźmy na dół, uwolnijmy George'a. Gdzieś go ukryjemy, a potem przekonamy sąd, że George jest niewinny. Kto wie, może Dżihad zechce nam pomóc.

- Sam nie wiem, który z tych pomysłów jest najgłupszy, bo głupie są wszystkie. Po pierwsze, nadal jestem policjantem i pod żadnym pozorem nie wypuszczę skazańca. Po wtóre - pójście do sądu to idiotyczny pomysł, nie mówiąc już o tym, że nigdy nie uda ci się przekonać sędziów, że Husajn Tamari to morderca i kolaborant. Czy myślisz, że sędziowie równie chętnie dadzą się zabić jak ty? Po trzecie - Dżihad z pewnością ci nie pomoże. On myśli tylko o sobie, a ciebie, Abu Ramizie, po prostu zbył i czeka tylko na okazję, żeby cię po cichu wykończyć.

Omar gorączkowo myślał, co jeszcze w tej sytuacji mógłby zrobić. Może chwycić pistolet leżący na biurku? Właśnie! Weźmie pistolet, wymierzy w Zejdana, a wtedy komendant wyjmie klucze, zejdą razem do aresztu i uwolnią George'a. Bzdura! Przecież nie zna się na broni. Słyszał, że broń się zabezpiecza, i pistolet Zejdana pewnie jest zabezpieczony, a on nie ma pojęcia, jak go odbezpieczyć. Nawet gdyby się to udało, nigdy nie wymierzyłby broni w przyjaciela, więc Zejdan odebrałby mu pistolet bez trudu.

Chamis spojrział w stronę okna. Wstał i je rozsunął. Omar usłyszał huk strzałów, dobiegający już nie z daleka, ale z bliska.

- Kondukt zmierza w tę stronę? - spytał Omar.

- Pogrzeb odbył się w Teqoa. Tu chodzi o coś innego. Strzelanina się nasiliła. Dobiegała ze wzgórza nad Bazyliką Narodzenia Pańskiego. Omar wychylił się z okna i zobaczył, że z za rogu pędzi kolumna dżipów i z piskiem opon zatrzymuje się przed komendą. Inne wozy musiały zajechać wcześniej, bo na schodach zadudniły kroki wielu ludzi.

- Idą tutaj?

- Nie, na dół, do aresztu - odrzekł Chamis, chwytając za broń. - Zostań tu, Abu Ramizie - rozkazał. Wsunął pistolet do kabury i ruszył do drzwi.

- Dlaczego idą do aresztu? - spytał Omar i nie musiał czekać na odpowiedź, żeby zrozumieć: chodziło o George'a! - Idę z tobą.

Chamis był już na schodach. Poruszał się niepewnie, był pijany. Omar ruszył za nim. Obaj schodzili wolno, mimo wysiłków, żeby przyspieszyć. Chamis przeklinał whisky, Omar swoje starzejące się członki.

Wartownik, który pilnował wejścia do komendy, stał pod ścianą z rękami w górze. Dwóch ludzi z Brygad Męczenników mierzyło weń z kałasznikowów. Bojowników było więcej. Ci, dla których zabrakło miejsca w holu, kłębili się na placu przed wejściem.

Z piwnicy dobiegł huk eksplozji. Zaraz potem - ciężki, metaliczny łomot. Napastnicy wysadzili drzwi do celi George'a.

- Co wy tu, do cholery, wyprawiacie! - krzyknął ostro Chamis Zejdan, podchodząc do bojowników z kałasznikowami. Odsunął lufy, dygoczący wartownik pod ścianą odetchnął z ulgą. - Jazda stąd albo drogo za to zapłacicie.

Zdecydowana postawa Zejdana odniosła skutek. Zbrojni w holu stracili rezon, ale tylko na chwilę, bo oto z piwnicy wychynął Dżihad Awdeh. W jednej ręce trzymał kałasznikowa, a drugą włókł za włosy nieszczęsnego George'a Sabę, który krzyczał z bólu.

Na twarzy George'a widniały świeże ślady pobicia. Z nosa płynęła mu krew, rozlewając się po całej twarzy. Oczy miał zamknięte.

Omar dotarł do ostatnich stopni. Kurczowo trzymał się poręczy, bał się puścić, niepewny, czy nogi go nie zawiodą. Zawołał do George'a, ale słowa utonęły w tumultie i wrzaskach żądnej krwi bandy uzbrojonych mężczyzn, domagających się zemsty za śmierć męczennika Husajna.

Dżihad Awdeh puścił na chwilę George'a, aby oburącz wymierzyć cios kolbą w twarz Chamisa Zejdana. Chamis zachwiał się. Policjant, trzymany pod ścianą, pośpieszył, żeby podtrzymać komendanta, który wyglądał, jakby tracił przytomność. Dżihad Awdeh zawołał, przekrzykując śmiechy i wrzaski:

- I tak oto bezbożny bękart mdleje, nie uroniwszy ani kropli whisky, którą się napompował.

Tłum pociągnął Omara ku wyjściu. Przy drzwiach mignęła mu jeszcze postać nieszczęsnego George'a. Ramiona przymalego paletka w jodełkę przesiąkły krwią. Bandyci jeden przez drugiego przeciskali się do więzienia, aby kopnąć go albo przynajmniej uderzyć kolbą.

Przez wąskie drzwi komendy Omar przecisnął się jako jeden z ostatnich. Na chodniku, tuż przy wyjściu, dostrzegł Muhammada Abdel Rahmana. Zapewne przywieźli go tu bandyci, aby zobaczyć, jak wymierzają sprawiedliwość chrześcijaninowi, który wydał Izraelczykom jego syna. Starzec patrzył pustym wzrokiem, twarz miał trupio bladą. Omar znów zadał sobie pytanie, co Muhammad naprawdę wie o śmierci syna, synowej i o Abu Walidzie. Ale zaraz potem inna myśl przemknęła mu przez głowę. Przecież ten człowiek w ciągu ledwie paru dni stracił dwóch synów - pierwszego zamordowano, drugi zginął w samobójczym zamachu wymierzonym przeciwko zwykłym ludziom. To z pewnością może odebrać chęć życia. Gdy Muhammad zauważył Omara kuśtykającego przy wyjściu z komendy, odwrócił się i zasłonił twarz rąbkiem kufii.

Tymczasem gromada oprawców wlokła George'a na plac. Ktoś zarzucił linę na jedną z latarni gazowych. Wielki Boże, to już koniec, myślał gorączkowo Omar. Ciężko dysząc, pobiegł ku oprawcom. Co zrobić? Jak ich powstrzymać? Mógłby przedrzeć się przez tłum i zasłonić George'a własnym ciałem. Z krzykiem rzucił się na ludzkie kłębowisko i wtedy tłum zaczął wiwatować. Omar podniósł wzrok i zobaczył, że George'a wieszają za nogi na latarni. Poły palta zakryły mu twarz. Już nie żyje, przemknęło Omarowi przez myśl, ale ramiona George'a, jakby w ostatnim, rozpaczliwym geście wyciągnęły się ku najbliższym stojącym, jakby chciały uchwycić się życia. Oprawcy podciągnęli linę, a potem rozległ się strzał, po nim jeszcze jeden i jeszcze. Za każdym strzałem ciało George'a Saby drgało jak rażone piorunem.

A potem zapadła cisza. Wszyscy jakby zastygli w bezruchu, mimo że do tłumy dołączyli ludzie wracający z pogrzebu. Rozległa się pieśń sławiąca Boga za śmierć zadaną zdrajcy. Omar miał wrażenie, że jest sam, a nad sobą widział tylko ciało George na sznurze. Otaczał go tłum, ale to nie byli ludzie, tylko jakieś istoty wyzute z wszelkich ludzkich uczuć. Był sam, sam ze swoim bólem. Na kamieniach pod wiszącym ciałem rozlewała się kałuża krwi. Omar miał wrażenie, że krew unosi się w powietrzu jak mżawka i rychło pokryje czerwienią wszystko dookoła. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że pada deszcz.

Tłum zaczął rzednąć. Ktoś krzyknął, żeby iść do domu zdrajcy i zrównać go z ziemią - tak jak Izraelczycy uczynią z domami Tamariego i Junisa Rahmana.

Plac opustoszał i Omar teraz naprawdę został sam, a z latarni zwisało ciało George'a. Chciał je odwiązać, ale nie mógł sięgnąć wystarczająco wysoko. Deszcz rozpadał się na dobre. Ulewa wisiała nad miastem od tygodnia. Omar spojrzął na buty. Deszcz zmywał kurz do czysta. Kałuża wody splukała kałużę krwi i różowawy strumień spływał po kamieniach do ścieku przed Bazyliką Narodzenia Pańskiego.

Omar przeniósł wzrok z bazyliki na zwłoki George'a Saby. Ciało z rękami skierowanymi w dół zdawało się nurkować z gwiazd ku mrocznej ziemi, jakby niosło ze sobą niezwykłą światłość. Znał George'a od dziecka, patrzył, jak dorasta i dojrzewa, przemienia się w mężczyznę, żeby na koniec przeobrazić się w dziurawy worek mięsa. Odwrócił wzrok i znów spojrzął na świątynię.

Człowiek jest jak Bazylika Narodzenia Pańskiego, pomyślał. Ożywa za sprawą boskiego tchnienia, ziemskie bodźce sprawiają, że trwa przy życiu. Jednakże jego oddech staje się coraz chłodniejszy, aż wreszcie człowiek umiera. Z każdym haustem wydychanego powietrza umyka z nas jakiś kawałek życia, ale też każde tchnienie przynosi ulgę, bo zbliża nas do grobu. Ziemską powłoka ludzkiej istoty jak ta bazylika ulega zniszczeniu i jak ta się odradza. W miejscu gdzie stoi świątynia, ponoć narodził się Jezus. Miał przyjść na świat w grocie, nad którą bazylika góruje. Tylko że w tej grocie nie ma nic, jedynie pustka zostaje po każdym ludzkim istnieniu. Mesjasz, który przyszedł na świat w Betlejem, nie dokończył dzieła. W tej świątyni nie ma ani ducha, ani odkupienia. Każdy oddech budzi w nas lęk, że to już ostatni, a za nim nie ma nic, tylko nicność.

Jest tylko jeden sposób, by pokonać ten lęk. Trzeba coś po sobie zostawić, zmieniać świat na lepsze. Omar Jussef zawsze ufał, że George Saba przeżyje go o długie lata i będzie dawał świadectwo, że *ustaz* wniósł swój wkład w dzieło naprawiania świata. Wierzył, że także Dima Rahman zaświadczy, że nie zmarnował czasu danego mu przez los. Patrząc na ciało wiszące na sznurze, zastanawiał się, czy całe jego życie to zniweczone nadzieje i skalane dobro. Skoro George Saba nie może już dawać świadectwa o życiu Omara, to on będzie dawał świadectwo, że George był człowiekiem uczciwym, szlachetnym i mądrym.

Zaczął rozwiązywać wielki węzeł na słupie latarni. Ciało osunęło się odrobinę. Gdy rozplatał węzeł do końca, przemoczony sznur wyslizgnął mu się z rąk. Rozłożył ramiona, żeby chwycić osuwające się ciało. Łokieć George'a uderzył go boleśnie w skroń, Omar nie utrzymał ciała, które runęło na ziemię, stracił równowagę i upadł na zwłoki. Przez chwilę leżał bez ruchu, myśląc, że jeśli miałby płakać, to właśnie teraz. I wtedy poczuł czyjąś dłoń na ramieniu.

Kiedy wstał, zobaczył obok siebie Muhammada Abdel Rahmana. Patrząc na pełną rozpaczę twarz starca, pomyślał, że jeśli straszne wydarzenia ostatnich dni mogą być źródłem siły, to tylko dla niego, nie dla stojącego przed nim człowieka.

Od zachodu dobiegły strzały. Huk mieszał się z szumem deszczu.

- Strzelają w Bejt Dżala - odezwał się starzec. - Burzą dom tego chrześcijanina. To zemsta.

- Za śmierć twojego syna?

Stary Rahman pokręcił głową. Wzrok miał martwy jak oczy trupa leżącego na ziemi.

- Nie, mój syn nic ich nie obchodzi. Mszczą się za męczennika Husajna Tamariego.

Omara ogarnął gniew. Husajn Tamari nie był męczennikiem, lecz mordercą i bandytą. Nie bacząc, że może zranić uczucia starca, który stracił dwóch synów, wskazał palcem zwłoki.

- Męczennik? Prawdziwy męczennik leży tu.

Zza rogu wyjechał policyjny dżip, wzbijając fontanny wody. Zatrzymał się przed komendą. Sześciu policjantów z kulejącym Chamisem Zejdanem pośpieszyło ku zwłokom. Czterech chwyciło George'a za ręce i nogi i zaniósło do budynku komendy. Dwaj pozostali przeganiali nielicznych gapiów, którzy jeszcze pozostali na placu.

Jeden z nich szturchnął Omara kolbą, nakazując, żeby poszedł do domu.

- Odpieprz się! - krzyknął Omar ze złością, odpychając policjanta. - A gdzie byliście dziesięć minut temu, gdy wieszano waszego więźnia? Nie dotykaj mnie!

Podszedł do nich Chamis Zejdan. Odsunął policjanta, wziął Omara za ramię. Cios Dżihada musiał być mocny. Górna warga pod wąsami komendanta nabrzmiała, zęby miał zakrwawione. Omar zastanawiał się, czy Chamis się wstydzi, czy tylko jest otępieły od ciosu i nadmiaru whisky.

Poprzez deszcz dobiegł nieregularny odgłos strzałów.

- A co to znowu? - zdziwił się Zejdan.

- Ludzie z Brygad Męczenników pojechali do Bejt Dżala burzyć dom George'a - rzekł Omar.

- A jego rodzina tam jest?

- Tak.

Chamis Zejdan pchnął Omara w stronę dżipa.

- Jedziemy. Omar Jussef z trudem wygramolił się z tylnego siedzenia policyjnego dżipa. Był przemoczony do nitki, nogi miał zeszywniałe od zimna, palce zlodowaciałe i opuchnięte. Otrząsnął się, przestąpił parę razy z nogi na nogę, żeby krew zaczęła krążyć, i spojrzał na dom George'a Saby.

Ludzie z Brygad Męczenników otoczyli budynek. Kilku zbrojnych klęczało na dachu, prowadząc ogień w kierunku izraelskich pozycji po drugiej stronie doliny. Na taką odległość i przy tej widoczności - chmury wisiały nisko nad ziemią - tylko za sprawą jakiegoś szczęśliwego przypadku mogliby trafić. Z drugiej strony też odpowiadano ogniem, ale mało który z pocisków smugowych uderzał w cel. Kule więzły w ziemi obok domu Sabów albo

niosły dalej i trafiały w budynki po drugiej stronie ulicy. Przed domem stali ludzie z Brygad. Paru spojrzęło na dżipa, reszta przepychała się do drzwi i okien, aby widzieć, co dzieje się wewnątrz. Wydawało się, że to, co widzą w środku, zwłaszcza w sypialni, ogromnie ich bawi.

Chamis Zejdan z policjantami ruszyli do domu Sabów. Wystawiony na izraelski ostrzał odcinek między budynkami pokonali biegiem. Dotarli do kordonu otaczającego dom. Zejdan rozkazał, żeby zrobiono przejście, w odpowiedzi padły przekleństwa. Zaczęła się przepychanka. Omar, niezauważenie dla wszystkich, przedreptał bokiem i wszedł na schody wiodące do domu Sabów. Zaskoczyło go, że w środku huk strzałów brzmiał donośniej niż na zewnątrz.

W salonie panował mrok, światła były wygaszone, worki z piaskiem, które zabezpieczały okna, zostały usunięte. Kryjąc się za załomami ścian, bandyci ostrzeliwali z okien izraelskie pozycje. Huk był ogłuszający. Omar zatrzymał się w drzwiach. Jeden z bandytów przerwał na chwilę ogień i odwrócił się do drzwi. Twarz miał nieprzytomną z podniecenia. Oczy równie ciemne, jak zęby poczerniałe od żucia betelu, błyszcząły złowrogo. Omar rozpoznał Mahmuda Zubejdę - policjanta, którego córka przyniosła wiadomość o aresztowaniu George'a Saby. Na widok Omara Zubejda przestał się uśmiechać. Na jego twarzy pojawił się wyraz zmieszania i zawstydzenia, a także złość. Przybycie nauczyciela zaskoczyło go i pozbawiło pewności siebie, jaką dawała mu anonimowość wyzwalamąca w nim zwierzęce instynkty, które zwykle głęboko ukrywał.

Omar ominął go wzrokiem, poszedł dalej, skręcił na lewo do sypialni. Rodzina George'a siedziała, tłocząc się w gromadkę pod ścianą. Stanowili dowód, że George wybrał niewłaściwą drogę. Zginął, ponieważ chciał ratować rodzinę, ale oddając życie, sprowadził na rodzinę śmiertelne niebezpieczeństwo. Potem Omar pomyślał, że gdyby jego były uczeń postąpił inaczej, leżałby pewnie teraz na podłodze, dygocząc ze strachu. Więc może droga, którą wybrał, nie była niewłaściwa? To nie on uczynił źle, ale jemu wyrządzono zło.

Sofia podniosła wzrok. Łzy rozmazały makijaż na jej twarzy. Ramionami obejmowała dwójkę dzieci. Habib Saba siedział obok w bezruchu i milczeniu. Trzymał na kolanach coś, co wyglądało na książkę. Omar chciał odezwać się do Sofii, gdy dostrzegł jakiś ruch pod przeciwną ścianą sypialni.

Dżihad Awdeh siedział rozparty na starym damasceńskim fotelu tuż obok komody stojącej przy łóżku. Na widok Omara wstał, wyrzucił niedopałek papierosa przez okno, zaśmiał się i podniósł broń do strzału.

W pierwszym odruchu Omar chciał uskoczyć, zawrócić do wejścia, ale coś go powstrzymało, być może wspomnienie George'a, który nie ugiął się przed złem. Spojrzał prosto w oczy Awdeha.

- Jak widzisz, Abu Ramizie, roztoczyliśmy należytą opiekę nad rodziną zdrajcy. Cieszę się, że i ty zechciałeś tu przybyć - odezwał się Awdeh, trzymając Omara na muszce.

- Dżihad, zdajesz sobie chyba sprawę, że jeśli mnie skrzywdzisz, wywołasz wojnę z największym klanem w całej Dehajszy, więc lepiej się zastanów.

- Kule latają tu tak gęsto jak twoje oskarżenia wobec męczennika Husajna, który według ciebie był kolaborantem i mordercą. Któraś z nich może cię trafić, prawda? Sądzę, że twój klan chętnie uzna, że poniosłeś śmierć z rąk Izraelczyków. Większość ludzi woli uniknąć kłopotów.

- Ale nie ty.

- Ani ty. - Dżihad podszedł bliżej.

- Nie sądzisz chyba, że w ten sposób umocnisz chwałę Husajna Tamariego - odezwał się Omar. - Źle robisz, Dżihad. Każesz strzelać z wnętrza tego domu, bo wiesz, że Izraelczycy w odpowiedzi obrócą go w perzynę.

Awdeh uniósł brwi, przeładował kałasznikowa i wymierzył prosto w pierś Omara.

To koniec. Przynajmniej nie będę wisiał za nogi na placu, przemknęło Omarowi przez myśl, a przed oczami stanęła mu Nadia ze smutną buzią i opuszczonymi oczami. Zmusił się jednak, żeby o niej nie myśleć. Skoro wybiła jego ostatnia godzina, to przywita ją bez lęku. Wbił wzrok prosto w czarne oczy Dżihada.

Zanim nastąpił wybuch, dał się słyszeć głośny szum, jakby nadlatywał odrzutowiec. Dżihad Awdeh zdążył jeszcze spojrzeć w górę. Omar ogłuchł, jakby z nagłą znalazł się pod wodą, i w tym momencie runęła ściana. Omara rzuciło ku wyjściu, uderzył głową o poręcz, stoczył się po schodach i padł na coś miękkiego.

Kiedy się ocknął, zobaczył, że leży na dwóch bandytach, którzy w panice próbowali go z siebie zepchnąć, jakby był trupem, którego lepiej nie dotykać. Zrzucili go do kałuży. Zimna woda przywróciła mu świadomość, zaczął wstawać i był na czworakach, kiedy Chamis Zejdan z policjantem chwycili go pod ramiona i postawili na nogi.

- To był strzał z czołgu - ocenił Zejdan. - Nic ci nie jest?

- Z czołgu?

- Ludzie z Brygad strzelali z wnętrza budynku. Ściany domu są grube i Izraelczycy nie mieli wyboru. Trafili w okno salonu, skąd bandyci strzelali. Pocisk przebił ściany, a wybuch wyrzucił cię na zewnątrz. Kto jeszcze był w środku?

- Cała rodzina George'a.

Policjanci i bojownicy skoczyli do wejścia. W sypialni znaleźli Dżihada Awdeha. Z rany na głowie płynęła krew. Twarz pokryta kurzem wyglądała upiornie. Pomogli mu wstać i wyprowadzili na zewnątrz. Omar myślał, że wódz Brygad zaraz zacznie go szukać, ale Awdeh z trudem unosił powieki, a wzrok miał zamglony jak człowiek pogrążony w modlitwie. Powłókł się na ulicę, gdzie już migały światła karetki pogotowia.

Pocisk zrujnował niemal całą ścianę między salonem a sypialnią. Omar i Chamis zaczęli się rozglądać. Antyczne meble George'a na wpół spalone. Stroje ślubne na wieszakach jeszcze dymiły, z plastikowych opakowań unosiły się trujące opary. Z tekowej komody zostały tylko nogi. Francuska statuetka, stojąca na niej, ocalała. Leżała na posadzce. Omar przypomniał sobie, że kobiecy akt dłuta Rodina nosił nazwę „Męczennica”. W salonie, pod wyrwą w zewnętrznej ścianie, w którą uderzył pocisk, leżały cztery ciała. Chamis Zejdan pochylał się nad pierwszym ciałem.

- Mahmud Zubejda.

Omar spojrzał na martwą twarz policjanta. Błada skóra ledwo kryła kości, otwarte wargi ukazywały zbrązowiałe zęby. Wyglądał jak wydobyty z grobu po wielu latach. Spełniły się koszmary, które - jak wyobrażał sobie Omar - córka Zubejdy przeżywała co noc. Zadał sobie pytanie, czy zdobędzie się na to, aby zapewnić Chadidżę, że jej ojciec zginął jako szczęśliwy człowiek, bojownik i męczennik. Przypomniał sobie wyraz wstydu i złości na obliczu Zubejdy, gdy wszedł tu kilka minut wcześniej. Niech lepiej kto inny powiadomi córkę o bohaterstwie ojca. Omar nie był zdolny powiedzieć jej, jak zginął Mahmud Zubejda. Musiałby wyjawić całą ohydę tego, co się stało, nie wyłączając budzących odrazę zwłok i krwi sączącej się w kurzu i brudzie.

Czy opowie także o ścianie, która runęła? O rodzinie, która pod nią spoczęła?

Zaczął usuwać kamienie z rumowiska. Chamis Zejdan i policjanci też się wzięli do roboty. Kiedy odgrzebali Sofię i dzieci, policjant stojący najbliżej cofnął się i zwymiotował. Komendant razem z innymi podnieśli ostatni złom, skrywający nogi Sofii. Żona George'a Saby nie żyła. Czaszkę miała zgniecioną, kark złamany. Dzieci, które trzymała w ramionach leżały bez przytomności. Chamis Zejdan sprawdził puls obojga i przeniósł je na łóżko. Wyglądały na mocno poturbowane, ale medyk, który je zbadał, ocenił, że przeżyją.

Omar podszedł do Chamisa.

- A Habib Saba?

Chamis spojrzał na rumowisko, dał znak swoim ludziom. Znów zaczęli odgarniać kamienie i cegły. Po kilku chwilach odsłonił ojca George'a Saby. Starzec siedział dokładnie

w takiej samej pozycji, w jakiej zastał go Omar, gdy wszedł do sypialni. Kolana pod brodą, ręce obejmujące kostki. W łysej czaszce ziała ogromna rana. Omarowi przemknęło przez myśl, że oto spełniło się życzenie starca, który pragnął już tylko śmierci. Dla siebie, a także dla wnuków i synowej, bo wiedział, że nie zdoła ich uratować, tak jak nie wierzył, że uda się ocalić syna. Może miał rację. Gdyby Omar nie próbował ocalić George'a, gdyby nie poszedł do Dżihada Awdeha, nie powiedział mu wszystkiego, co wiedział, George miałby przynajmniej łżejszą śmierć. Stałby przed plutonem egzekucyjnym, a nie zostałby zlinczowany przez oszalały tłum. Omar nadal nie pojmował spokoju Habiba Saby. Pomyślał, że ciało starca wygląda tak, jakby wybuch i spadające kamienie wcale go nie tknęły. Tkwiał pośród ruin jak rzeźba jakiegoś starożytnego monarchy pieczołowicie odkopywana przez archeologów.

Policjanci podnieśli ciało. Gruba czarna księga spadła na posadzkę. Omar podniósł ją, otrząsnął z kurzu, otworzył. Zobaczył wykaligrafowaną dedykację: „Dla Abu Omara. Niech Bóg sprawi, aby między naszymi religiami zawsze panowała taka harmonia, jak między nami. Twój serdeczny przyjaciel - Issa”. Tę księgę ojciec Omara dostał od księdza w Jerozolimie w czasach, gdy palestyńskich muzułmanów i chrześcijan nie dzieliła przepaść nienawiści. Później Omar podarował ją George'owi Sabie. Niosła mu pociechę na emigracji i przypominała o ukochanym rodzinnym mieście. Ojciec George'a miał ją przy sobie w chwili śmierci i osłaniał własnym ciałem tak, jak Sofia ochraniała dzieci, jakby chciał ocalić nie tylko księgę, ale i lepszy świat, która ona symbolizowała.

Omar wyjął chusteczkę, otarł pot z czoła, aby ją zwilżyć, i zaczął wycierać księgę. Spod kurzu wyłoniła się czarna i błyszcząca jak krucze pióra skórkowa okładka Biblii.

Deszcz rozpadał się na dobre. Karetka zabrała dzieci George Saby, zanim znów zaczął się ostrzał. Z drugiej karetki wygramolił się Dżihad Awdeh. Sanitariusze próbowali go zatrzymać, ale odepchnął ich ze złością. Jego ludzie wzięli go pod ramiona i odtrącając policjantów, zaprowadzili do dżipa, po czym odjechali.

Chamis Zejdan raz jeszcze spojrzął na zrujnowany dom Sabów, wydał kilka poleceń swoim ludziom i wziął Omara za łokieć.

- Zawiozę cię do szpitala.
- Nic mi nie jest.
- A jednak lekarz powinien cię zbadać, tak będzie rozsądniej.
- Przecież mówię, że nic mi nie jest.
- Dwa razy w ciągu dwóch dni przeżyłeś wybuch. Nawet jeśli niczego nie widać, możesz mieć jakieś obrażenia wewnętrzne. Jedźmy do szpitala.

- Nie. Zawieź mnie do domu, jestem przemoczony, muszę się przebrać.

Omar zajął miejsce pasażera w policyjnym dziupie. Jechali wolno, zostawiając za sobą strome ulice Bejt Dżala. Omar milczał. Ogarniała go złość, że znów musi korzystać z uprzejmości człowieka, który mógł przecież zapobiec tej rzezi. Ale nie wolno obwiniać tylko Chamisa Zejdana, myślał. Wszzechogarniająca korupcja sprawia, że nawet komendant policji niewiele może zrobić. Jednocześnie Omar nadal uważał, że jego przyjaciel był w najlepszym razie biernym uczestnikiem morderstwa, a w najgorszym to on właśnie naprowadził morderców na ofiarę.

Chamis jakby czytał w jego myślach. Kilka razy odwracał się i patrzył na Omara, ale ten odwracał wzrok, udając, że obserwuje obóz dla uchodźców Aida, który właśnie mijali. Wreszcie szef policji nie wytrzymał.

- Widzę, że nadal obwiniasz mnie za to wszystko i jesteś na mnie zły.

Omar nie odpowiedział. Mimo wszystko nie chciał urazić przyjaciela i nie miał siły na dyskusję.

- Mam rację? - Chamis podniósł głos. - Ciągłe uważasz, że to moja wina?

Omar stracił panowanie nad sobą. Przestał się kontrolować.

- Oczywiście, że tak. Jesteś szefem policji, prawda? I chcesz mnie przekonać, że komendant nie ponosi żadnej winy za to, że niewinnego człowieka wywlekają z aresztu i wieszają na latarni tuż przed komisariatem? A za to, że banda opryszków ściąga ogień izraelskich czołgów na dom niewinnych ludzi, komendant też nie odpowiada?

- Nie masz pojęcia o naciskach, jakim jestem poddawany.

- Niby jakim?

- Żeby przemykał oczy. Na wszystko, co tu się dzieje.

- Nie wierzę.

- Wydaje ci się, że skoro noszę mundur, to mam większą władzę niż taki Husajn Tamari czy Dżihad Awdeh. Otóż tak nie jest. Za nimi stoją ludzie z samej góry. - Chamis ściszył głos, ale nadal brzmiała w nim nuta gorczy. - Lincz to było za wiele, nawet dla mnie. Ale skąd miałem wiedzieć, że do tego dojdzie? Sam widziałeś, że próbowałem ich powstrzymać. Przecież byłeś przy tym.

Omara ogarnęło współczucie dla człowieka, który całe życie poświęcił walce dla ludzi, którzy teraz go zdradzali. Jeśli nawet zachowuje się czasami jak otaczający go bezwartościowi ludzie, to jeszcze nie znaczy, że sam przesiąkł złem do szpiku kości.

- A dlaczego nie wierzyłeś, że to Husajn Tamari naprowadził Izraelczyków na dom Rahmanów w Irtas? Że to on był tym konfidentem, który wskazał Louaia, i że to on zabił Dimę Rahman, aby zatrzeć ślady?

- Nie zaczynaj na nowo.

- Posłuchaj mnie, Chamisie. To już nie ma znaczenia. Husajna Izraelczycy upolowali ze śmigłowca, więc morderca nie żyje. George Saba też nie żyje, więc nie ma już sprawy, że niewinnemu człowiekowi grozi egzekucja. Historia dobiegła końca. Moje tak zwane dochodzenie też dobiegło kresu. Jesteś tylko ty i ja, więc powiedz, dlaczego mi nie uwierzyłeś? Pokazałem ci przecież łuskę z karabinu Husajna, przedstawiłem ci dowód.

- Louai poległ od kul izraelskiego snajpera. Łuska, którą znalazłeś, pochodziła z MAG-a. To nie mógł być dowód przeciw Husajnowi, skoro Louaia nie zabito z MAG-a. Dimy też nie zastrzelono z MAG-a, podcięto jej gardło. Twoje hipotezy są znakomite, tyle tylko że nieprawdziwe.

- Niekoniecznie. Jeśli Husajn nie zabił Louaia, to mógł przecież naprowadzić Izraelczyków na niego, a łuska dowodzi, że był na miejscu. To on wskazał cel izraelskiemu snajperowi, który korzystał z laserowego celownika - to ta czerwona plamka, o której wspominała Dima.

Dojeżdżali już na miejsce. Chamis nacisnął na hamulec. Zatrzymał dżipa przy krawężniku.

- W porządku - rzekł - jeśli tego oczekujesz, to powiem: przepraszam. Przepraszam, że ci nie wierzyłem. Ale zrozum, nic nie mogłem zrobić. W rzeczywistości nie miałeś oczywistych dowodów, a nawet gdybyś miał, to i tak były bezwartościowe. Bo tu, u nas, w takich sprawach nie liczą się dowody. Wiara, wpływy i zło - oto co się liczy.

Omar zastanawiał się, czy powiedzieć przyjacielowi, że go podejrzewał, ale czuł się ogromnie zmęczony. Postanowił nie przeciągać rozmowy. Kiwnął głową i w milczeniu wysiadł z dżipa. Machnął ręką, w której trzymał Biblię, i popatrzył jeszcze, jak Chamis zawraca i rusza w swoją stronę. Czuł, że krople deszczu spływają mu z karku na plecy. Schował Biblię do kieszeni marynarki.

Rów, który Izraelczycy wykopali dwa dni temu, sięgał aż po chodnik. Omar przeskoczył przez niski murek okalający dom i wszedł do środka.

ROZDZIAŁ 26

Mariam czekała w salonie. Otulona kocem drzemała, trzymając śpiącą Nadię. Omar aż zdrzął, tak bardzo ten obraz przypominał mu Sofię i dzieci. Twarz śpiącej Mariam była tak nieruchoma, jakby pozbawiona życia. Omar poczuł ulgę, kiedy otworzyła oczy.

- Opowiadałam Nadii bajkę - szepnęła. - Nie chciała iść do łóżka. Powiedziała, że poczeka na ciebie.

Omar położył Biblię George'a na stoliku. Wspólnie z Mariam podnieśli śpiącą wnuczkę i zanieśli do swojej sypialni. Omar stąpał ostrożnie, żeby nie obudzić dziecka, ale także żeby nie urazić swego kręgosłupa, który znów dawał znać o sobie po deszczu i wysiłku przy usuwaniu gruzów w domu Sabów.

- Dzwonili do ciebie z biura ONZ w Jerozolimie. Zapisałam numer na kartce. Telefonowali bardzo późno.

No cóż, przemknęło mu przez myśl, pewnie zostali po godzinach, żeby zająć się sprawą szkoły i nieszczęsnego Steadmana.

- Jestem przemoczony. Przebiorę się tylko i położę się tu, w salonie.

- Zrobię ci herbatę. A może wolisz zupę?

- Dziękuję, herbata wystarczy.

Przebrał się w piżamę, włożył ciepły szlafrok, a gdy Mariam przyniosła herbatę, wziął ją za rękę.

- Co się stało, Omarze?

- George nie żyje. Mówiąc to, uświadomił sobie nagle, że po raz pierwszy wypowiada te słowa, i poczuł ich ciężar. Gardło mu ścisnęło i nic już więcej nie był w stanie powiedzieć. Zaszlochał.

Mariam objęła go ramieniem i przyciągnęła do siebie.

Uspokoił się, zaczął opowiadać, co się zdarzyło, czego był świadkiem. Rozplakała się razem z nim.

Tak dobrze mnie zna, myślał Omar. Różne rzeczy przed nią ukrywałem i wydawało mi się, że już nie jesteśmy sobie bliscy, ale przecież żyjemy ze sobą tyle lat, że czujemy i myślimy tak samo. Jesteśmy sobie bliscy i zawsze razem, choć czasami możemy się różnić w ocenach tego, co dzieje się w polityce albo w mieście. Nie chciała, abym dochodził prawdy w sprawie George'a. Lękała się, że narażam się na niebezpieczeństwo, ale cały czas wiedziała, ile ta sprawa, ile George dla mnie znaczył.

Siedzieli długo, tuląc się do siebie. Kiedy Omar spojrział na zegar stojący na szafce, było już wpół do trzeciej.

- Idź do łóżka, Mariam.

- Przyniosę ci koc.

- Dziękuję, chyba już nie zasnę. Poczytam trochę.

- Zrobię herbatę i posiedzę z tobą.

Mariam poszła do kuchni i wtedy się zaczęło. W ciszę nocną wdarł się ogłuszający warkot śmigłowca. Maszyna zawisała tuż nad domem Omara. Szum łopat zagłuszył nawet szcęk gąsienic czołgów i warkot dżipów zjeżdżających ze zbocza do Dehajszy. Omar podszedł do okna. Sądził, że wojsko przybyło, aby poszerzyć rów wykopany dwa dni temu, ale nie dostrzegł żadnej koparki ani spychacza. Dwa czołgi i dwa transporterzy opancerzone zatrzymały się tuż przed jego domem. Omar pokuśtykał do kontaktu, żeby wyłączyć światło. Kiedy wrócił do okna, z transporterów wysiadali żołnierze i biegli pochyleni do budynku naprzeciwko. Wróciła Mariam, w jej oczach malował się lęk.

- Przyszli chyba po Dżihada Awdeha - szepnął Omar. - Obudź Ramiza i dzieci. Niech tu przyjdą. Nie chciałbym, aby ze snu wyrwał ich jakiś żołnierz. I postaraj się ich uspokoić.

Na ulicy tymczasem trwała akcja. Wyznaczeni żołnierze objęli posterunki u wylotu ulicy. Omar uchylił okno. Z radia w transporterze dobiegły hebrajskie słowa.

W bramie apartamentowca naprzeciwko pojawili się żołnierze. Omar pomyślał, że pewnie nie znaleźli Dżihada Awdeha i kończą operację. Mylił się. Za trójką żołnierzy z bramy wysypała się gromada cywili. Wojsko wyprowadzało mieszkańców przed dokładnym przeszukaniem budynku. Gromada wyrzuconych kierowała się do domu Omara. Poszedł więc otworzyć drzwi. Pierwszy na progu stanął żołnierz. Twarz miał pomalowaną niebieską i oliwkową farbą maskującą, jak do walki w otwartym terenie. Po co używać czegoś takiego do akcji w apartamentowcu, pomyślał. Z pewną obawą Omar czekał, w jakim języku żołnierz się odezwie. Niektórzy znali arabski i ci byli najgorsi. Im więcej wiedzieli o Arabach, tym bardziej zdawali się nimi pogardzać.

Żołnierz wyrzucił z siebie jakieś hebrajskie słowa.

- Zna pan arabski lub angielski? - spytał Omar po angielsku.

- A pan nie nauczył się hebrajskiego? - odparł żołnierz po angielsku.

- Zawsze byłem zbyt wielkim optymistą.

Żołnierz uśmiechnął się, ukazując białe zęby. Przeszedł obok Omara i zajrzał do holu. Mariam z Nadią wyszły z sypialni. Z dołu dobiegł głos Ramiza ponagląjący żonę, żeby się ubrała. Mariam zbladła na widok pomalowanego żołnierza. Nadia też była wystraszona.

- Niechże pan opuści karabin - odezwał się Omar. Żołnierz zniżył lufę swego M-16.

- Prowadzimy przeszukania w tej okolicy - wyjaśnił. - Musieliśmy ewakuować mieszkańców budynku naprzeciwko. Pada, więc przyprowadziliśmy ich do was.

Omar kiwnął głową na znak, że rozumie.

Gromadka sąsiadów zaczęła wchodzić do środka. Omar pozdrowił ich, zapraszając wszystkich do salonu. Mariam chciała pójść do kuchni, aby przygotować herbatę, ale żołnierz

ją powstrzymał. Kazał przyprowadzić domowników i razem ze wszystkimi przejść do salonu. Dzieci popłakiwały, na twarzach gości malował się lęk, wszyscy byli niewyspani.

Jako ostatni z sąsiadów weszli Amdżad i Lejla. Amdżad uściskał dłoń Omara, dziękując za gościnę. Omarowi zrobiło się wstyd, że łakomie spogląda na jego żonę. Amdżad był przecież przyzwoitym człowiekiem i dobrym sąsiadem, ale Lejla wyglądała bardzo pociągająco w dżinsach i bawełnianej bluzeczce, którą spiesznie narzuciła na siebie, gdy żołnierze załomotali do ich drzwi. Zdążyła nawet uładzić trochę włosy, jednak były rozpuszczone, zapewne tak jak wtedy, gdy leżała w łóżku.

Żołnierz od drzwi obserwował wszystkich zgromadzonych. Omar znał wszystkich obecnych, z wyjątkiem kobiety z dwojgiem dzieci, siedzącej w kącie. Domyślił się, że to nowi lokatorzy - rodzina Dżihada Awdeha. Ostrożnie stąpając między dzieciakami, które rozsiadły się na dywanie, podszedł do nieznamojącej.

- Jest pani małżonką Dżihada? - spytał szeptem.

- Tak - odpowiedziała spokojnie.

Była młoda i cicha. Omar spojrzał na chłopca, który stał za nią. Przypomniał sobie, że właśnie ten malec otwierał mu drzwi, gdy sześć godzin temu przyszedł do Awdeha, aby błagać o ocalenie George'a Saby.

- Spotkaliśmy się już, prawda? - zagadnął. Chłopiec kiwnął głową.

- Jak się nazywasz?

- Walid Dżihad Brahim Awdeh. Omara olśniło.

- Jesteś najstarszym synem Dżihada?

- Tak.

A więc pierwotny syn Dżihada Awdeha ma na imię Walid, zatem Dżihad to Abu Walid - ojciec Walida! To zaś może znaczyć, że przez cały czas Omar podejrzewał niewłaściwego człowieka. Najstarszy syn Tamariego też nosił imię Walid, ale Tamari niekoniecznie musiał być tym Abu Walidem, do którego zwracał się Louai tuż przed śmiercią. Mógł nim być Dżihad Awdeh, a skoro tak, to właśnie Dżihad był prawdziwym zabójcą i kolaborantem.

George widział, że Dżihad zbiera coś spiesznie z dachu i chowa w kieszeniach, kiedy zmusił bojowników Brygad do zejścia z dachu. Były to zapewne zużyte łuski od MAG-a.

Louaia zabito z innej broni, ale łuska od MAG-a znalazła się na miejscu zbrodni. Czy wypadła z kieszeni Dżihada?

Omar chciał jak najszybciej podzielić się swym odkryciem z Chamisem Zejdanem, ale w obecności żołnierza nie mógł skorzystać z telefonu. Będzie musiał poczekać, aż wojsko

skończy przeszukiwanie i sąsiedzi wrócą do siebie. Nagle serce podeszło mu do gardła. Może przecież dojść do rewizji w jego domu. Znajdą webleya! Aresztują go. Będą trzymać miesiącami bez procesu. W tym czasie Awdeh umocni swoją pozycję na tyle, że Chamis nie będzie go mógł zatrzymać. Nawet teraz nie wiadomo, czy szef policji mógłby wystąpić przeciwko Dżihadowi. W każdym razie trzeba zawiadomić Zejdana natychmiast, póki jeszcze ma poczucie winy z powodu linczu na George'u.

- Ale żołnierze nie znajdą twego ojca w domu, prawda? - spytał Omar chłopca.

Ten nic nie powiedział. Spojrzał tylko na Omara wyzywającym wzrokiem, jakby chciał oznajmić, że na takie pytania nie zamierza odpowiadać. Dla tego malca Dżihad Awdeh był bohaterem i pozostanie nim, nawet gdyby Omarowi udało się przekonać władze do postawienia wodza Brygad Męczenników przed sądem.

Przez ponad godzinę żołnierz nie pozwalał nikomu wyjść z salonu. Wzmagął się odór. Kilku malców nie wytrzymało i posiusiało się na dywan. Kobiety popłakiwały. Wszyscy mężczyźni palili. Omara łupało w kręgosłupie. Żałował, że po przyjsciu nie wziął gorącego prysznic. Od dymu drapało go w gardle, nie mógł opanować kaszlu. Marzył tylko o jednym: żeby wreszcie się stąd wyrwać i przygwoździć drania, który wrobił George'a Sabę. Z nienawiścią patrzył na pilnującego wszystkich żołnierza. Przez takiego typa, myślał, nie mogę zawiadomić policji, aby zrobiła, co trzeba, w imię sprawiedliwości. Skończcie już to cholerne przeszukiwanie i wynoście się z mojego domu ze swoją głupią bronią i groteskową farbą maskującą na pyskach. Zastanawiał się, czy powiedzieć żołnierzowi, że Dżihad Awdeh ukrył się w Bazylice Narodzenia Pańskiego. Jednakże nie widział żadnej możliwości porozmawiania w cztery oczy, a poza tym, gdyby coś takiego powiedział, stałby się podejrzany i mogliby go aresztować. Ale najważniejsze było co innego - miał świadomość, że nigdy nie wydałby Palestyńczyka izraelskim żołnierzom. Nie chciał, aby Dżihada Awdeha zabito. Chciał, aby Dżihada aresztowano i zmuszono, aby przyznał się do winy. Martwy zostałby bohaterem, męczennikiem, podczas gdy zasługiwał wyłącznie na upokorzenie.

Dochodziła czwarta, gdy radiostacja na ramieniu żołnierza zatrzeszczała i rozległ się jakiś niezrozumiały komunikat. Zaraz potem żołnierz bez słowa wyszedł. Omar odczekał chwilę i poszedł za nim. Wyjrzał na zewnątrz. Żołnierz wsiadał właśnie do transportera, po nim do wozu wskoczyło jeszcze dwóch, zatrzaśnięto drzwi i transporter oraz pozostałe wozy ruszyły do bazy po drugiej stronie Dehajszy.

Omar wrócił do salonu. Wszyscy stali w oknach, patrząc na odjeżdżające wojsko.

- Pojechali - oznajmił Omar.

- Pójdę do kuchni zrobić herbatę - powiedziała Mariam. Omar myślał tylko o tym, żeby się ubrać i pójść do Chamisa Zejdana.

- Mariam, nasi goście są zmęczeni. Na pewno chcą wrócić do siebie i odpocząć.

- Omarze, nie bądź nieuprzejmy. Filiżanka herbaty dobrze nam zrobi.

Nie mógł się sprzeczać na oczach wszystkich. Zmarszczył czoło i poszedł do sypialni, żeby się ubrać. Gdy tylko goście opuszczą ich dom, pójdzie do Chamisa. Włożył grube spodnie, koszulę i sweter - przed świtem zawsze jest najzimniej. Podniósł słuchawkę, wykręcił domowy numer Zejdana. Cisza. Wybrał numer w komendzie. Też cisza. Dopiero po kilku próbach ktoś wreszcie odebrał.

- Muszę pilnie porozmawiać z Abu Adelem.

- Jest noc... - dobiegł go zaspany głos dyżurnego sierżanta.

- Czemu nie czuwacie? Izraelczycy są w mieście.

- I co z tego? Mamy ich aresztować?

- Muszę rozmawiać z Abu Adelem. Chodzi o morderstwo.

- A kto mówi?

- Abu Ramiz.

- Nauczyciel?

- Tak. Jestem przyjacielem Abu Adela.

- Wiem. Skoro jest pan jego przyjacielem, Abu Ramizie, to radzę poczekać do rana.

Abu Adel nie może teraz rozmawiać. Domyśla się pan, o czym mówię.

Usłużna pamięć podsunęła Omarowi obraz butelki whisky w gabinecie Chamisa. Tak, doskonale wiedział, co sierżant ma na myśli.

- W porządku, skontaktuję się z nim rano. Powiedzcie tylko, że dzwoniłem.

Sięgając po buty, Omar zerknął na szufladę ze skarpetkami. Otworzył, wyjął webleya i zatknął za pas.

Mariam zajrzała przez drzwi, niosąc tacę z filiżankami herbaty.

- Omar, ubierasz się? - spytała zdumiona. Wyminął ją i skierował się do wyjścia.

- Idę do bazyliki. Padał zimny deszcz, kiedy Omar Jussef przechodził spieszenie przez plac Żłóbka. Przystanął na chwilę w miejscu, gdzie zginął George Saba, podniósł głowę i spojrzał na blade światło latarni gazowej. Oczami duszy widział umęczone ciało George kołyszące się na linie umocowanej do żelaznego ramienia latarni. Nagle poczuł, że siły go opuszczają. Gdzieś odpłynęła cała energia i byłby zawrócił, gdyby nie dotknął kolby webleya za pasem. Dotyk metalu przypomniał mu, po co tu przyszedł. Wiedział, że musi wejść do bazyliki.

Kamienny chodnik przed ormiańskim klasztorem spływał deszczem. Krople biły w beret z takim łośkotem, że Omar zaczął się zastanawiać, czy Dżihad Awdeh kryjący się w czeluściach bazyliki nie usłyszy jego kroków. Z Wrót Pokory wychynęła jakaś postać. Na widok Omara zamarła w miejscu. Omar też przystanął. Przez chwilę obaj mężczyźni patrzyli na siebie poprzez strugi deszczu. Omar postąpił naprzód. Nieznajomy cofnął się. Nie mógł to być Dżihad Awdeh, ten by nie tchórzzył. Omar podszedł jeszcze bliżej i wtedy rozpoznał Eliasa Bizarę. Mokre od deszczu rzadkie czarne włosy oblepiały łysiejącą czaszkę. Grube szkła okularów zaszyły mgłą. Deszcz wsiąkał w czarną sutannę, ale pod pachami widać było brązowiejące plamy od potu. Elias Bizarę rozłożył ramiona i przyłgął do ściany świątyni, jakby chciał się w nią wtopić.

- Elias, to ja, Abu Ramiz.

Młody ksiądz jakby nie słyszał. Dopiero po chwili odetchnął z ulgą.

- Myślałem, że to moja ostatnia godzina.

- A on? Jest w środku, prawda?

- Dżihad Awdeh? Tak. Czekałem na niego, jak ci obiecałem, Abu Ramizie. Modliłem się za bazylikę i za George'a Sabę. Ale okazałem się słaby. Siły mnie opuściły, gdy Awdeh wymierzył we mnie pistolet i kazał wyjść. Uciekłem.

- Jest sam?

- Tak, poza nim nie ma nikogo. Wielki Boże! Chciałem tam zostać, strzec bazyliki i nie dałem rady. Nie miałem siły, Abu Ramizie.

- Staraleś się, jak mogłeś. Nie miej wyrzutów sumienia. - Omarowi zrobiło się żal byłego ucznia. - A gdzie on się ukrył?

- Był przy głównym ołtarzu, ale teraz może być wszędzie. Zaraz pewnie przyjdzie wojsko. Żołnierze wejdą do bazyliki, aby go aresztować. To katastrofa, Abu Ramizie. On jest diabłem. Patrzyłem w twarz szatana. - Elias przetarł szkła rękawem sutanny. - A ty, Abu Ramizie, co tu robisz?

Omar spojrział na ciemną bramę kościelną. Dżihad Awdeh kryje się wewnątrz.

- Abu Ramizie, chodzi o George'a, prawda? Dlatego tu przyszedłeś. - Elias chwycił Omara za klapy marynarki. - Nie rób tego, nie poświęcaj się. On cię zabije! Dżihad nie da się stąd wyprowadzić. Zabije cię w bazylice.

Omar położył ręce na ramionach Eliasa.

- Muszę to zrobić.

Łzy potoczyły się z oczu księdza. Puścił klapy Omara i pozwolił mu odejść.

Przed Wrotami Pokory Omar się zawahał. Serce biło mu jak młotem. Tam za nimi, w czeluściach Bazyliki Narodzenia Pańskiego, był tylko jeden człowiek.

Pochylił się i przeszedł przez Wrota Pokory. Zabolalo go w krzyżu, wyprostował się, rozmasował bolące miejsce. Po drugiej stronie Wrót Pokory panował nieprzenikniony mrok i głucha cisza. Omar przypomniał sobie, co Dżihad mówił Lejli. Gdy tylko zjawi się wojsko, ucieknie do bazyliki. Izraelczycy nie będą śmieli naruszyć świętości miejsca narodzin Chrystusa, bo cały świat zapalałby oburzeniem. To właśnie zdanie nie dawało Omarowi spokoju. Świat się oburzy, świat stanie po stronie mordercy? No cóż, w Europie nikt nie zna prawdy o Dżihadzie Awdehu. Jedni mogą go uważać nawet za bohatera, inni uznają, że w każdym razie dla jego rodaków w Betlejem jest herosem. A więc Izraelczycy do świątyni nie wejdą. Ale on - Omar Jussef - wejdzie.

Przywołał w pamięci plan bazyliki. Był w niej przecież wiele razy. Chrześcijańscy przyjaciele i znajomi zapraszali go tu na śluby i chrzciny. Tylko że to było dawno. Ostatnio bardzo rzadko tutaj przychodził. Chrześcijan zepchnięto do podziemia. Wielu wyjechało do Chile, jak George Saba, który powinien był tam zostać. Inni, jak Elias Biszara, przyjmowali święcenia i kryli się za murami świątyni jak w fortecy. Omarowi przemknęło przez myśl, że jest coś symbolicznego w tym, że bazylika, w której rodziło się chrześcijaństwo, jawi się jego oczom o piątej rano mroczny, zimny i opustoszały.

Zagłębił się w mrok, posuwał się ostrożnie, szukając osłony za kolumnami z czerwonego piaskowca. Stanął za kolumną z wizerunkiem świętego Cathala męczennika, pochodzącym jeszcze z czasów krzyżowców. Irlandczyk ze spiczastą brodą zdawał się przerażony, jakby właśnie usłyszał od Wszechmocnego, jakich doświadczy tortur. A może błada, malowana grubą czarną kreską twarz świętego wyrażała coś zupełnie innego? Może po prostu wiedział, jaki los czeka grzesznika, który spoglądał nań teraz z kościelnej posadzki? Omar zadrzał i spieszenie odwrócił wzrok. Spojrzał na grecki ołtarz. Za wysokim oknem już szarzało. Błade światło deszczowego świtu wlewało się do środka, wyławiając z ciemności zwisające z sufitu złoczone lampy z wiecznym ogniem. Musiał się spieszyć. Światło było wrogiem, ciemność sojusznikiem. W mroku nie będzie widać, że stary webley nie nadaje się już do niczego.

Przy ołtarzu ktoś zaniósł się kaszlem. Kasłał długo i odchrząkiwał. Zaraz potem, też od ołtarza, dobiegł szcęk zapalniczki. Nie chciała się zapalić, bo ktoś ukryty w mroku zaklął szpetnie i ponownie spróbował. Znów bezskutecznie. Zapadła cisza.

Omar wyjął webleya zza pasa i przesunął się w stronę ołtarza. Wytężył wzrok, ale nie zobaczył. I wtedy znów dobiegł go odgłos kaszlu. Tym razem z Groty Narodzenia. A więc

tam kryje się Dżihad Awdeh. Wąty, migotliwy płomień oświetlał zejście do groty tuż obok ołtarza. Omar zaczął nasłuchiwać. W grocie zapadła cisza. Ostrożnie, powoli, stopień po stopniu, zaczął schodzić krętymi schodami. Przy każdym kroku zastanawiał się, co on, u diabła, tu robi? Dżihad może nie być sam. Może zorientować się, że webley to tylko atrapa. Ale schodził coraz niżej. Od podnóża schodów prowadziły dwa przejścia. Zwiedzający wchodzili do groty jednym, całowali brązowy pierścień oznaczający - zdaniem mnichów - miejsce, gdzie stał żłóbek, w którym leżało Dzieciątko, i wychodzili drugim. Gdzie kryje się Dżihad Awdeh? Pewnie w kącie najodleglejszym od schodów.

Omar przełożył webleya do lewej ręki, tak aby jego ciało zasłaniało płomień migoczący w głębi groty, a pistolet pozostawał w cieniu.

Dżihad Awdeh podniósł głowę. Na widok nauczyciela skrzywił się w uśmiechu.

- Widzę, że rzucili do akcji siły specjalne - zadrwił, wyjmując z kieszeni paczkę marlboro. Zapalniczka zapaliła się dopiero za którymś razem. Przedtem, kiedy Omar słyszał szcęk zapalniczki, musiał zapalać nie papierosa, ale świecę, którą zabrał ze sobą do groty.

Omar zmrużył oczy od światła. Kałasznikow Awdeha leżał przed nim na posadzce, a obok plecak, pewnie z jedzeniem przygotowanym na wypadek obłączenia. A może w plecaku były granaty, bomba, ładunek wybuchowy? Niewykluczone, że Dżihad zamierza wysadzić w powietrze siebie, groty, bazylikę i tych, którzy przyjdą, żeby go schwycić. Pod papachą białe bandaże. Dżihad został ranny, gdy pocisk z czołgu trafił w dom Sabów.

- Wstawaj. Pójdiesz ze mną - rzekł Omar.

- A niby gdzie? Ciągle jeszcze wysługujesz się Żydom?Czekają na mnie przed bazyliką? - zaśmiał się Dżihad szydyczko, a echo ustokrotniło złowrogi rechot.

- To ty im się wysługujesz. Ty jesteś kolaborantem, Dżihadzie - odrzekł Omar.

Nie wiedział, czy to prawda, ale wyrzekł te słowa z najgłębszym przekonaniem, jak człowiek, który widział ogrom zła i teraz chce się upewnić, że racja jest po jego stronie.

Uśmiech znikł z twarzy Awdeha.

- Gdybym był kolaborantem, to czemu miałbym się kryć przed Izraelczykami?

- Nie wiem. Może zrobiłeś coś, co zwróciło ich przeciwko tobie. Musiałeś posunąć się za daleko, nawet dla nich.

Dżihad znów zaśmiał się szydyczko. Zsunął papachę, wsunął palec pod bandaż i podrapał się po głowie.

- Ty skurwysyński belfrze! - syknął. - A umiesz ty strzelać?

- Wystarczy, żeby cię załatwić. - Omar machnął groźnie webleyem, ale nie posunął się do przodu. Wolał zachować dystans, aby Dżihad, znacznie młodszy, nie rzucił się na niego.

- A więc chcesz mnie aresztować, ale właściwie za co?

- Za kolaborację. To ty naprowadziłeś żołnierzy na Louaia Abdel Rahmana. Użyłeś nawet światła z laserowego celownika, żeby nie było żadnych wątpliwości. Ale popełniłeś błąd, zostawiając na miejscu łuskę od MAG-a. Kiedy ją znalazłem, zacząłem najpierw podejrzewać Husajna Tamariego. Dima Rahman powiedziała mi, że jej mąż rozmawiał w ciemności z kimś, kogo nazwał Abu Walidem. Syn Tamariego nazywa się Walid, sądziłem więc, że Abu Walid to Husajn. Dziś jednak dowiedziałem się, że twój pierworodny też nosi imię Walid. Przedtem jeszcze George Saba mówił mi, że widział, jak zbierałeś coś z dachu, gdy kazał wam się wynosić. Powiedział też, że strzelał tylko Tamari, a więc zbierałeś zużyte łuski od jego MAG-a. Schowałeś je do kieszeni i zabrałeś, żeby zatrzeć ślady na wypadek, gdyby Izraelczycy weszli do Bejt Dżala i chcieli ustalić, kto strzelał z dachu domu George'a. Gdyby znaleźli łuski na dachu, wiedzieliby, że ogień prowadził Husajn, i mogliby też zainteresować się tobą. Pracowałeś dla nich i nie chciałeś, aby dowiedzieli się, że twój szef z Brygad ostrzeliwał ich pozycje. Bałeś się, że po nitce do kłębka mogą dotrzeć do ciebie. Ale kiedy położyłeś się w trawie, czekając na Louaia Rahmana, jedna z łusek musiała ci wypaść z kieszeni, a ja ją znalazłem. Znalazłem też drugą, na dachu u Sabów, którą pewnie przegapiłeś. Po zamachu na Louaia dowiedziałeś się, że Dima Rahman słyszała, jak mąż zwrócił się do kogoś: „Abu Walid”, więc ją również zabiłeś.

- Nieprawda, nie zabiłem tej suki - zaprotestował Dżihad.

- A więc reszta to prawda?

- Pieprz się! Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co robisz. Jestem dowódcą Brygad Męczenników.

- I co z tego? Husajn też był i jak skończył?!

- Husajna zgubiła pazerność. Izraelczykom zależało na likwidacji Louaia z jednego tylko powodu: Rahmanowie mieli wytwórnie materiałów wybuchowych. Cała rodzina się tym zajmowała, nie wyłączając starego Muhammada. Louai był łącznikiem, miał kontakty ze wszystkimi organizacjami ruchu oporu. Kupowali wszyscy - Al-Fatah, Hamas, Islamski Dżihad i Front Ludowy. Louai sprzedawał także gangom i zwykłym przestępcom. Po śmierci Louaia Husajn postanowił przejąć wszystkie interesy Rahmanów. Ostrzegałem go, żeby wziął tylko warsztaty samochodowe. Uprzedzałem, że jeśli przejmie wytwórnie materiałów wybuchowych, Izraelczycy dobiorą mu się do tyłka. Ale Husajn był pazerny. Bomba, której młody Rahman użył w samobójczym zamachu wczoraj w Jerozolimie, pochodziła z jednej z wytwórni przejętych przez Husajna. I stało się tak, jak mówiłem. Izraelczycy dali mu w czapę.

- A kto im powiedział, skąd pochodziła bomba?

- Jak to kto? Ja.

- Ty?

- Oczywiście. To ja zaplanowałem całą operację. Ja wysłałem Junisa. Izraelczycy wahali się, nie byli pewni, czy likwidować Husajna, czy nie, ale po zamachu na bazarze stało się jasne, że muszą go załatwić.

- A wtedy ty mogłeś objąć dowództwo Brygad Męczenników w Betlejem? Dżihad tylko kiwnął głową, wypuszczając kłęb dymu z płuc.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego Junis Rahman dał się namówić na samobójczy zamach? - spytał Omar.

- Junis nie jest samobójcą, lecz męczennikiem. Zapamiętaj to sobie, Abu Ramizie. A dlaczego postanowił się poświęcić? - Dżihad zaśmiał się szyderczo. - No cóż, myślę, że mu wszystko zbrzydło. To wina jego ojca. Muhammad to wyjątkowo obrzydliwy typ. Powiedział młodemu, że Dima pieprzy się z Husajnem Tamarim. Przekonał młodego, że Dima szuka tylko okazji, żeby pozbyć się Louaia, aby bez przeszkód związać się z Husajnem. Więc namówiła Husajna, a ten pomógł Izraelczykom w likwidacji jej męża. Stary tak to wymyślił, sądząc, że Junis w odwecie zamorduje Husajna, a wtedy rodzina odzyska warsztaty samochodowe, a może nawet wytwórnice materiałów wybuchowych.

- Ale Junis nie zabił Husajna, tylko Dimę...

- Właśnie, aby pomścić honor brata. Może też myślał, że łatwiej zabić bratową niż Husajna. Nie wiedział, że Izraelczycy i tak go wyręcą. A więc zamordował ją, a później starał się upozorować gwałt albo zwyczajnie podniecał go goły tyłek bratowej. Widziałeś ją, Abu Ramizie? I co, podobała ci się jej dupa? Słyszałem, że ta kobitka była twoją ulubienicą? Ślinałeś się do niej? Kiedy tam przyszedłem, policja już przykryła ciało, ale wartownicy pozwolili mi zajrzeć pod prześcieradło. Nie tylko mnie. Wszyscy chłopcy napatrzyli się do woli.

Omara zdjęło obrzydzenie, przełknął ślinę.

- A dlaczego przyszedłeś do Rahmanów?

- Żeby powiedzieć Junisowi, że jego ukochany tatuś uczynił go mordercą bez najmniejszego powodu. Wyjaśniłem mu, że Dima była niewinna, a Husajn nawet jej nie znał. Możesz sobie wyobrazić, jak chłopak na to zareagował. Poczul obrzydzenie do siebie i do ojca. Nie widział dla siebie żadnej przyszłości. Przekonałem go wtedy, że może odkupić winę, podejmując się samobójczej misji. Zgodził się bez wahania.

- A dlaczego żołnierze przyszli dziś w nocy po ciebie? Przecież z nimi współpracujesz?

- Z paru powodów. Mogło to być ostrzeżenie, żebym się trzymał z dala od wytwórni materiałów wybuchowych, ale równie dobrze mogło chodzić o umocnienie mojej sławy. Nikt przecież nie uwierzy, że człowiek, którego poszukuje wojsko, jest kolaborantem.

Omar gestem wskazał wyjście z groty.

- Idziemy, zabieram cię na policję.

- W porządku, możemy iść. - Dżihad Awdeh wstał, bez pośpiechu rozprostował kości.

- Możemy iść na policję. Oczywiście zaraz mnie wypuszczą, a wtedy zmaistruję nową bombę.

- Skierował się do wyjścia z groty. - I tym razem nie będzie pomyłki. Nie zginie jakiś tam Amerykanin, tylko ty i twoja rodzina.

Omar gestem kazał mu wejść na schody. Sam powoli ruszył za nim, zachowując odpowiedni dystans. Gdy Awdeh dotarł do szczytu schodów, Omar rzucił:

- Wychodź. I nie za szybko.

Szarzało już. Omar stracił więc największego sojusznika - ciemność. Starał się zasłonić webleya potą marynarki, ale Dżihad właśnie się odwrócił i spojrzał na stary pistolet.

- Nie zatrzymuj się! - krzyknął Omar. Wiedział, że spędził za dużo czasu w grocie. Jego więzień dostrzegł, że pistolet jest bezużyteczny. - Ruszaj, ruszaj!

- A co mi zrobisz? - zaśmiał się Dżihad, wskazując palcem webleya. - Zatluczesz mnie na śmierć tym kawałkiem złomu?

Omarowi serce podeszło do gardła, a ręka z pistoletem zaczęła drżeć.

- Owszem, to stara broń, ale działa - zawołał.

Ale Dżihad Awdeh już na niego natarł. Potężny cios w skroń zbił Omara z nóg i rzucił na posadzkę. Nie stracił jednak przytomności. Zobaczył, że Dżihad wyciąga z cholewki nóż myśliwski. Sześciocalowe ostrze zaślśniło w świetle wdzierającym się przez wysokie okna do wnętrza bazyliki. Jak mogłem być tak głupi, żeby nie wyjść z groty przed świtem, przemknęło Omarowi przez myśl.

Poczuł świdrujący ból. Dżihad wymierzył mu potężnego kopniaka prosto w żebra tuż nad nerkami. Omar jęknął. Dżihad zaczął go znowu kopać. Omar zawył i krzyk bólu wypełnił całą bazylikę. Chwycił Dżihada za nogę, ale ten wyrwał się, przygwoździł go kolanem i unosząc nóż ku swojej szyi, pokazał, co zamierza zrobić. Śmiał się przy tym, odsłaniając zęby, jakby chciał swoją ofiarę nie tylko zaszlachtować, ale i gryźć, spijając krew. Raz jeszcze przesunął nożem po swoim gardle, pomrukując z satysfakcją. Taki sam gest pokazał na dachu George'owi Sabie. Omar wiedział, że zaraz umrze, tak jak George.

Poczuł na gardle nóż. Ostrze było ciepłe - nagrzało się za cholewką Awdeha. Omar wstrzymał oddech. Dżihad zaczął naciskać ostrze i wtedy rozległ się huk, a ułamek sekundy później następny raz. Omarowi przemknęło przez myśl, że to dźwięk tchawicy przecinanej nożem, ale w tym samym momencie jego oprawca runął na niego bezwładnie. Głowa Dżihada znalazła się tuż przy twarzy Omara, który poczuł kwaśną woń wypalonych papierosów. Chwilę później głowa Dżihada opadła, uderzając łukiem brwiowym w brodę Omara.

Morderca był martwy.

ROZDZIAŁ 28

Omar z wysiłkiem zepchnął z siebie ciało Dżihada Awdeha. Uderzyło ciężko plecami o posadzkę. Nóż wypadł z martwej ręki i z brzękiem upadł na kamienne płyty. Krew sączyła się z dwóch ran ziejących między żebrami i rozlewała się kałużą wokół Omara, wsiąkając w jego marynarkę. Podniósł się, zdjęty obrzydzeniem, odszedł kilka kroków, ciągle jeszcze niepewny, czy niedoszły oprawca nie wstanie i znów nie rzuci się na niego.

W drzwiach bazyliki pojawiła się jakaś sylwetka. Jego wybawca miał tyle odwagi i zręczności, że trafił Dżihada, strzelając przez całą długość głównej nawy. Kroki odbijały się echem od wiekowych ścian świątyni. Omar z niedowierzaniem patrzył na ciemną postać. Gdy Dżihad Awdeh przystawił mu nóż do gardła, był pewien, że zaraz zginie. Wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że jednak ocalał.

Dopiero gdy zbawca stanął w promieniu światła wpadającego przez wysokie okno, Omar dostrzegł policyjny beret, opuszczone ramię i dłoń w rękawiczce z czarnej skóry. Chamis Zejdan! Omarowi serce zabiło. Oto chwila prawdy. Przekona się, czy jego podejrzenia dotyczące komendanta były słuszne, czy nie. Chamis Zejdan ocalił go, zadając śmierć Dżihadowi, człowiekowi, który pobił go i upokorzył ledwie parę godzin wcześniej. Ale czy nie skorzysta ze sposobności, aby pozbyć się również Omara Jussef a?Trzech policjantów wychyńło z Wrót Pokory. Chamis Zejdan odwrócił się, spojrzał na nich i jeszcze spieszniej zaczął zbliżać się do Omara. Doszedłszy do niego, obrzucił go zimnym wzrokiem i postukał lufą pistoletu w protezę. Patrzył na Omara dłuższą chwilę, a na jego twarzy malowała się zaciekłość człowieka, który zabił i będzie zabijał. Omar podniósł wzrok. Wyłowił oczami promień słońca rozświetlający mrok wysoko pod kościelnym sklepieniem, a pamięć podsunęła mu obraz z odległej przeszłości. Oto Chamis, młody, pełen życia, roześmiany, bawi całe towarzystwo w studenckiej kawiarni w Damaszku. Takim go Omar zapamiętał i bez względu na wszystko, co z jego starym przyjacielem stało się później i co jeszcze może się stać, takim go będzie pamiętał. Wstrzymał oddech.

Chamis Zejdan wsunął pistolet do kabury. Spojrzał na ciało Dżihada Awdeha.

- Bękart nie żyje! - syknął i skinął na policjantów. - Wynieście tego drania z kościoła i nikomu ani słowa. Nie chcę, aby ktokolwiek się dowiedział, że to ja go załatwiłem, a zwłaszcza że w bazylice. Wy dwaj - pokazał palcem - zabierzcie ciało na komendę, a ty - polecił trzeciemu - weź kubek i zmyj krew z posadzki.

- Karabin Dżihada został w grocie - rzekł Omar.

- No to chodźmy. Sprawdźmy, czy jeszcze czegoś nie zostawił.

Omar się zawahał.

Chamis zerknął na niego i poruszył wąsami.

- Właśnie uratowałem ci życie. Myślisz, że cię tam zamorduję?

- Przepraszam, Abu Adelu, mam zamęt w głowie.

- Już od dłuższego czasu. Owszem, miałeś powody do podejrzeń, nawet dotyczące mnie, ale czas, żebyś zaczął wierzyć ludziom.

- Nie jestem pewien, czy mi się to uda.

Chamis zaczął schodzić do groty, Omar powłókł się za nim na miękkich nogach. W ciągu dwóch dni trzy razy otarł się o śmierć, jeszcze więcej zwłok widział wokół siebie. Zwłok bliskich sobie osób i tych, których się lękał. Czara goryczy się przelała. Usiadł na ostatnim stopniu i ukrył twarz w dłoniach.

- Byłby mnie zabił - szepnął ni to do siebie, ni do Zejdana, który tymczasem znalazł kałasznikowa i plecak Awdeha.

- Cóż my tu mamy? Jedzenie. - Spojrzał na Omara. - Masz rację, bracie. Już by cię nie było, gdyby nie Mariam. Od niej się dowiedziałem, że poszedłeś do bazyliki.

- Od Mariam? Jakim cudem?

- Dzwoniłeś do mnie na komendę. Nie odebrałem telefonu, przykro mi. Ale prawda jest taka, że siedziałem u siebie, myślałem o Sofii i piłem. Widziałem w życiu wiele śmierci, Abu Ramizie, ale jej śmierć dotknęła mnie szczególnie. Nie mogę sobie wybaczyć, że jej nie zapobiegłem. Miałem obraz Sofii przed oczami, jak siedzi, osłaniając ramionami dzieci. Zamknąłem się u siebie w biurze z butelką whisky i tyle. Kiedy wyszedłem na chwilę do toalety, dyżurny powtórzył mi, że dzwoniłeś. Wziąłem dzipa, pojechałem do was. Mariam była roztrzęsiona. Powiedziała, że poszedłeś do bazyliki. Wygląda na to, że zdążyłem w ostatniej chwili. - Znów sięgnął do plecaka. Wyciągnął kamizelkę Dżihada. Sprawdził kieszenie. Z jednej wydobył garść zużytych łusek od MAG-a. - Popatrz, popatrz! - zawołał. - To będzie nasz dowód numer jeden.

- Raczej numer trzy - rzekł Omar, wyciągając z kieszeni dwie identyczne łuski. - Tę znalazłem za domem Rahmanów i to jest dowód numer jeden, a tę na dachu Sabów - to dowód numer dwa.

Świeca, którą zapalił Dżihad, zaczęła przygasać. Omar i Chamis wyszli z groty. Zejdan spojrzął na zegarek.

- Pośpiesz się - ponaglił policjanta, któremu kazał zmywać krew z posadzki. - Braciszkanie zaraz przyjdą, nie chcę, żeby to widzieli.

Policjant zsalutował służbiście i wziął się ostro do roboty.

- Przed wejściem tutaj spotkałem twojego przyjaciela Eliasa - szepnął Chamis do Omara. - Był przerażony, ale kiedy ochłonie, musi uczynić wszystko, co może, żeby księża nie dociekali, co tu się stało. Ciało Dżihada podrzucę później w takim miejscu, żeby wyglądało, że załatwili go Izraelczycy. Omar przytaknął, zaczął odzyskiwać zwykły humor.

- To cud, że ocalałem w ostatniej chwili. Ale powiedz prawdę, Chamisie, czy zabiły go twoje strzały, czy grom z jasnego nieba?

- Powiedzmy sobie, że był w tym palec boży - odparł Chamis. - Wychodzili już z bazyliki. Wiało chłodem, ale deszcz przestał padać. - Faktem jest, że otarłeś się o śmierć.

- Ale Pan w niebiosach nie życzył sobie kolejnego męczennika - zaśmiał się Omar z ulgą.

ROZDZIAŁ 29

Świt jeszcze wstawał, kiedy Chamis Zejdan wysadził Omara pod domem. Komendant nie odjechał od razu. Wychylił się przez okno i wyciągnął rękę na pożegnanie. Omar spodziewał się, że znów zacznie go ostrzegać, żeby dał sobie spokój z amatorskimi dochodzeniami, ale Chamis milczał. Mocno uściśnął dłoń przyjaciela i spojrzął ciepłym wzrokiem. Potem zawrócił i odjechał w stronę bazyliki.

Mariam czekała. Omar objął ją, przyłożył palec do jej ust na znak, że słowa nie są potrzebne. Długo trwali w serdecznym uścisku. Nieco później Omar odszukał karteczkę z numerem telefonu do jerozolimskiego biura UNRWA, zostawioną przez Mariam z wiadomością, że dyrektor przedstawicielstwa, Szwed Magnus Wallender, chce z nim rozmawiać.

Uzyskał połączenie za pierwszym razem.

- Mister Jussef? Cieszę się, że pan dzwoni. Przepraszam, że wczoraj dzwoniłem tak późno. Wiem, że macie sporo kłopotów w Betlejem.

Omar był tak podniecony wydarzeniami ubiegłej nocy i tak szczęśliwy z cudownego ocalenia, że dopiero po chwili skojarzył, o czym Szwed mówi.

- Tak - powiedział - wszyscy jesteśmy zasmuceni śmiercią Christophera.

Oderwana ręka, twarz i ciało poćwiartowane jak w rzeźni - wydawało się, że to było bardzo dawno. - O tym właśnie chciałem z panem porozmawiać, mister Jussef. Konferowałem już z Nowym Jorkiem i Genewą. Wszyscy jesteśmy zgodni, że w obecnych warunkach nie należy powierzać kierownictwa szkoły w Dehajszy Amerykaninowi ani w ogóle nikomu z zewnątrz. Sytuacja jest zbyt niebezpieczna. Śmierć Christophera Steadmana wywołała szok. Wszyscy są przejęci, nawet sekretarz generalny.

Omar nie bardzo sobie wyobrażał, aby wiadomość o zamachu w Dehajszy rzeczywiście dotarła na trzydzieste drugie piętro wieżowca na Manhattanie, a tym bardziej że przejął się nią sam sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych. Pomyślał zarazem, że gdyby zamachowcy osiągnęli zamierzony cel i zabili jego, a nie Steadmana, to wiadomość o tym wydarzeniu nie dotarłaby nawet na ONZ-owski parter.

- Uważamy - ciągnął tymczasem Magnus Wallender - że w takiej sytuacji, lepiej i rozsądniej będzie powierzyć obowiązki dyrektora szkoły w Dehajszy miejscowym siłom. Z grona nauczycielskiego właśnie pan, mister Jussef, ma największe doświadczenie i cieszy się ogromnym szacunkiem w Betlejem, więc chętnie widzielibyśmy pana na tym stanowisku.

- Dyrektora Żeńskiej Szkoły UNRWA w Dehajszy? - Jeszcze kilka dni temu Omar miał podstawy sądzić, że jego dni w szkole są policzone. A teraz ma zasiąść w fotelu dyrektora? - To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, ale chciałbym się zastanowić. Da mi pan dzień do namysłu?

- Ależ oczywiście. Tymczasem przyślemy dziś kogoś po pańską teczkę personalną. To tylko formalność, bo nie sądzę, aby coś mogło wykluczyć pańską kandydaturę.

Omar pomyślał o niebieskich arkusikach z druzgocącą opinią wystawioną przez Hiszpankę. Gniły w kałuży za śmietnikiem naprzeciwko szkoły. W aktach nie zostało nic, co mogłoby mu zaszkodzić. Skargi od rodziców nie miały najmniejszego znaczenia. Jeszcze raz podziękował Wallenderowi za propozycję i odłożył słuchawkę.

Oto najwspanialsza okazja, aby stawić czoło inspektorowi oświaty i w ogóle wszystkim, których jedyną ambicją jest sianie nienawiści w umysłach dzieci z Dehajszy. Tak, tej okazji nie wolno zmarnować. Do tej pory wszystkie nadzieje wiązał z George'em Sabą. Jego najlepszy uczeń miał dawać świadectwo dobra i zasad, w które Omar wierzył i które pragnął zaszczepiać swoim wychowankom. Teraz będzie mógł przekazywać te zasady młodemu pokoleniu, a przez to utrwać swoje dziedzictwo.

Jednocześnie myśl o emeryturze też wydawała mu się kusząca. Dochodzenie, które doprowadziło do Dżihada Awdeha, sprawiło mu wiele satysfakcji. Tylko co dalej? Miałby otworzyć agencję detektywistyczną w Betlejem?

Weszła Nadia z filiżanką kawy. Miała już na sobie szkolny mundurek wymagany u lasalianów - niebieską bluzeczkę z granatową spódniczką. Pocałowała dziadka na dzień dobry.

- Znalazłeś go?

- Kogo? - zdumiał się.

- Tego, kogo szukałeś?

- A niby kogo miałem szukać? - udał, że wyjmuje coś spośród poduszek na tapczanie.

- Człowieka, który zabił George'a Sabę.

Nie miał pojęcia, że mała wie o jego dochodzeniu.

- Tak, kochanie, znalazłem go - odparł z uśmiechem.

- Wiedziałaś, że tak będzie - pochwaliła się. - Czy dzieci George'a Saby zamieszkają z nami?

Niezły pomysł, pomyślał. Jestem to winien George'owi. Omar postanowił porozmawiać z Mariam.

Nadia spojrzała na Biblię w czarnej skórkowej oprawie, leżącą na stoliku.

- A co to jest?

- Ta książka należała do mojego ojca. Dostał ją w prezencie od chrześcijańskiego księdza, z którym się przyjaźnił. Wiele lat temu podarowałem ją George'owi. Znalazłem ją w ruinach jego domu i przyniosłem.

Nadia otworzyła okładkę, przeczytała dedykację. Uśmiechnęła się.

- To piękna książka - stwierdziła. - Muszę już iść do szkoły. - Pocałowała dziadka i wybiegła z domu.

Omar podszedł do okna. Patrzył za wnuczką. Szła lekko pochylona pod ciężarem różowego tornistra. Pomyślał, że nie tylko jako nauczyciel, ale także jako detektyw może coś światu zostawić. Praca detektywa nie polega wyłącznie na tym, aby dociekać, co się stało w przeszłości, i wymierzać sprawcom zasłużoną karę. To coś więcej. Jako detektyw będzie mógł chronić przyszłość przed tymi, którzy dopuścili się zła i mogą zło czynić nadal.

Omar Jussef wziął ze stolika kartkę z nagryzmołonym numerem biura UNRWA w Jerozolimie. Księgowy zapewniał go, że ma wystarczające środki, aby dać sobie radę bez nauczycielskiej pensji. Przeczytał notatkę Mariam.

Rzucił kartkę z powrotem na stół obok Biblii George'a Saby.

„KB”